



Baccalario **Pierdomenico**

Ulysses Moore 13

Statek czasu

Szanowny Wydawco, Znow mi się to przytrafiło. I również tym razem zupełnie niespodziewanie. Po tym, jak starałem się przetłumaczyć i uporządkować dzienniki Ulyssesa Moore'a oraz jego kufer pełen dziwnych przedmiotów, myślałem, że nie zostało już nic do opowiedzenia o nim i o miasteczku, w którym mieszka. Przyjąłem wszystkie pochwały i słowa krytyki z Waszej strony, z pełną świadomością tego, że w wielu miejscach nie mogłem dorównać pisarzowi, który przesłał mi ten materiał. W miarę jak opisywałem jego przygody, rosła we mnie chęć, by spróbować zrobić coś na własną rękę. Pozwoliłem sobie więc na długą podróż do Szkocji, aż do wioski o nazwie Applecross, gdzie zamierzałem osadzić akcję powieści fantastycznej, i zapełniłem zapiskami masę notatników (to akurat opanowałem do perfekcji!). Potem przedłużyłem swoje wojaże i wyskoczyłem do Belfastu, rodzinnego miasta C.S. Lewisa, autora Opowieści z Narnii. I właśnie tam, w pubie koło uniwersytetu, zapomniałem marynarki z notatnikiem w kieszeni. „Roztrzepany jak zwykle!”, wyrzucałem sobie. Wróciłem po nią, ale ktoś już ją zabrał, myśląc pewnie, że należy do niego. Jednak nie traćłem nadziei: może trafi na moje nazwisko i adres, zapisane na pierwszej stronie notatnika, i mi go odeśle. Sam notatnik, mniejsza o marynarkę! Jednak nic takiego się nie zdarzyło. Przynajmniej przez trzy miesiące. I oto nagle dostaję pocztą dość okazałą paczkę, a w niej

drewnianą skrzynkę. A właściwie przenośny sekretarzyk, z tych, co cieszyły się dużą popularnością wśród dziewiętnastowiecznych obieżyświatów, zwłaszcza tych podróżujących

drogą morską. Do sekretarzyka dołączono list, w którym proszono mnie (znowu!), abym uważnie przeczytał, ocenił, przetłumaczył i uporządkował anonimowy rękopis schowany w

podwójnym dnie skrzynki.

Tak też zrobiłem.

Jak możecie zauważyć, tu i ówdzie - za każdym razem gdy trafiałem na nawiązania do innych opowieści pozwoliłem sobie dodać przypisy. Jestem pewien, że równie wiele takich

miejsc mi umknęło i że tajemniczy nadawca paczki, a jednocześnie anonimowy autor rękopisu, to nie kto inny jak mój stary i nieuchwytny przyjaciel... Ulysses Moore.

Z poważaniem, Pierdomenico Baccalaño

ROZDZIAŁ 1

Pokój z sekretarzykiem

W KTÓRYM DOWIADUJEMY SIĘ

ŻE NAWET W DOMACH, GDZIE KOGOŚ BRAKUJE. może być ktoś jeszcze

EDALUS PRESS

Printing Machine, Press, Type, Material, and Roller Manufacturers.

To był pokój, do którego wchodziło się bardzo rzadko. Wyczuwało się coś tajemniczego w przygaszonym odcieniu jego wypłowiałych zasłon, w wytartej szarości wykładziny i delikatnym, jakby dawnym zapachu płatków pozostawionych do wyschnięcia w

dużej misce pod oknem.

Za każdym razem gdy trafiał na niedomknięte drzwi, Murray zatrzymywał się, by zajrzeć do środka. Jakby miało tam być coś, czego wcześniej nie zauważył.

Obraz.

Porcelana, którą ktoś przestawił.

Nowa plama na obiciu.

Mama Murraya nigdy nie wchodziła do tego pokoju bez powodu. Jeśli już musiała, żeby na przykład posprzątać, szybko się uwijała, a potem od razu zamykała za sobą drzwi.

Ale po jakimś czasie one znów się otwierały. Same.

Nawet gdy zostały dobrze zamknięte. Nawet gdy nie było przeciągu. I kiedy nikt nie wchodził na górę.

Pokój był na poddaszu. Na pierwszym piętrze znajdowały się pokój Murraya, pokój mamy i łazienka. Cała reszta mieściła się na parterze. W środku nie było nic szczególnego,

poza starym sekretarzykiem. Tata Murraya kupił go od miejscowego handlarza starzyzną, tego łobuza Fanny'ego, żeby chłopiec miał na czym pisać i odrabiać lekcje. Wnieśli go na górę, sapiąc jak lokomotywy, taki był ciężki.

Murray nigdy go nie używał.
Pokój z sekretarzykiem
Oprócz sekretarzyka w pokoju były krzesła z długimi, cienkimi nogami i oparciem
wyplatany słomą. W jednym z rogów stała kanapa z poręczami obgryzionymi przez
kota
którego z jej poprzednich właścicieli i antyczna szafka narożna z ciemnego drewna,
którą
Murray otworzył tylko raz - i był bardzo zawiedziony. W środku znalazł jedynie stare
srebrne
bibeloty przykryte cienką bibułą.
W pokoju było duże okno, którego szyby, bardzo rzadko myte, przybrały barwę
pergaminy. Dało się przez nie jeszcze zobaczyć majestatyczne niebo północy, a bardziej
się
wychylając - także skrawek morza, zaraz za portem.
W pokoju nie było zatem nic tajemniczego czy strasznego. A jednak Murray
pozostawał nim zafascynowany. To miejsce sprawiało, że czuł się w nim jak intruz.
Nieraz
też zdawało mu się, że chwilę przed tym, jak stanął w drzwiach, ktoś siedział przy
sekretarzyku.
Nie czuł po prostu obecności ducha.
Czuł, jakby za każdym razem duch z jego winy zmuszony był odejść.
Również tamtego dnia Murray odniósł takie wrażenie. A przecież wszystko było na
swoim miejscu.
Stara, wytarta wykładzina.
Kanapa z obgryzionymi poręczami.
Wysłużone zasłony w oknie.
I sekretarzyk na wysokich, wygiętych nogach, z blatem pokrytym ciemnozieloną
skórą i szufladkami pełnymi ołówków, których nikt nigdy nie ruszał. Murray i jego ojciec
byli
nigdy
pewni, że w tym sekretarzyku jest również tajemnicza szuflada*, choć w rzeczywistości
jej nie znaleźli.
„Widzisz?”, próbował przekonać sam siebie. „W tym pokoju nie ma wcale nic
tajemniczego”.
Może.
Krzesło stojące przy sekretarzyku było lekko odsunięte. Tak jakby zaledwie przed
chwilą ktoś na nim siedział i pisał sekretne listy.
A potem zniknął.
Murray się uśmiechnął i spojrzał w dół schodów.
Usłyszał dźwięk: ktoś wsuwał pocztę w otwór drzwi wejściowych.
„Sekretne listy”, pomyślał.
Gwałtownie zamknął drzwi pokoju z sekretarzykiem i zbiegł po schodach.
- Murray? - zawołała mama z kuchni. - Odbierzesz pocztę?
Na podłodze pod drzwiami leżała duża żółta koperta. Murray prędko zdjął złoty
łańcuszek zabezpieczający zamek, otworzył na oścież drzwi wejściowe i przekonany, że
już
nikogo za nimi nie ma, krzyknął: - Mam cię!

- Ej, Murray! - przywitał go listonosz, stojący jeszcze w ogródku przed domem.
* Przypis tłumacza rękopisu. Sądzę, że autor nawiązuje tu do opowiadania Tajemnicza szuflada z książki Złoty wiek Kennetha Grahame'a.
Murray próbował szybko wziąć się w garść.
- Dzień dobry, Pete.
- Panie Pete! - syknęła z domu mama.
- Panie Pete - poprawił się Murray.
Listonosz przełożył jakąś paczkę w swoim małym wózku wypełnionym korespondencją.
- Nie ma dzisiaj szkoły?
- Świąteczny poniedziałek - odpowiedział Murray, który nie pamiętał dokładnie, jakie święto obchodzono. Czy chodziło o jakiś kraj, wojnę czy może królową.
- Ale nie dla listonosza. - Pan Pete puścił do niego oko. - Ta koperta jest chyba dla ciebie.
Murray zasalutował mu i zamknął za sobą drzwi.
- Na łańcuszek! - rozległ się znowu głos mamy.
Murray założył złoty łańcuszek i obejrzał leżące na podłodze zawiniątko.
Nie było wątpliwości. Jako odbiorca widniał właśnie on.
Koperta była pokaźna. Gruba na dwa palce i wyłożona folią bąbelkową, używaną do zabezpieczania przesyłek o specjalnym charakterze.
Murray chwycił ją, usiadł na stołku przy pianinie i oparł kopertę o pulpit do nut, patrząc na nią uważnie.
Próbował zgadnąć, co może zawierać.
Kto ją wysłał?
Skąd? I kiedy?
Nacisnął jednym palcem biały klawisz, drugim czarny.
Potem sobie przypomniał.
Naturalnie. To mógł być tylko...
Zagrał szybkie arpeggio.
- I co? Przyszło coś ciekawego? - zapytała go mama.
Murray nie odpowiedział.
Chwycił z kanapy kurtkę z pogniecionego nylonu, sprawdził, czy ma w worku książkę i aparat, wrzucił do środka kopertę i zatrzymał się w głębi schodów.
Miał wrażenie, że na drugim piętrze słychać było skrzypienie, jakby ktoś chodził na palcach.
Lecz to, oczywiście, niemożliwe, bo w domu byli tylko on i mama.
Mama pojawiła się w głębi korytarza.
- Wychodzisz? - zapytała.
- Tak - odpowiedział. I założył buty.
- Dokąd?
- Po Shane'a. A później do Connora.
- Znowu w to okropne miejsce na rzece?
- Nie jest okropne.
Murray spojrzął na stopnie, po których wchodzili. Usłyszał, jak stary drewniany dom cicho skrzypi.
- Wrócę na kolację - dodał. I wyszedł.

ROZDZIAŁ 2

DOM NA RZECE

Szepty domu zagłuszył hałas ulicy.

Miasto, w którym mieszkał Murray, nie było ładne. Znajdowały się w nim wysokie i anonimowe bloki, biurowce z lustrzanymi ścianami, rzędy identycznych domów. Fabryki

i

magazyny.

Ale Murrayowi to nie przeszkadzało. Przemierzał jego ulice na rowerze, nawet go nie zauważając, pochłonięty własnymi myślami.

Kierował się właśnie w stronę dużego portu handlowego, gdzie przyływały i odpływały statki załadowane kontenerami. Minął magazyny i bramy, smród benzyny i palonych opon i wspiał się szarą uliczką, która przecinała na pół kwieciste wybrzeże.

Na górze, pośród pozornego nieładu, stała jego ulubiona ławka. Idealnie tam pasowała, osłonięta gałęziami śliwy, zza których wyłaniało się tylko to, co w porcie było ładnego. Siedząc tam, można było w spokoju podziwiać wielkie statki przemierzające

morze

w poszukiwaniu własnego miejsca. Żelazne olbrzymy, surowe i groźne, z nieznanymi banderami i kadłubami przeżartymi przez słoną wodę. Nosiły egzotyczne nazwy, które przywodziły Murrayowi na myśl starożytne bóstwa, tajemnicze kobiety, odległe krainy. Cierpliwie poruszały się po falach, zgodnie z własnym kodeksem: najpierw ty, potem ja. Murray wyobrażał sobie te wszystkie sygnały, jakie między sobą wymieniają, choć nie

był w

stanie ich zrozumieć.

Shane jeszcze nie przyszedł i Murray usiadł po prawej stronie, tam gdzie wyrył kiedyś scyzorykiem swoje imię.

Skrzyżował nogi tak, że nie dotykał stopami ziemi. I w jego wyobraźni ławka zamieniła się w statek kosmiczny, a morskie olbrzymy - w ambasadorów obcych

światów.

Mewy latały tuż nad wodą, muskając skrzydłami biały ślad pozostawiony przez silniki.

Otworzył swój notatnik i zapisał nazwę przepływającego właśnie statku. Potem próbował sobie wyobrazić jego historię, zgadując, czym mogą być wypełnione jego

ogromne

kolorowe kontenery: ubraniami, meblami, goździkami, telefonami komórkowymi, komputerami, kompasami, pudełkami różnej wielkości, szklankami, hełmami do

nurkowania,

piłkami...

Statki niekiedy wracały i gdy Murray rozpoznawał ich nazwy, zaglądał do notatnika i sprawdzał, co napisał, widząc je po raz pierwszy. Czuł się wtedy, jakby spotkał starego przyjaciela. Czasem przerywał pisanie, gdy wystraszyła go któraś z okrętowych syren lub

gdy

z kominów uniosły się kłęby czarnego jak smoła dymu.

Murray często przesiadywał w tym miejscu, bo jego najlepszy przyjaciel, Shane, pracował w porcie: pomagał mężczyznom, którzy przy użyciu wózków widłowych

wyładowywali ze statków mniejsze skrzynie. Murray widział, jak szybko mkną wzdłuż żółtych linii pasów ruchu. Inni pracownicy, starsi od Shane'a, poruszali dźwigniami olbrzymich metalowych żurawi, które podnosiły większe kontenery i stawiały je na ziemi.

W

miarę jak je opróżniano, kadłuby wynurzały się z fal. Kontenery układano w sterty na bezkresnych parkingach portu, które zamieniały się w istne miasta, z murami i zamkami z kolorowych klocków.

To Shane chciał iść do portu, kiedy nie zdał do następnej klasy. Był za młody, żeby pracować „tak naprawdę”, ale nie żeby uczyć się kierować wózkiem czy pomagać w razie potrzeby. Shane to był złoty chłopak, nie z tych, co mają pstro w głowie: był solidny i praktyczny, potrafił słuchać i zawsze chętnie służył pomocą. Nigdy się nie sprzeciwiał i

nie

chciał wiedzieć więcej ponad to, co ludzie sami mieli ochotę powiedzieć. W porcie wykonywał wiele drobnych prac: prznosił różne rzeczy, pomagał robotnikom czyścić ładownie, sprawdzał, czy marynarze niczego nie zapomnieli podczas opuszczania kajut. Wszystko, co znalazł, musiał oddać do Biura Rzeczy Znalezionych. Któregoś razu zaprowadził tam też Murraya: przedostali się przez przejście w kracie wielkości króliczej nory i schowali między skrzyniami transportowymi. Murray zaciągnął się zapachem

benzyny

i strachu, przebiegł po asfalcie, z przerażeniem myśląc o tym, że mogą ich złapać,

przyłgnął

do odrapanych ścian jakiegoś budynku i gdy tylko Shane wyciągnął klucz z ogromnego

pęku,

który zawsze nosił przy pasku, wszedł do środka.

„Nie możemy zapalić światła... bo nas zobaczą”, powiedział Shane.

I zaczęli się snuć w półmroku Biura Rzeczy Znalezionych. Na półkach leżały blaszane pudełka, klucze i święte obrazki, drewniane pajacyki i pozłacane gwoździe. Kolorowe

bączki,

maski z laki, spinki do mankietów, jedwabne szale i filcowe kapelusze. Zdjęcia,

pocztówki,

monety z każdej części świata, stare notesy, parasolki z papieru ryżowego, okulary

przeciwsłoneczne i podkowy. Ususzona małpia łapa i rama z kolekcją motyli. Wszystko

to

były rzeczy pozostawione w kajutach. Rzeczy, o które nikt się nigdy nie upomniał.

Tego dnia, gdy tam poszli, Murrayowi wpadł w oko scyzoryk z drewnianą rączką,

który leżał zamknięty w Biurze Rzeczy Znalezionych od dwunastu lat.

Tyle lat miał Murray.

„Mogę go wziąć?”, zapytał Shane'a.

„Chcesz go ukraść?”

Zdaniem Murraya to miejsce powinno się nazywać Biurem Rzeczy Niepocieszonych.

Przedmioty zalegające na półkach przypominały mu psy porzucone w schroniskach.

„Chciałbym go uwolnić”, odpowiedział Murray.

I Shane szybko zdjął z noża etykietkę.

Nigdy już nie wrócili do Biura Rzeczy Znalezionych. Ale scyzoryk stał się

nieodłącznym towarzyszem Murraya, schowanym w jego worku.

Shane przyszedł parę minut po pierwszej. Widać było, jak jego masywna sylwetka

pnie się w górę łąki. Wreszcie usiadł koło Murraya i wyciągnął ku niemu połowę kanapki,

którą miał na obiad.

- Nie, dziękuję - odpowiedział Murray.

Shane bez słowa ugryzł kanapkę. Przed nimi dostojnie przepływał pomarańczowoczarńy kadłub jakiegoś libańskiego statku.

- Przyszła paczka - powiedział Murray.

- I jaka jest?

- Nie otwierałem.

- Super.

- Przecież mówię, że nie otwierałem.

Shane przytaknął, przełykając. Uderzył pięścią w pierś i uśmiechnął się.

- Chciałem powiedzieć, że to super, że wreszcie przyszła.

- Connor będzie skakał z radości.

- Bracia Brady też.

- Już ich sobie wyobrażam.

Shane'owi brakowało jeszcze kęsa, żeby skończyć kanapkę.

I po sprawie.

Wymienili długie spojrzenie.

- Cześć, Shane - powiedział po chwili Murray, udając, że chce go uderzyć pięścią.

- Cześć, Murray - odpowiedział Shane, odpierając cios otwartą dłonią.

- Idziemy do Connora?

Connor spojrział na zegarek.

Było parę minut po wpół do drugiej. Musiał coś zjeść. Ale jeszcze bardziej niż zjeść, musiał koniecznie wziąć prysznic. Odłożył śrubokręt do skrzynki z narzędziami i szedł z dachu łodzi. Antena była już zamocowana, jak należy.

Domem Connora była Itaka - stara łódź znajdująca się na rzece: holownik długi na jakieś dwanaście metrów i szeroki na cztery, przycumowany do pnia dębu. Do wejścia prowadził trap.

To był najpiękniejszy dom, jaki Connor mógł sobie wyobrazić. A także jedyny, na jaki mógł sobie pozwolić za tę niewielką sumę pieniędzy, którą dysponował po skończeniu osiemnastu lat.

Connor był sierotą i wychował się w domu dziecka.

Gdy stał się pełnoletni, kupił Itakę, targując się o każdy grosz, a potem popłynął nią w górę rzeki, aż dotarł prawie za miasto. Minął park uniwersytecki i kiedy tylko na brzegach zaczęło się robić coraz gęściej od drzew, wypatrywał odpowiedniego miejsca, by się zatrzymać. Gdy zobaczył chylące się ku wodzie gałęzie starego dębu, wiedział, że jest na miejscu.

Na dachu łodzi zasadził owoce i warzywa, a wokół ustawił donice z kwiatami, budując sprytny system rur do ich automatycznego nawadniania. Zamontował parę paneli słonecznych oraz agregat prądowórczy warczący po jednej stronie łodzi i skonstruował

coś w

rodzaju robota z drutami, na których rozwieszał pranie. W ogródku, między roślinami,

ukrył z

dziesięć anten radiowych i satelitarnych, dzięki którym mógł się kontaktować z

większością

miejsc na świecie.

I już się stamtąd nie ruszył.

Na Itace miał wszystko, czego potrzebował: książki, komputer i połączenie z siecią,

im które zawstydziłyby informatyków z samego uniwersytetu. I rzeczywiście Connor nieraz

pomagał: wykonywał drobne prace na komputerze i naprawiał szwankujące programy. A tego dnia napracował się aż nadto.

Przeciągnął się. Niedługo mieli przyjść pozostali. Zostało mu niecałe pół godziny, żeby się umyć i coś zjeść.

Zszedł pod pokład, pogwizdując.

Włączył muzykę, otworzył lodówkę, do której bracia Brady przyczepili dziesiątki magnesów z superbohaterami, i uśmiechnął się zadowolony.

Tworzyli fajną paczkę. Connor był najstarszy ze wszystkich, jedyny pełnoletni. Co nie znaczy, że najbardziej odpowiedzialny.

Wziął z lodówki zimnego hamburgera, ostrego keczupu, dwa plasterki sera i zjadł to, wpychając wszystko naraz do ust.

No właśnie: oto próbka zasad zdrowego odżywiania według Connora.

Connor jakoś sobie radził, odpowiednio się organizując i tworząc listy na każdą okazję: listy rzeczy do zrobienia i do nierobienia; listy rzeczy do kupienia i do

niekupowania.

Stał się uporządkowany i dokładny, a jego metodyczny system pozwalał mu trzymać się z daleka od wszelkich wątpliwości czy zaskoczeń. I chaosu reszty świata.

Zasada pierwsza: żeby wejść na Itakę, musisz być prawdziwym graczem. I liczy się tylko oficjalna punktacja.

Zasada druga: co miesiąc wpłaca się pieniądze do wspólnej kasy. Za nie kupowane jest jedzenie i picie. Mina, jedyna dziewczyna w tej paczce, podjęła się pilnowania, żeby

ilość

śmieciowego jedzenia nie przekraczała pewnego poziomu. Zatem żadnego polewania popcornu czekoladą. A przynajmniej nie codziennie.

Zasada trzecia: jeśli gra się w piracką grę komputerową dłużej niż trzy godziny, potem trzeba ją kupić.

I właśnie tej zasady najtrudniej było przestrzegać.

Bo głównie tym zajmowali się całymi popołudniami: graniem w gry komputerowe. I byli w tym świetni. Ściągali i wypróbowywali praktycznie wszystko. Ale gdy się

okazywało,

że któraś z gier szczególnie im się spodobała, musieli znaleźć sposób, by ją kupić.

Albo przestać w nią grać.

Bracia Brady nie mogli się z tym pogodzić.

„Ale to niesprawiedliwe! Jest fantastyczna!”

„Grajmy dalej mimo wszystko! Nikt się nie dowie!”

Ale Connor był nieugięty. I nie dlatego że chciał wszystkim zepsuć zabawę. Marzył o tym, żeby kiedyś zostać twórcą gier komputerowych i z tego żyć. Jeśli wszyscy ściągiliby

je z

Internetu bez płacenia, jego marzenie mogłoby się nie ziścić.

Zegar pokazywał za kwadrans drugą. Lepiej się pospieszyć.

Connor pochłonął jeszcze pół hamburgera i przeszedł przez pokój, który zajmował znaczną część miejsca pod pokładem. Z jednej strony stały trzy bez przerwy włączone komputery i duży telewizor ustawiony na skos pod bulajami. Z drugiej znajdowały się wysiedziana kanapa i gęstwina półek z książkami, podręcznikami i komiksami. Na

dziobie,

gdzie była lodówka, dach opadał aż do dwóch okienek położonych tuż nad powierzchnią wody. Na rufie urządzono mały składzik, sypialnię i łazienkę.

Connor rozebrał się, rzucił ubrania na ziemię i odkręcił wodę pod prysznicem, który zrobił sam z drzwi starej kabiny telefonicznej i ogromnej suszarki do naczyń służącej za słuchawkę.

Huknął czarny bojler na dachu Itaki.

Wszedł pod ciepłą wodę i zamknął oczy.

Ich przyjaźń zaczęła się od sieci bezprzewodowej.

Rodzice braci Bradych wezwali Connora, żeby naprawił domowe komputery, i gdy siedział tam, pociągając za kable i przeprowadzając kolejne próby, bliźnięta zapytały go,

czy

umie grać w Planet of Aces.

„Pewnie, że tak”.

„To przyszedłbyś później do nas na górę? Potrzebujemy kogoś, kto jest w tym dobry”.

Connorowi jeszcze teraz chciało się śmiać, gdy o tym pomyślał.

Zrobił porządek z modemem i poszedł do pokoju bliźniąt. Była tam i Mina. Od razu poczuł się jak starszy brat każdego z tych dzieciaków.

Podali mu kontroler do gry. Connor myślał, że szukali jakiegoś mocarza, żeby przejść przez zbyt trudny poziom. Okazało się jednak, że ta trójka wybrała opcję „pojedynek”.

„Zobaczysz, że on cię pokona”, powiedział jeden z braci Bradych z nadzieją w głosie.

Drugi kontroler trzymała Mina. Wyglądała jak indyjska księżniczka, która wyszła z bajki i wbiła się w parę džinsów. Przynajmniej do momentu gdy nie wcisnęła „start”.

Pięć minut później statek kosmiczny Connora został unicestwiony, a na twarzach braci Bradych malowało się straszne rozczarowanie.

„Kto cię nauczył tak grać?”, zapytał ją Connor.

„Nikt”, odpowiedziała Mina.

Connor znów nacisnął przycisk „start”.

„Gramy jeszcze raz”, postanowił.

I od tamtej chwili już nie przestali grać.

Connor usłyszał kroki na pokładzie. Przetarł twarz pod strumieniem ciepłej wody, po czym chwycił mosiężną rurkę zwisającą z sufitu.

- Hej, tam! - krzyknął do środka.

- Murray i Shane! - odpowiedzieli mu z góry jednym głosem.

- Zrobicie coś dla mnie? A ja się w tym czasie ubiorę. Przyniesiecie mi dwa pomidory z ogródka?

Nastąpiła chwila wahania.

- A jakie pomidory ci przynieść?

Connor się uśmiechnął. To powiedział Murray.

- Takie dojrzałe? Wiesz... czerwone? Soczyste?

- Wyślę Shane'a.

- I bez przewracania anten, jeśli łaska.

- Się robi, szefie.

Connor wytarł włosy ręcznikiem. Lubił, jak mówili do niego „szefie”.

Zwłaszcza że to była nieprawda.

Usłyszał, jak Shane skacze po dachu łodzi.

W drzwiach pokazały się długie czarne włosy Murraya.

- Papryki nie? - zapytał z uśmiechem.

- Niekoniecznie. Chyba że ją zjecie na podwieczorek - odpowiedział Connor. Murray uwiesił się na futrynie i zaczął bujać.
- Nie zgadniesz, co ci dzisiaj przyniosłem - powiedział.
- Polowanie bohaterów - odpowiedział Connor - które właśnie przyszło pocztą. Murray wytrzeszczył oczy. Jego niespodziankę diabli wzięli.
- Skąd wiedziałeś?
- Nie na darmo jestem szefem - zaśmiał się Connor.
- Gramy od razu czy czekamy na resztę?
- A jak sądzisz? - zapytał Murray.
- Pomidory idą! - krzyknął Shane z dachu łodzi. Zaczęli od razu. Polowanie bohaterów to była gra, której wypatrywali od dawna. Przestali grać, gdy wyczerpali przepisowe A. trzy godziny próbne, i niecierpliwie czekali, żeby znów zacząć. Kiedy przyszli pozostali, biegiem zajęli swoje miejsca, w tym samym szyku co zwykle: bracia Brady przy jednym komputerze, Mina z Connorem przy drugim, Murray i Shane przy ostatnim.
- Cześć, blondynie! - Tylko tyle powiedziała Mina do Connora, zanim załadowała swoją ulubioną postać.
- Księżniczko...
- Kapłanko magii - poprawiła go.

I wystartowali: głośność na maksa i trzy monitory połączone ze sobą. Tempo gry dyktował Murray, wcielający się w rycerza, który miał za zadanie uwolnić królestwo od wrednego smoka. Shane, zawsze u jego boku, był czarodziejem bez imienia, ale tylko dlatego

że jeszcze nie znalazł takiego, które by mu pasowało. Mina była kapłanką, której szaty rzucały okropne czary, Connor - niezwykle zręcznym złodziejem. Byli też bracia Brady, wykonujący zawsze sprzeczne ruchy, żeby tylko zrobić sobie na złość: pierwszy był muskularnym czarnoskórym wojownikiem, drugi - otepiałym staruszkim. Grali, aż im się oczy zaczerwieniły, z nielicznymi przerwami: jedną, na wyjście do łazienki, i drugą, żeby poszukać w lodówce czegoś do picia. I przez cały ten czas nikt nie wszedł i im nie przeszkodził.

ROZDZIAŁ 3

Gracze

- A potem na Itace wybiła godzina odwrotu: trzeba było iść do domu. Zostawili komputery i wyszli na pokład, rozprawiając o tym, co widzieli, co odkryli, o stworzeniach, które zabili. Słyszac ich z brzegu, nie można było rozróżnić głosów.
- To było genialne!
 - Super!
 - Widziałeś, że pod wieżą naprawdę było tajne przejście?
 - A ten Minotaur? Ciekawe, czy jeszcze żyje. Wymienili się ostatnimi radami i przewidywaniami co do następnej rozgrywki i umówili się na kolejny raz.
 - Na wypadek wojny jądrowej - skomentował jeden z braci Bradych podczas przerwy w grze - mamy wszystko, co potrzebne do przeżycia: gry, ogródek, ryby i Internet...
 - W razie wojny jądrowej, Brady, nie byłoby Internetu - skwitowała Mina, na co

wszyscy wybuchli śmiechem.

- W każdym razie mnie jutro nie ma... - powiedział Connor, ziewając ze zmęczenia. Jego blond włosy kłębiły się na głowie niczym węże.

- Moglibyśmy iść na lagunę - zaproponowała Mina. A że jej przyjaciele o pójściu nad morze nigdy nie chcieli nawet słyszeć, od razu dodała: - Błagam! Już od miesiąca was proszę!

Shane spojrział na Murraya, licząc na jakąś wymówkę. Murray spojrział na braci Bradych, licząc na jakiś pomysł.

- Mamy do wypróbowania zdalnie sterowany helikopter! - zgodnie ucieszyli się bliźniacy.

- No to zaklepane - powiedział Murray.

A Minie pozostało tylko wznieść oczy ku niebu, zachichotać i wsiąść na rower.

Później tego wieczoru Murray zadumał się, zmywając naczynia. Myślami, odległymi i bezładnymi, tkwił jeszcze w grze.

- Murray? - wyrwała go z zamyślenia mama. - Wszystko dobrze? - I przykręciła wodę w kranie.

Otrząsnął się i uśmiechnął.

- Przepraszam.

- O czym myślałeś?

- O niczym - odpowiedział Murray. I była to prawda. Myślał o tylu rzeczach naraz, że właściwie nie myślał o niczym. Rycerze, zbroje, tajne przejścia...

- Co masz w ręku? - zapytała mama.

Murray podniósł łyżkę wazową i przyjrzał się jej.

- Łyżkę wazową?

- Wymachiwałeś nią, jakby to był miecz... - powiedziała kobieta z uśmiechem.

- A, nie... nie zwróciłem uwagi.

Jego mama przejrzała gazetę.

- Wiesz, czasem się martwię. Spędzasz cały czas przed komputerem, na tych grach, co nie istnieją...

- To nieprawda, że nie istnieją - odparł Murray.

- Wiesz, co mam na myśli - westchnęła. - Potwory, smoki, wampiry... Przecież tego wszystkiego nie ma...

- To ty tak twierdzisz.

Przytaknęła, odczekała chwilę, a potem zapytała:

- Czy uważasz, że jestem męcząca, Murray? Jestem nudną matką?

- Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Myślami zawsze jesteś w swoim świecie. I to mnie bardzo cieszy, ale... chciałabym, żebyś czasami pobyl też trochę w moim i...

Nie dodała „i taty”, bo ojciec Murraya od dwóch lat siedział w więzieniu. A jego nieobecność była jednym z powodów, dla których ona tak często zastanawiała się nad synem.

- Nie jesteś nudna - odpowiedział Murray.

Mama zamknęła gazetę.

- Więc dlaczego tak rzadko rozmawiamy?

- Może dlatego że jesteś dorosła. A pewnych rzeczy dorośli nie rozumieją. Tacy już jesteście.

Gdy patrzył na nią w ten sposób, przypominał jej małego wilczka.

Roześmiała się, zmierzwiła mu włosy i zapytała:

- Chociaż odrobiłeś lekcje?
- Teraz faktycznie jesteś nudna.

Ruszyli schodami na górę.

- Czego się będziesz uczył jutro w szkole? - zapytała znowu mama.
- Niczego - odpowiedział Murray, najwyraźniej niereformowalny.

Po czym wspiał się aż do pokoju na poddaszu, sprawdził, czy nikt nie poprzestawiał krzeseł przy starym sekretarzyku, i upewniwszy się, że wszystko jest na miejscu, poszedł spać.

Gdy tylko w uszach przestało mu brzęczeć od odgłosów bitwy z Polowania bohaterów, przyśniło mu się, że razem z tatą odnaleźli w końcu mechanizm, dzięki

któremu w

tym starym, używanym meblu ukazała się tajemnicza szuflada.

I że w środku... w KTÓRYM dowiadujemy się, I grzecznej dziewczynki

ROZDZIAŁ 4

LEKCJE UCIEKANIA

PRESS

PrintingMachine, Press, Type, Materiał, and Rolier Manufactmeii.

Murray? Murray? - zawołał go profesor Clark po lekcjach. - Możesz chwilę zostać?

Murray wystąpił z szeregu dzieci opuszczających klasę jak wezbrana rzeka. Było mu gorąco, a ostatnią lekcję spędził na obserwowaniu chmur kłębiących się na niebie.

Mina prześliznęła się obok, szepcząc mu do ucha, że zaczeka na dole. Skinął głową.

Potem przycisnął książki do piersi, jak tarczę, i czekał.

Gdy tylko ostatni z kolegów Murraya wyszedł z sali, profesor Clark przestał robić zapiski w dzienniku. Poszukał okularów, nałożył je na nos i odchrząknął.

- To nic ważnego, synku, ale chciałem ci to powiedzieć...

Murray pociągnął nosem. Nie chciał, żeby nazywał go

„synkiem” profesor w takim krawacie.

- Czytałem twoje ostatnie wypracowania - kontynuował profesor Clark, gładząc się po kocznej bródce. - I... są dobre. Bardzo dobre. To, co napisałeś o Darwinie na przykład, nie wygląda na pracę chłopca w twoim wieku.

- Chce profesor powiedzieć, że ściągałem?

Nauczyciel zszedł z katedry, chichocząc.

- Nie, nie! Tego nie powiedziałem. Bo nie ściągałeś, prawda?

- Można to sprawdzić w Internecie, jeśli profesor mi nie wierzy - odpowiedział

Murray. - Podoba mi się historia Darwina.

Profesor Clark skierował się do drzwi, pozwalając mu mówić dalej.

- Podoba mi się, że zostawił wszystko za sobą i wyruszył w morze, żeby badać zwierzęta... A później, kiedy wrócił... napisał książkę - powiedział Murray.

- Dwa lata na morzu.

- Jakbym był na jego miejscu, zostałbym tam i dziesięć!

- A twoi przyjaciele?

- Poprosiłbym ich, żeby popłynęli ze mną... Spacerowali korytarzem, gdzie

rozbrzmiewały ostatnie głosy uciekających uczniów.

- Słyszałem, że napisałeś parę opowiadań... - powiedział wtedy profesor Clark, a Murray natychmiast nadstawił uszu.

- Kto panu mówił? - zapytał.

- Zatem to prawda?

Naturalnie. Miał notatniki z portu, z wymyślonymi życiorysami żelaznych okrętów. I dziesiątki innych opowiadań, na przykład o przygodach Artura, zanim został królem. I

dużo

innych historii, o których wolał jednak z nikim nie rozmawiać. Profesor Clark przystanął.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym je przeczytać. I może coś ci doradzić w kwestii... ich poprawienia.

- Nie trzeba ich poprawiać.

- Ach, tak? Świetnie! To jeszcze lepiej. Ale jakbyś jednak chciał mi je dać do przeczytania... Szkoła nie ma nic do tego. To nie jest egzamin. I nie zamierzam ci

wystawiać

oceny.

- A więc co pan zamierza?

Profesor Clark miał małe oczka powiększone przez prostokątne szkła okularów.

- Tylko je przeczytać. I być może podsunąć paru moim znajomym, którzy pracują w czasopiśmie dla początkujących młodych autorów...

Murray potrząsnął głową.

- Sęk w tym, profesorze, że mi nie zależy na tym, żeby je ktoś czytał. Lubię je czasami opowiadać moim przyjaciołom, jak nadarzy się okazja...

Profesor Clark z pewnym zakłopotaniem poprawił krawat.

- I słusznie. Ale jak zmienisz zdanie, synku...

Znowu to słowo!

Murray czmychnął.

- Jak zmienię zdanie, pan pierwszy się o tym dowie. Dziękuję! - I gdy już dobiegł do schodów, wskoczył na poręcz i zjechał.

- Murray! - huknęła pani Johanna przy drzwiach. - Ile razy ci mówiłam, żebyś tak nie robił? To niebezpieczne!

- To jedyny powód, dla którego to robi... - mruknął profesor Clark z zazdrością.

Stojąc między klasycznymi posągami, które zdobiły szczyt schodów, znacząco się uśmiechnął. Poluzował węzeł krawata i z grymasem na twarzy zszedł po stopniach.

Mina czekała na niego pod drzewami. Swoją zwiewną czerwonożółtą spódnicę związała nad kolanami, żeby nie przeszkadzała jej podczas jazdy, a długie czarne włosy zebrała w kucyk.

Lekcje uciekania

- Wszystko okej? - zapytała.

- Tak, spoko. Chciał tylko trochę pozawracać głowę.

Nic jej więcej nie wyjaśniał.

Wskoczyli na siodelka i oddalili się szybko pośród samochodów, które przyjechały po inne dzieci. Ominęli te żelazne bizony, torując sobie drogę aż do głównego placu, gdzie parkowe drzewa kołysały się na wietrze. Mieli szczęście: był piękny słoneczny dzień.

Ponad

szarymi dachami bloków rozpościerało się białobłękitne niebo, po którym mknęły chmury.

Murray i Mina minęli rząd czarnych taksówek zaparkowanych przy głównej ulicy i wjechali w samo serce starego miasta.

Dotarli do okazałego wejścia hali targowej i wtedy Murray stanął na pedałach.

- Chodź! - zaproponował, gwałtownie skręcając. - Pojedziemy na skróty.

Po czym jednym susem rzucił się pod żelazną arkadę służącą za wejście do hali.

- Murray, nie na rowerze! - krzyknęła Mina.

Ale że jej przyjaciel się nie zatrzymywał, ruszyła za nim.

Hala targowa należała do niewielu starych budynków w mieście. Był to przestronny obiekt z czerwonej cegły, z żelaznym zadaszeniem, pośrodku którego znajdował się

bardzo

długi świetlik. Poniżej, wśród wesołego gwaru, stali rzeźnicy i rybacy, stragany z

warzywami

i owocami, serami i dżemami.

Murray i Mina pomknęli pełnym gazem między straganami, główną alejką biegnącą pod świetlikiem.

„Ej!”, „Co za manieri!”, „Uważaj, gdzie jedziesz!” - oburzali się niektórzy.

Inni natomiast chyba rozpoznali Murraya, bo uśmiechali się pod nosem.

- Co poradzisz? To syn Paddy’ego!* - wyjaśnił dwóm klientom mężczyzna z tasakiem na stoisku z wieprzowiną. - Wygląda, jakby szukał guza, ale to dobry chłopak,uchy by

nie

skrzywdził. Naprawdę dobry chłopak! To co, tu ukroić?

Murray nie wiedział, co myślą o nim straganiarze: jechał w pełnym skupieniu, starając się przemykać między klientami. A Mina próbowała za nim nadążyć, nieustannie przepraszając za nich oboje.

Co za obłąd!

Przemierzyli niemal całą halę, wśród krzątający sprzedawców i klientów z torbami na zakupy, ale gdy niemal dotarli do drugiego wyjścia, Murray krzyknął, zaniepokojony: „Zsiadaj!” - i zeskoczył z siodełka rozpędzonego roweru, hamując piętami. Zobaczył

przed

sobą mundur policjanta, chodzącego między straganami i sprawdzającego, czy wszystko

gra.

* Przypis tłumacza rękopisu. W dalszej części tekstu dowiadujemy się, że nazwisko Murraya to Ciarke. Być może tajemniczy autor chciał w ten sposób nawiązać do słynnego bohatera powieści Paddy Ciarke Ha! Ha! Ha! napisanej przez Roddy’ego Doyle’a. Jadąca z tyłu Mina nie była taka szybka. Jakaś pani w podeszłym wieku wyłoniła się nagle zza rogu stoiska z tekstyliami i kierownica dziewczynki trafiła prosto w jej torbę z zakupami.

Siatka spadła na ziemię i potoczyła się pod ladę, przy czym rozległ się dość nieprzyjemny dźwięk tłuczonych jaj.

- Na pomoc! - wrzasnęła starsza pani, mocno przestraszona.

- Przepraszam! Przepraszam! - powiedziała Mina ze skrucą. Dała nura pod tkaniny i natychmiast wyciągnęła torbę z zakupami. Poczwała, że w środku coś cieknie. - Mam

nadzieję,

że wszystko w porządku i że...

- To bolało! - wrzasnęła znów starsza pani. - Tu nie można jeździć rowerem!

- Dobrze już, dobrze, nic się nie stało. A panienka przecież zsiadła - powiedział sprzedawca, żeby ją uspokoić.

Mina podziękowała mu, ale kobieta nie odpuszczała i dziewczynka nie wiedziała, co jej odpowiedzieć. Z trudnością łapała oddech, bardziej ze wstydu niż przez zadyszkę spowodowaną jazdą.

Jak mogła dać się wciągnąć w coś tak głupiego?

Była wściekła na Murraya. Nawet się nie odwrócił, gdy zauważył, że policjant idzie w ich stronę, zagwizdał:

- Oho, czas się zbierać!

Koła rowerów zapiszczały na posadzce, a spódnica Miny wydęła się jak żagiel na wietrze. Wskoczyli ze straganu z tkaninami na chwilę przed tym, jak dotarł tam

policjant, a z

niektórych stoisk obok dało się słyszeć szyderczy śmiech. Policjant na darmo dmuchał w gwizdek.

Murray i Mina nie zatrzymali się. Odjechali, pedałując co sił w nogach przez kłębowisko oszalałych gołębi.

Zatrzymali się, dopiero kiedy dotarli do torów.

Z jednej strony rozciągał się pas jałowej ziemi, która opadała aż do morza. Z drugiej widać było w oddali niskie i kanciaste sylwetki domów.

- Tobie kompletnie odbiło! - wybuchła wtedy Mina, która jednocześnie wyglądała na rozbawioną. - Słyszałeś, Murrayu Clarke'u?

Murray minął tory i przymocował swój rower do rowerów Shane'a i braci Bradych, którzy najwyraźniej już przyjechali.

- Myślę, że słyszeli cię aż na uniwersytecie - odpowiedział.

- Nie bądź teraz taki mądry! - nie odpuszczała dziewczynka. - Przez ciebie zrobiłam straszne głupstwo!

Jej czarne oczy były szeroko otwarte, włosy wyslizgiwały się z kucyka, a ciemna skóra pulsowała z wrażeń.

Murray spojrział na nią i roześmiał się.

- Ale to ty je zrobiłaś!

- Cooo?

- Przed chwilą powiedziałaś, że przeze mnie zrobiłaś straszne głupstwo. To prawda... ale to ty je zrobiłaś!

- Nie prowokuj mnie!

Murray znów się roześmiał.

- Co tu jest do śmiechu? - przycisnęła go Mina.

- Nic, naprawdę. Przepraszam.

- Nie, nie! Co tu jest do śmiechu?

Murray podniósł obie ręce.

- Przepraszam, naprawdę. Poddaję się. Obiecuję, że nigdy już nie będę cię namawiał na jazdę rowerem przez halę targową.

- To niebezpieczne, Murray! Głupie! Mogliśmy zrobić komuś krzywdę i...

- Słyszałaś, jak krzyczała?

Mina roześmiała się mimo woli.

- Tak, słyszałam, ale... nie o to chodzi...

- Podobało ci się - powiedział Murray. - Chociaż troszkę, przyznaj, że ci się podobało.

- NIE! - wykrzyknęła Mina.

- Ani troszkę?

- MURRAY!

- Okej - wycofał się Murray. - Poddaję się.

Mina powoli się uspokajała. To nie do końca było tak, że jej się nie podobało. Uczucie strachu było ekscytujące, ale tego rodzaju zachowanie wydawało się typowe raczej dla jej braci: miała wrażenie, że zrobią wszystko, byle wpakować się w kłopoty. I choć mogła zrozumieć, że Murray miał na pieńku z policjantami ze względu na swojego ojca, to

jednak

tego nie pochwalała. To tak jakby ona miała na pieńku z komputerami ze względu na swojego.

Weszli na wąską ścieżkę prowadzącą w dół między dwoma rzędami ciernistych krzewów.

- Następnym razem możemy przejechać przez cały Dworzec Główny! - szepnął do niej w pewnym momencie Murray, po czym szybko uciekł w zarośla.

ROZDZIAŁ 5

Kod Ramię

W KTÓRYM ODKRYWAMY, ŻE ABY SIĘ ZGUBIĆ,

TAKŻE TRZEBA ZNAĆ DOKŁADNE ZASADY

A ŻEBY O CZYMŚ PAMIĘTAĆ, CZASAMI NIE WYSTARCZY I WĘZEŁEK

Laguna była dużym rezerwatem faunistycznym. Rozległym, niezbadanym terytorium, pofałdowanym i jałowym. Składała się z piaszczystych pagórków, źródełek, szumiących trzcin, małych zagajników i gęstych zarośli. Fragment ciągnący się za torami pokrywały kwitnące krzewy i niskie, wygięte od wiatru drzewa.

Dalej laguna zamieniała się w obszar opanowany przez ptaki i małe zwierzątka. Od czasu do czasu słychać było szelest liści czy dziwne nawoływania jakiegoś zwierzęcia,

które

później zrywało się do lotu, chowało lub skakało do wody.

Szli boso, z butami zawieszonymi na szyi. Im bliżej byli morza, tym bardziej piaszczysty stawał się grunt, a owady brzęczały w zwartych rojach. Źródelka słonawej

wody

bieliły się wśród krzewów, a ogromne, zaokrąglone przez wiatr głązy wystawały z wydm niczym strażnicy. Na swoją tajną plażę paczka wybrała odległą zatoczkę, ukrytą gdzieś w

tym

labiryncie trzcin i małych wzniesień. Na każdym skrzyżowaniu trzeba było przystanąć,

żeby

sprawdzić, w jakim iść kierunku: zaznaczyli go kiedyś węzełkami z białej wełny, niewidocznymi dla kogoś, kto nie wiedział, gdzie ich szukać.

Murray z aparatem szedł z przodu i pogwizdywał.

Mina, patrząc na niego z tyłu, rozpamiętywała jeszcze to, co zrobili.

- Co ci jest? - zapytał ją chłopak, gdy przedzierali się przez gąszcz zarośli.

- Nic. Dlaczego?

Murray sprawdził wełniane tasiemki na pierwszym skrzyżowaniu i skręcił w lewo.

- Westchnęłaś.

- Żyjemy w wolnym kraju - odparła spokojnie Mina.

Weszli w zagłębienie między dwoma piaszczystymi pagórkami, pełne poskręcanych

korzeni i małych niebieskich kwiatków. Powietrze pachniało solanką i wilgotną korą.

- Mnie nie nabierzesz - kontynuował Murray, nie oglądając się. - Od tylu dni się dopominasz, żeby przyjść nad morze. A jak ktoś z nas chce iść nad morze, to zazwyczaj albo ma nowy helikopter, albo...

- Mam problemy z tatą - przerwała mu Mina, i od razu pożałowała tego, co powiedziała.

Murray nieznacznie zwolnił kroku.

- Jeśli o to chodzi, to nie jesteś jedyna...

- Nie to chciałam powiedzieć. Ale tak jest.

Zatrzymali się w cieniu dzikiej śliwy. W gałęziach widać było pozostałości starego opuszczonego gniazda.

- Jakiego rodzaju problemy? - zapytał Murray.

- Znowu chce się przeprowadzać do innego miasta.

- Czyli gdzie?

- A kto to wie? Raz mówi o Seattle, innym razem o Pało Al to... W każdym razie bardzo daleko stąd. Twierdzi, że to niezmiernie ważne ze względu na pracę, bo tutaj jego kariera stoi w miejscu.

- A mama co mówi?

- Mama mówi to, co on chce usłyszeć. Moi bracia są już na tyle duzi, żeby sami o siebie zadbać, a więc...

- Jedyną osobą, która nie chce wyjechać, jesteś ty.

- Dokładnie - przyznała Mina. Wyciągnęła rękę, żeby zerwać małą czerwoną jagodę, i ścisnęła ją w palcach, aż wyciekła z niej kropla cierpkiego soku. - Mała dziewczynka, która dobrze sobie radzi w szkole, a więc może się uczyć gdziekolwiek.

Murray ruszył dalej.

- A ciębie nie cieszy myśl o podróży?

- Podróżować to jedno. Wyjechać to drugie.

- A jaka jest różnica?

- Kiedy podróżujesz, to tak, jakbyś przeżywał przygodę, wiesz, dokąd wracać. Natomiast kiedy wyjeżdżasz... to tak, jakbyś uciekał. - Mina utkwiała wzrok w palcach u nóg, które zapadały się w piasku, i nie zauważyła, że Murray się zatrzymał. Uderzyła w jego plecy.

- Przepraszam.

- Nie, to ja przepraszam... - Murray pokazał na klęczącą postać kilka kroków przed nimi.

To był Shane, który wyglądał na bardzo przejętego.

- Ktoś tu był... - powiedział cicho.

Żadnego „cześć”, tylko to zdanie.

Murray przykucnął koło niego.

- Ktoś: kto?

- Nie wiem - odpowiedział Shane. - Ale pozdejmował wełniane tasemki.

- Ba... - mruknęła Mina. - Pewnie odleciały...

Kod Ramię

Murray spiorunował ją wzrokiem.

- Białe tasiemki nie odlatują. Jeśli ich nie ma, to znaczy, że ktoś je pozdejmował.

- Też tak sędzę.

Mina starała się powstrzymać od śmiechu.

- Żartujecie, prawda?

Shane rozejrzał się dokoła, jakby był na celowniku snajpera.

- Sprawdziłem wszędzie, Murray. Pozdejmowali je i w innych miejscach.

- Wytropili nas - powiedział Murray ze śmiertelną powagą.

- Chłopaki? - wymamrotała Mina. - Ziemia do kumpli, powtarzam, Ziemia do kumpli: zwariowaliście?

Ze swojego szkolnego worka Murray wyciągnął walkietalkie i scyzoryk. Rzucił scyzoryk Minie ze słowami:

- Mam nadzieję, że będziesz go umiała użyć, gdyby nas zaatakowali! - Potem włączył walkietalkie. - Oddział plażowy, tu leśniczy... oddział plażowy, tu leśniczy... słyszycie

mnie?

Odbiór.

Walkietalkie brzęczało przez parę sekund, a potem odezwał się głos jednego z braci Bradych.

- Tu oddział plażowy... mówcie, leśniczy... odbiór.

- Są poszlaki świadczące o obecności wrogich wojsk. Musicie opuścić teren... odbiór.

- Zrozumiałem, leśniczy... natychmiast wysyłamy na zwiady nisko latający helikopter... odbiór.

- Zaprzeczam! Zaprzeczam! - krzyknął Murray. - To zbyt niebezpieczne! Kod Ramię! Powtarzam: Kod Ramię!

- Potwierdzam. Kod Ramię także dla was, leśniczy. Bez odbioru!

Gdy tylko zakończyli połączenie, Mina zamruwała z niedowierzaniem.

- Można wiedzieć, co to jest Kod Ramię?

Shane udawał, że pokazuje jej coś, co znajduje się za nią na ścieżce, ale Mina nie dała się nabrać.

Dotknęła szybko jego ramienia i zapytała:

- O to chodzi?

Murray przytaknął. Tak to właśnie działało: kto dał się klepnąć w ramię, odpadał z gry.

Dwie drużyny: Murray, Shane i Mina jako leśniczy, dwaj bracia Brady jako oddział plażowy.

- Dobra - powiedziała Mina, zacierając ręce. Cała sprawa ze zniknięciem tasiemek nabrała zupełnie nowego znaczenia. - No to gramy!

Rozdzielili się.

Shane poszedł w jedną stronę, Murray i Mina w drugą - chcieli otoczyć plażę.

Zeszli do następnego zagłębienia, wydostali się z drugiej strony i minęli piramidkę kamyków, do której Murray dołożył jeszcze jeden kamień, a później skręcili w stronę

morza.

Biegli co sił w nogach, podekscytowani myślą, że na każdym kroku mogą wpaść w zasadzkę.

Po przybyciu do dwóch bliźniaczych drzew wybrali ścieżkę po lewej, a na białej wydmie odbili w prawo. Murray nazywał te wszystkie miejsca, jakby doskonale je znał, a Mina

ślepo

mu wierzyła. Miała tylko niejasne pojęcie o tym, jak daleko ciągnie się laguna, i właśnie

to

było w tej zabawie najfajniejsze. Jedyna zasada obowiązująca tego popołudnia brzmiała: uwaga na ramiona.

- Padnij! - rozkazał w pewnym momencie Murray, kiedy mieli przemierzyć gęste trzciny. I choć nie było żadnego powodu, by to zrobić, a może właśnie dlatego, Mina posłuchała.

Pełno było piachu. Czołgali się na brzuchu niczym marines, gdy Mina zobaczyła, że coś kołysze trzciniami.

Szarpnęła Murraya za dzinsy.

- Pst!

Wstrzymali oddech, ale okazało się, że to fałszywy alarm. W szuwarach nie było żadnego Brady'ego, tylko rodzina badylarek.

Wrócili do okrążania plaży. Wydostali się z trzciny i już wkrótce maszerowali w płytkiej warstwie wody i błota, po którym ślizgały się robaki. Murray przyłożył do

ramienia

jakąś gałąź, jakby to był pistolet maszynowy, i ruszył dalej.

ROZDZIAŁ 6

ZAGUBIENI NA LAGUNIE

Dotarli do morza, a właściwie do tego, co wyglądało na cieśninę uwięzioną między dwiema mieliznami. Dalej był gęsty zagajnik, a trzciny, przez które wcześniej przeszli,

robiły

się na tyle wysokie, że prawie całkowicie zasłaniały pole widzenia.

Murray udał, że określa ich pozycję na niewidzialnej mapie, sprawdził położenie słońca i zbadał kierunek wiatru, wystawiając pośliniony czubek palca.

Potem wybuchnął śmiechem.

- Leśniczy Mina... - szepnął.

- Co?

- Nie mam zielonego pojęcia, gdzie wylądowaliśmy.

Wokół nich szumiała laguna.

Nie było żadnego punktu odniesienia.

Słońce zamieniło się w białą tarczę ukrytą wśród chmur. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie ten sam bezładny krajobraz: źródelka upstrzone owadami, falujące trzciny, a w oddali monotony ciąg pagórków, piaszczystych wydm i usypisk. Krzewy oblepione jagodami, suche drzewa, drobne kolorowe kwiatki.

Stojąc na ścieżce, można było usłyszeć orkiestrę brzęczących owadów, świergotanie wróbla i sójki. Czaplę. Kormorana. Krakanie kruka i krzyk mowy. Zobaczyli nutkę

plywającą

na wodzie. Zaskrońca wygrzewającego się na słońcu. Dobiegło ich syczenie węża

rzecznego.

Głuchy odgłos jakiegoś małego zwierzęcia skaczącego do wody.

To wielkie misterium zwyczajnego świata sprawiło, że ciarki przeszły im po plecach.

- Tylko bez paniki, leśniczy Mina... - szepnął Murray, choć sam czuł się nieswojo.

- Bez paniki, Murray - powiedziała Mina.

Wydawało się, że jej głos przeszywają mikroskopijne płatki złota unoszące się wokół nich w powietrzu.

Popatrzyła na nie.

Pylek kwiatowy. To był zwykły pyłek kwiatowy.

Szli ścieżką dalej, lecz ostrożniej - jak zawsze, gdy się wydaje, że słyhać głos danego miejsca. Trzymali się bliżej siebie. Murray rozglądał się w poszukiwaniu jakiegoś punktu orientacyjnego: drzewa, kamienia, wzgórza, zarysu wyspy.

Tysiąc razy był na tej lagunie. Także ze swoim ojcem.

Przyszli kiedyś o świcie, żeby zobaczyć, jak przylatują gęsi.

I w nocy, kiedy rozszalała się burza na morzu.

Ta laguna była dla niego jak dom, pomyślał Murray. A w domu nie można się zgubić.

Dlatego właśnie czuł się nieswojo. Nigdy wcześniej się nie zgubił.

Odwrócił się, żeby uśmiechnąć się do Miny. Ona odpowiedziała uśmiechem. Nie bali się: mieli jeszcze walkietalkie. Ale podczas tej zabawy coś się wydarzyło. I oboje to czuli.

Coś wisiało w powietrzu.

Wcisnęli się w gąszcz trzciny i mieli wrażenie, że stąpają między dwiema wibrującymi ścianami. Ścieżka zwężyła się i kierowała ku wodzie, która już wkrótce sięgała im do

kolan.

Mina podciągnęła spódnicę tak wysoko, jak się dało, ale w końcu miała dosyć i puściła ją

tak,

że unosiła się wokół jej nóg.

Murray torował sobie drogę kijem, który wcześniej podniósł.

Mina szła bardzo blisko niego. Powstrzymała się od krzyku, gdy przemknęła jej między stopami jakaś duża ryba, wystraszona ich obecnością.

- To tylko ryba... - powiedział Murray. A przed jego ustami znów latały złote drobiny.

Bagnisty odcinek zakończył się na wybrzeżu porośniętym drzewami: stare zbutwiałe pnie zapadały się w szuwarach. Korę pokrywały plamki złożone z kolonii szarych

grzybów.

Murray wdrapał się na brzeg. Gdy wyciągał nogi z błota, rozległ się charakterystyczny dźwięk odsysania. Usiadł na ziemi i odwrócił się, by pomóc Minie, ale poradziła sobie

sama.

Złapała się jakiegoś korzenia i podciągnęła. Spódniczka jednak okazała się cięższa, niż myślała: dziewczynka potknęła się i zerwała stopą kawałek kory. Białe owady rozbiegły

się

po wydrążonych w pniu korytarzach jak maleńkie perły z nóżkami.

Mina podniosła się i wycisnęła spódniczkę najmocniej, jak mogła.

Wkroczyli w dziki rejon laguny. Znad tafli wody, którą zostawili za plecami, spoglądała na nich czapla.

- Nie robisz żadnych zdjęć - powiedziała Mina do Murraya, który czekał na nią w gęstych zaroślach.

- Bateria się wyładowała - skłamał, odwracając się do niej.

Dotarli do stosu kamieni, na których dziko rosły bujne krzewy róż. Małe białe kwiaty pozwijały się jak sploty węża. Ich zapach był odurzający. Mina wyciągnęła rękę, by

zerwać

jeden z nich, lecz Murray ją powstrzymał.

- Nie - powiedział, jakby chodziło o coś ważnego. - Nie można.

Mina pomyślała, że ma rację.

Minęli kamienie, pozostawiając za sobą ogród różany. Odkryli dróżkę skręcającą w kierunku, gdzie gęszcz drzew trochę się przerzedzał. Szuwary, z których się wydostali, znalazły się po ich prawej stronie, poniżej terenu, po którym teraz szli. Zanurzali stopy w płataninie płożącego się bluszczu, który wydawał się tętnić życiem z każdym ich krokiem.

Tam gdzie gałęzie stawały się rzadsze, widać było rozciągający się obszar laguny i Minie zdawało się, że rozpoznaje słupy energetyczne stojące wzdłuż torów. Powiedziała o tym Murrayowi, a on przytaknął. Faktycznie wyglądało na to, że wracają do punktu wyjścia. Ale to wszystko wciąż było bardzo dziwne.

Posuwali się ścieżką do przodu, prawie nie odzywając się do siebie. Wiatr szeleścił liśćmi na obrzeżach lasu. Słońce rzuciło na bluszcz plamy białego lśniącego światła. Całe runo leśne tętniło życiem.

Murray pomyślał, że gdyby szli cały czas prosto, mogliby spotkać się z resztą na wysokości dwóch bliźniaczych drzew albo białej wydmy, albo...

Dróżka znowu obniżyła się do poziomu wody.

- Przy odrobinie szczęścia... - powiedział w pewnym momencie Murray. Ale nie dokończył zdania.

Znad wody wznosił się wielki ptak, który odleciał, dostojnie uderzając skrzydłami.

- Ty też go widzisz? - szepnął chłopak o zielonych oczach.

Mina go nie dostrzegła.

Potem, dużo później, zastanawiała się, jak to w ogóle możliwe.

Murray stał bez ruchu na ścieżce i patrzył na las, z którego dopiero co wyszli. Z jego ubrań opadły drobne żdzbla trawy.

Stojącą wodę przebijały kolejne trzciny. Starsze drzewa w lesie, osłabione przez sól i wilgoć, wyglądały jak walące się ruiny. I właśnie w zielonej szczelinie między szuwarami

a

gnijącymi drzewami znajdowała się okazała ciemna budowla. Cztery razy wyższa od

nich.

Tyle że tak naprawdę nie była to budowla. To był statek. Mogli dostrzec tylko część jego kadłuba: drewniany przecinek o niebywałej elegancji, zanurzony do połowy w otaczającej go roślinności.

- O, kurczę... - szepnęła wtedy Mina. - Powiedz, że to nieprawda.

Murray milczał.

- Może powinniśmy iść po chłopaków - odezwała się znowu Mina.

Wciąż nie mógł nic powiedzieć.

- Murray? - zawołała go, zaniepokojona.

Tym razem się obejrzał, powoli.

- To on - powiedział.

Mina musiała powstrzymać przenikający ją silny dreszcz.

- To on co? - zapytała cienkim głosem.

- To on pozdejmował tasiemki ze ścieżki.

ROZDZIAŁ 7

UKRYTY WRAK

W KTÓRYM DOWIADUJEMY SIĘ,
ŻE STATKI TEŻ SIĘ UKRYWAJĄ, GDY SIĘ BOJĄ I ŻE STARE DREWNO,
KIEDY CHCE. TO POTRAFI ŚPIFWA
Statek najwyraźniej ugrzązł w błocie.
Był przechylony o jakieś dziesięć stopni w stronę morza i miał kilka długich wiosł
włożonych w dulki. Dziób spowijały pnącza, a grotmaszt, jedyny widoczny, był

pozbawiony

żagli.

Murray podszedł do niego, brodząc w wodzie między trzciami. Statek był stary, ale
nie wyglądał na wrak. Mimo przechylenia kadłub nie był raczej przebity, choć możliwe,

że

poniżej linii wody były jakieś przecieki. Miał dziwny kształt. Nie wyglądał jak żaglówka

ani

żaden inny statek, jaki Murray do tej pory widział. Skojarzył mu się z okrętem wikingów,
tylko dużo wyższym: dziób wznosił się na co najmniej cztery metry nad ziemią, a rufa,

choć

pogrążona w lagunie, prezentowała się dostojnie i potężnie.

Statek promieniował cichą i spokojną energią. Jakby śpiewał z zamkniętymi ustami.

Murray czuł, jak zalewa go fala emocji, których nie potrafił opanować. Zbliżył się do
statku, a ona jeszcze bardziej wezbrała. Wreszcie dotknął go, jak żelazo przyciągane

przez

magnes. Mógł myśleć tylko o nim.

Był ciepły. Drżący.

Zauważył, że na dziobie, przysłonięta pnączami, wyryta jest nazwa, i z pomocą Myny
ściął jedną z grubszych trzcin, żeby użyć jej do usunięcia bluszczu.

Nazwa składała się z pięciu liter, których Murray nie potrafił odczytać.

- To nie w naszym języku... - mruknął.

Ukryty wrak

- To greckie litery - powiedziała Mina. - Tak mi się zdaje.

- A według ciebie, co tu robi... łódź wikingów z grecką nazwą?

Mina uśmiechnęła się.

- Nie wiem. Ale chyba jesteśmy tu po to, żeby się tego dowiedzieć, nie sądzisz?

Murray przytaknął.

- Może powinniśmy powiadomić resztę... - odezwała się znowu dziewczynka. - Masz
jeszcze walkietalkie?

Murray podał jej sprzęt.

Trzcina badał głębokość terenu i wolno posuwał się do przodu, wzdłuż przechylonej
burty.

- Tu Mina, odbiór. Mina, zgłóście się. Znaleźliśmy coś, odbiór. Mina, zgłóście się.

Chłopaki, słyszycie mnie? To już nie jest zabawa. Odbiór.

Potem dołączyła do brodzącego w wodzie Murraya, z krótkofalówką, która coraz
ciszej trzeszczała w jej rękach.

- Tu Mina, odbiór. Mina, zgłóście się.

Spróbowała jeszcze parę razy.

- Nie słyszą mnie - poddała się po ostatnim podejściu. Z walkietalkie dochodził tylko
jednostajny szum.

- Ja tam mówię, że nie może działać - powiedział spokojnie Murray.

- A dlaczego?

- Na jego miejscu postarałbym się, żeby nie działało.

Mina spojrzała na pochylony nad nią kadłub statku.

- Masz na myśli statek?

- Ukrył się tutaj - szepnął Murray. - Nie czujesz?

- Co mam czuć?

- Boi się.

Mina przymknęła oczy, zniecierpliwiona, a zarazem zaniepokojona.

- Okej, Murray. Przestań już, dobrze? Już... już... dość mnie wystraszyłeś całą tą wyprawą i... naprawdę nie mam ochoty słuchać twoich opowieści o tym, jak się... czuje...

ta...

łódź wikingów z grecką nazwą.

Murray jeszcze parę razy włożył trzciny kij do wody, a potem musiał się zatrzymać. Woda zaczęła mu sięgać do pępka. Była zimna, ale on nawet tego nie czuł.

Mniej więcej w połowie statku coś zwisało z nadburcia. Usiłował złapać to kijem i ściągnąć w dół.

- Murray? Co ty robisz?

- Nie wiem!

Podskakiwał w wodzie i uderzał. Aż wreszcie się rozpromienił.

Kilka centymetrów nad jego głową dyndała stara drabina sznurowa.

- Murray! Nie próbuj na nią wchodzić! Nie wytrzyma!

Ale on już chwycił najniższy szczebel i zawisnął na niej całym swoim ciężarem.

- Nie zgodzę się z tobą - odpowiedział. - Moim zdaniem trzyma się doskonale.

Mina zacisnęła pięści. Czuła się dokładnie jak na początku tego popołudnia, kiedy on rzucił się na łeb na szyję

Ukryty wrak między stoiska hali targowej, a ona w żaden sposób nie mogła mu przemówić do rozumu.

- Murray! Nie... MURRAY!

- Możesz być przez chwilę cicho? - odparował. Z pierwszego szczebla wdrapał się na drugi, potem na trzeci. - Jakbym słyszał własną matkę!

W całym swoim życiu Mina nigdy nie poczuła się tak urażona.

Drabinka wolno się kołysała, uderzając raz w kadłub, raz w trzciny, które oddzielały go od otwartego morza.

Murray zrećnie wspiął się aż do nadburcia, wyciągnął rękę i wgramolił się na pokład.

- Wszystko w porządku! - stwierdził, rzucając wokół badawcze spojrzenie. - Dalej, Mina, wchodzi i ty!

Słyszał, jak się burzy, lecz również jak w końcu stawia ciężkie kroki w wodzie.

Drabinka napięła się i parę sekund później Mina zjawiała się na pokładzie.

- Ze wszystkich głupich pomysłów, jakie...

- Ciii... - powiedział tylko Murray.

Pierwsze, co zrobili, to przebiegli wzrokiem po statku, od burty do burty: zauważyli głębokie pęknięcie w grotmaszcie i kilka rzędów drewnianych ławek po obydwu stronach pokładu. Wiele z nich się oderwało. Wiosła, przynajmniej te, które zostały,

przymocowano

łańcuchami do dulek. Były długie i smukłe. Na rufie zachowały się jeszcze stery, płaskie i masywne: prawy i lewy rumpel.

Murray ukląkł i przemierzył na czworaka przechylony pokład; cały statek

zatrzeszczał, lecz się nie ruszył. Musiał mocno utknąć w mulistym dnie. Przeszedł z

powrotem w górę pokładu, szukając czegoś, co by wskazywało na pochodzenie statku.
Przy

nadburciu leżało dużo połamanego drewna: kufry, beczki, stare skrzynie z ładowni.
Murray

dotarł do jedyne go luku i spojrział w dół, do wnętrza statku.

- Jest tam coś? - zapytała Mina.

Znajdujący się przed nimi las z krzewami róż wyglądał jak katedra.

- Nie widzę, jest ciemno... Ale po tym, jak odbija się głos, można sądzić, że jest pusty.

Mina również zaczęła się rozglądać: poodsuwała kawałki drewna i przejrzała je w poszukiwaniu numerów, napisów czy jakichś wskazówek. Niektóre, zmurszałe i spleśniałe,

rozsypanywały się jej w rękach.

Poszła w stronę rufy, gdzie były pozostałości jakiejś kwatery z wyrwanymi drzwiami.

- Myślę, że na tym statku wydarzyło się coś bardzo dziwnego... - powiedziała cicho dziewczynka, ostrożnie podchodząc.

- Co to jest?

- Nie mam pojęcia. Kajuta kapitana?

Wiatr lekko poruszył zwisającymi nad nią gałęziami i już samo to wystarczyło, by przeszedł ją dreszcz. Mina zajrzała do środka i dostrzegła beład starych, zniszczonych mebli.

Z szuwarów dobiegło piskliwe nawoływanie jakiegoś ptaka.

- Raczej nic ciekawego... - mruknęła.

Murray podszedł do niej na czworaka.

Rozpoznali resztki łóżka i komody. Próbowali otwierać szufladki, ale rozpadały się im w rękach. Potem jednak za meblami zobaczyli cynkową skrzynkę, zamkniętą na zardzewiałą

klódkę. Wynieśli ją i Murray wybił zamek paroma uderzeniami scyzoryka.

W skrzynce znajdowało się zawiniątko z ceraty, a w środku plik zapisanych ręcznym pismem kartek.

- Stary dziennik... - szepnęła Mina.

Murray przycupnął na pokładzie, z nogami przy nadburciu, i przeczytał:

- Wielkie lato... Ulyssesa Moore'a... Notatki do zeszytu trzynastego.

Przewrócił stronę.

Z pliku kartek wypadło stare zdjęcie, które Mina złapała w locie. Przedstawiało grupę dzieci w szkolnych mundurkach. Na odwrocie widniał szereg podpisów, które wyblakły z upływem czasu i które Murray z Miną bezskutecznie próbowali odszyfrować.

Murray przerzucił jeszcze parę kartek dziennika, uważając, by nie wysliznęły mu się z palców, bo nie były ze sobą zszyte.

Wreszcie spojrział na Minę.

- Nie wiem, kim jest ten Ulysses Moore i dlaczego jego dziennik znajduje się na tym statku, ale... w jakimkolwiek języku chciał go napisać, na pewno nie jest to nasz język. Stronę, którą Murray trzymał w palcach, pokrywały niezrozumiałe rysunki.

- Statek wikingów, który utknął niedaleko domu, grecka nazwa i dziennik napisany w niezrozumiałym języku... - wyliczyła Mina na palcach. - O czymś zapomniałam?

Murray przechylił cynkową skrzynkę i odkrył, że zawiera jeszcze jeden mały przedmiot.

Była to dziwna drewniana kostka, której ściany składały się z kwadratowych pól,

pięciu w poziomie i pięciu w pionie, czyli razem dwudziestu pięciu. W każdym z nich wryta była jedna liczba, a cztery wierzchołki pola zdobiły miniaturowe guziki z masy perłowej.

- No, nieźle! - mruknęła Mina. - A to co?

Murray potrząsnął głową jak zauroczony.

- Nie mam zielonego pojęcia... - powiedział. - Ale jak naciśniesz któryś z tych białych guziczków...

Fzzzt! - zadźwięczał wewnętrzny mechanizm drewnianej kostki.

- Zrobi się czarny.

ROZDZIAŁ 8

RZECZY SIĘ ZMIENIAJĄ
O TYM, ŻE NIE MA MC LEPSZEGO NIŻ CHOĆBY MALUTKI HELIKOPTER.
ŻEBY WYCIĄGNAĆ CZŁOWIEKA z KŁOPOTÓW
EDALCS PRESS

Gdy tylko minęli wzniesienie na ścieżce, walkietalkie nagle zaczęły znów działać. Mina aż podskoczyła ze strachu, gdy z cichego szumu wyłonił się głos jednego z braci Bradych.

- Zaginieni leśniczy - krzyczał - tu oddział plażowy! Zaginieni leśniczy, tu oddział plażowy! Odbiór!

Wtedy Murray odpowiedział:

- Tu zaginieni leśniczy! Słyszemy was głośno i wyraźnie, odbiór!

Mimo zakłóceń podczas połączenia Murrayowi i Minie udało się usłyszeć okrzyk radości.

- Wreszcie odpowiedziałeś, Murray! Mina jest z tobą? Gdzieście się podziali? Odbiór!

- Potwierdzam, Brady. Jesteśmy tu obydwój. Ale nie wiemy dokładnie gdzie. Odbiór.

- Co widzicie? Odbiór.

- Zachodzące słońce na godzinie drugiej, odbiór. Idziemy w kierunku południowego południowego wschodu. Odbiór.

- Widzicie coś na niebie? Odbiór.

- Zaprzeczam. Odbiór - odpowiedział Murray.

W tym momencie Mina wykrzyknęła: „Spójrz!” - i pokazała na coś dziwnego latającego w kółko nieco ponad kilometr dalej.

- To wasz helikopter? Odbiór.

- Potwierdzamy! - odpowiedzieli bracia Brady do walkietalkie. - Wypuściliśmy maszynę zwiadowczą. Odbiór.

Murray zdębiał. Byli nie tylko bardzo daleko od plaży, ale też po przeciwnej stronie, niż się spodziewali.

- Ale jak to możliwe, że przeszliśmy taki kawał drogi? - zastanawiał się na głos.

Następnie wcisnął przycisk walkietalkie i powiedział: - Widzimy go! Utrzymujcie go w górze, a my postaramy się do was dołączyć, odbiór. - Potem spojrział na Minę. - Dasz

radę?

Musieli zejść ze ścieżki i kierować się jedynie pozycją helikoptera. W ten sposób jednak zachodziło ryzyko, że nie uda się im już odnaleźć statku.

Usłyszał, jak Mina coś rozdziera, a gdy się odwrócił, zobaczył jej długie ciemne nogi świecące w słońcu.

- No to mamy ładny kawałek materiału na znaki... - powiedziała dziewczynka.

- Jesteś pewna?

- Żartujesz? I tak już była niemodna.

Porwali materiał na paseczki i przywiązali pierwszy z nich przy ścieżce, z której właśnie mieli zejść.

- A ty? Dasz radę z tą cynkową skrzynką?

- Jest właściwie pusta.

W każdym razie Murray nie zostawiłby jej tam za żadne skarby świata. Ułożył ją sobie na ramieniu, a Minie dał swój aparat.

Potem zagłębili się w gąszcz krzaków. Mina robiła tyle zdjęć, ile tylko mogła, tak żeby móc później przebyć tę samą drogę w przeciwnym kierunku. Za każdym razem gdy skręcali, Murray przyczepiał do gałęzi kawałek materiału.

Na początku było bardzo ciężko: musieli pokonać błotniste źródła, cierniste krzewy, mokradła, kamienie i korzenie, ale kiedy usłyszeli, że brzęczący helikopter braci Bradych

jest

już blisko, nagle przestały im dokuczać zmęczenie i wszystkie zadrapania.

- Jesteśmy prawie na miejscu! - wykrzyknął Murray, przyspieszając kroku.

Dotarli na szczyt piaszczystego wybrzeża, z którego widać było ich plażę. Gdy tylko ją rozpoznali, ześliznęli się w dół, oszołomieni. Shane natychmiast wybiegł im na

spotkanie.

- Gdzie się podziewaliście? - krzyknął. - Wszędzie was szukaliśmy!

- Nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić... - odpowiedział Murray.

- A to co? Skrzynia ze skarbem?

- Coś znacznie więcej, Shane! Znacznie więcej!

- To cały statek ze skarbem! - dodała Mina.

Poczekali na bliźniaków, a potem opowiedzieli, najszybciej, jak się dało, wszystko, co się wydarzyło.

- Chodźmy od razu go zobaczyć! - zaproponował jeden z braci z entuzjazmem.

- Nie teraz - odpowiedział Murray. - To by zajęło za dużo czasu. - Popatrzył na słońce.

- Popołudnie prawie się skończyło.

- A poza tym wołałabym coś na siebie włożyć - uśmiechnęła się Mina.

Shane podał jej swoją koszulkę.

Mina odwróciła ją, włożyła nogi w wycięcia na ręce i związała ją sobie w pasie.

- Dużo lepiej. Dzięki, Shane.

Murray tymczasem otworzył cynkową skrzynkę i wyciągnął z niej dziennik i kostkę.

- Wow! A to co? - zapytali bracia Brady, gdy zobaczyli, że guziczki z masy perłowej można naciskać jak klawisze maszyny do pisania i że zmieniają kolor.

- Nie wiemy - odpowiedział Murray. - Ale myślę, że się dowiemy.

- Albo to gra... - dodał Shane. - Albo coś ważnego...

- Chcieli ją schować w bezpieczne miejsce, dlatego włożyli ją do tej skrzynki - wyjaśnił Murray. - Razem z dziennikiem.

- A w dzienniku nie napisali, czym jest kostka?

- Być może, ale ja nie mogę go odczytać... - odpowiedział Murray. Pokazał pozostałym te niezrozumiałe strony, a ich oczy zapłonęły niczym pochodnie.

- Te rzeczy, które znalazłeś, Murray... są niesamowite! - powiedział jeden z

bliźniaków, któremu głos łamał się z wrażenia.

- Są więcej niż niesamowite! - dodał drugi.

Musieli koniecznie wrócić na statek i przeczesać go od góry do dołu. Musieli odczytać ten dziennik i dowiedzieć się, do czego służy kostka, i musieli...

- Spokój. Spokój! - przerwał im Murray. I po tym, jak zamilkli, zrozumiał, że go słuchają. - Nie wszystko naraz... - powiedział. - Przede wszystkim... - kontynuował,

patrząc

na Minę i licząc na jej poparcie - wracamy wszyscy do domu. I nic nikomu nie mówimy.

- Ej! Masz to jak w banku!

- Będziemy milczeć jak grób!

- Na mnie nie patrzcie - wymamrotał Shane. - Ja nigdy z nikim nie rozmawiam.

Murray jednak czuł, że obietnica to za mało.

- Musimy przysiąc - powiedział.

Tarczę słoneczną przecięło stado ptaków szybujących nad lagunę.

Dzieciaki położyły ręce jedna na drugiej, tak jak zawsze wyobrażały sobie, że robili królewscy muszkietierowie. A że nikomu nie przyszedł do głowy lepszy tekst, Murray

rzucił:

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Nikomu nie powiemy ani słowa!

- Nie ma Connora - zauważył Shane, zanim puścili ręce.

- Będzie jedyną osobą, której powiemy. Ale do tej chwili... Absolutnie nic się nie wydarzyło. Zgoda?

Cała czwórka uroczyście przytaknęła. Potem zarzucili na ramię plecaki i sterowany helikopter i ruszyli ścieżką prowadzącą z powrotem do torów.

- Ramię. Nie żyjesz - powiedzieli w pewnym momencie bracia Brady, klepiąc jednocześnie w ramię Murraya i Minę.

Rzeczy się zmieniają

Shane oblał się rumieńcem.

- Coś mi się zdaje, że to oni wygrali - powiedział.

Na jego plecach cynkowa skrzynia nie wyglądała znowu na taką wielką.

ROZDZIAŁ 9

SZYFRY I TAJEMNICE

EDALUS PRESS

PrintingMachine, Press. Type, Materia;, and Roller Manufacturers.

W KTÓRYM ODKRYWAMY. 71. W WYPADKI STARYCH RZECZY' ME
CHODZI O TO, BY JE MIEĆ, LECZ BY ZROZUMIEĆ, DLACZEGO DO NAS
DOTARŁY

Szkló powiększało oko Connora co najmniej stukrotnie. - Jest zrobiona z drewna, masy perłowej i kości słoniowej - stwierdził po dokładnych oględzinach.

Położyli kostkę pośrodku stołu, na miejscu jednego z komputerów, i obracali ją w rękach, bez powodzenia próbując rozwikłać jej tajemnicę.

- Niezła łamigłówka... - odezwał się znowu Connor. - Zresztą jak cała ta sprawa.

Nad lodówką zawiesili wydruk przedstawiający satelitarne zdjęcie laguny. Nie było na nim widać statku, lecz miejsce, gdzie według Murraya i Miny ugrzązł, zasłaniało tyle

gałęzi i

trzciny, iż wydawało się całkiem prawdopodobne, że z góry nie można go było dostrzec. Żółtym kolorem zaznaczyli ścieżkę prowadzącą od torów do ich małej plaży, czerwona kropka punkt, w którym Shane, Murray i Mina się rozdzielili, a dużym

czerwonym

kółkiem obszar, gdzie według tych ostatnich znajdował się statek.

- Łódź wikingów... taka jak ta - mruknął Connor, patrząc na jedną z dziesiątek ilustracji drakkara, które ściągnął z Internetu.

- Ale z wyższą burtą... - sprecyzowała Mina.

Kiedy przyszła jej kolej na przyjrzenie się kostce, zaczęła ją obracać w palcach, raz po raz wciskając białe i czarne guziczki.

Każda ściana kostki składała się z dwudziestu pięciu kwadratów. A na każdym zaznaczono...

- Tylko pięć liczb... - zauważyła. - Zero, jeden, dwa, trzy i cztery. Guzików jest trzydzieści sześć. A tych pięć na kantach jest wspólne dla dwóch ścian kostki... więc...

Jej analityczny umysł, działający zazwyczaj błyskawicznie, tym razem nie potrafił znaleźć zależności między tymi liczbami. Wzięła dużą kartkę i zapisała na niej wszystkie wartości z jednej ścianki kostki, wyłączając się z dalszego ciągu dyskusji.

II2II

233I0

23420

322I0

332I0

Podczas gdy Mina pisała i myślała, Murray oglądał zdjęcia, które zrobili po zejściu ze ścieżki, i układał je jedno za drugim, obok mapy.

- I nie jest to wrak? - zapytał go Connor.

- Nie - potwierdził. - Choć, oczywiście, nie jest w idealnym stanie.

- A więc możliwe, że stoi tam od... lat? - kontynuował Connor.

- Według mnie nie - wtrąciła Mina i zaraz potem znów się wyłączyła, żeby wrócić do obliczeń.

Connor spojrział na Murraya.

- Mina ma rację. Drewno jest za dobrze zachowane, żeby statek mógł tam stać od dawna... Poza tym... - Murray potrząsnął głową. Nie opuszczało go wrażenie drżenia,

jakie

poczuł, zbliżając się do statku.

- Nie mówiąc już o dzienniku... - dodał Shane.

Connor sprzątnął brudne naczynia z blatu i przykrył go nylonową plandeką. Położyli obok siebie wszystkie strony z dziennika Ulyssesa Moore'a. Właściwie był to nie tyle dziennik, co zbiór kartek z zapiskami, starych artykułów prasowych, wycinków i notatek

w

różnych językach: jednym z nich był angielski, drugi wyglądał na starożytną grekę, trzeci składał się z rysunków, jak egipskie hieroglify, a czwarty z liczb i cyfr, jak długa zaszyfrowana wiadomość. Były tam też rysunki i zdjęcia, najwyraźniej ułożone w nieprzypadkowej kolejności. Connor starał się jej nie zaburzyć, dlatego kładł

poszczególne

strony obok siebie i zamierzał je wszystkie sfotografować, żeby móc je sobie potem

spokojnie

obejrzeć na komputerze w wersji cyfrowej.

Wydarzenia poprzedniego dnia były tak zaskakujące, że nie zdążył się jeszcze dobrze zastanowić, co z tym wszystkim począć.

Na przykład zdjęcie dzieci w szkolnych mundurkach nosiło na odwrocie kilka nagryzmołonych podpisów i datę:

7958. Ale nie tylko ono zwróciło jego uwagę: było też zdjęcie latarni morskiej w białe i czerwone pasy (a przynajmniej tak mu się zdawało, że były czerwone) oraz willi na urwisku,

z której widoczna była jedynie wieżyczka.

Dzieciaki podawały je sobie bez słowa, zafascynowane.

Była także panorama jakiejś uroczej wąskiej zatoki i parę zdjęć nadmorskiego miasteczka. Drewniane domki, niektóre bielone wapnem. Jeden z dachem krytym strzechą.

Znaleźli tam jednak nie tylko pocztówkowe obrazki, odkryli również portret kędzierzawego faceta w okrągłych okularach, pracującego nad pełną dźwigni i śrub maszynią. Także w tym wypadku na odwrocie był krótki podpis: Peter.

Wszystkie artykuły prasowe dotyczyły tego samego miejsca: Kilmore Cove. A tajemnicza postać, która je wycięła, zadała sobie również trud skreślenia niektórych słów

w

artykułach i naniesienia gdzieś swoich notatek. Charakter pisma osoby, która komentowała teksty, był, według Connora, ten sam co kogoś, kto napisał dziennik, wypełniając całe jego strony zupełnie niezrozumiałą treścią.

- To wygląda tak, jakby wzięli kurę, włożyli jej nogi w atrament, a potem kazali biegać po kartkach - zauważył niezbyt poetycko Shane.

Murray zaproponował, żeby skopiować wszystko do Internetu i poszukać kogoś, kto umiałby to przetłumaczyć. Ale Connor był przeciwny.

- Wszystko, co piszesz w Internecie, staje się własnością Internetu - wyjaśnił. - Ja bym się trochę zastanowił, zanim bym to tam umieścił.

Artykuły z gazety, notatki, teksty pisane szyfrem, hieroglify i greckie litery. Jedyną pewną rzeczą było to, że ktokolwiek zebrał te wszystkie szpargały, musiał być szalony. Na Itace pojawili się bracia Brady, biegnąc na złamanie karku.

- Ale mamy nowiny! - wykrzyknęli po wejściu do środka. - Wszystkiego się dowiedzieliśmy!

Rzucili się na kanapę.

- Ten Ulysses Moore to pisarz... - powiedział pierwszy z nich.

- Poszukaliśmy go w Internecie... - powiedział drugi.

Murray spojrział na Connora, lecz on pozostawał niewzruszony.

- I napisał tuzin książek fantasy, których akcja rozgrywa się w wymyślonym

miasteczku w Kornwalii o nazwie... - Jeden brat popatrzył na drugiego, a ten podrapał się po

głowie.

- Kilmore Cove - dokończył za nich Murray. I pokazał stare zdjęcie.

- No nie! Wy też wiecie!

- Czyli go nie wymyślił.

Connor wziął do ręki tytułową stronę dziennika, przeczytał nagłówek i powiedział:

- Dwanaście książek, mówicie? A to by były jego notatki do trzynastej...

- Na to wygląda - odpowiedział jeden z bliźniaków. - Tak naprawdę w Internecie jest

spory bałagan. Książki przetłumaczono na wiele języków, ale najwyraźniej nie tak samo...

- To znaczy?

- Oj, daj spokój! Niewiele więcej udało nam się wyczytać... - ziewnął drugi.

Ale po ich podkrążonych i zaczerwienionych oczach jasno było widać, że kłamią.

Najprawdopodobniej spędzili całą noc na szukaniu informacji.

- Poza tym żaden z nas nie zna japońskiego czy tureckiego...

Chłopcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Ale, co ciekawe, to ten Ulysses Moore ma najwidoczniej całą serię dzienników zapisanych szyfrem...

Murray, Shane i Connor spojrzeli na plik, który leżał na kuchennym blacie.

- I zdaje się, że jest ktoś, kto potrafi je przetłumaczyć...

- Ale na innej stronie mówią, że tak naprawdę to mistyfikacja.

- Zwyczajna ścierna. Że te dzienniki w rzeczywistości nie istnieją...

- No właśnie... i że ktoś je zmyślił... i tego tajemniczego pisarza...

- I to miasteczko...

- Tylko po to, żeby zdobyć rozgłos, rozumiecie?

Murray, Connor i Shane popatrzyli po sobie.

- Nie - odpowiedzieli.

Za ich plecami Mina trzykrotnie uruchomiła mechanizmy kostki. Przez moment wyglądała na ucieszoną, lecz nic się nie wydarzyło.

- Chłopaki, spróbujmy się chwilę zastanowić - powiedział Murray. - Wy dwaj mówicie, że jest pisarz, który nazywa się Ulysses Moore i mieszka w jakimś miasteczku...

- W Walii - dokończył jeden z braci Bradych.

- Nie! W Kornwalii - poprawił go drugi.

- W Walii czy Kornwalii? - zapytał Connor.

- W Kornwalii! - odpowiedzieli obydwaj.

Murray westchnął i kontynuował:

- W miasteczku w Kornwalii, które nazywa się Kilmore Cove.

- Ale nie istnieje.

- Ale nie istnieje... - powtórzył powoli Murray.

- A dlaczego nie istnieje? - spytał Shane.

- Hej, Big Boss! Przecież ja tych jego książek nie czytałem! - wykrzyknął jeden z braci.

- Nie wiem, czy wyraziłem się jasno: ich jest dwanaście! Prędzej zostanę ojcem! - zaprotestował drugi.

- W Internecie mówią, że nie może istnieć, bo...

W tym momencie jednak Murray podskoczył tak, że aż Itaka się zakołysała.

- Time out! Time out! - Poruszał się między nimi, gestykulując jak mim. - Przestańcie, proszę!

Bracia Brady, Shane i Connor popatrzyli na niego. Tak jak Mina, która na chwilę odłożyła kostkę.

- Ja nie wiem, co jest napisane w Internecie ani... kim jest Ulysses Moore... i jak na razie chyba nie chcę również wiedzieć, czy to miasteczko istnieje czy nie - powiedział Murray. - Wiem za to, że istnieje statek wikingów, który ugrzązł w bagnie za torami. A

wiem

to dlatego, że ja i Mina go widzieliśmy. I zabraliśmy z niego cynkową skrzynkę z dziennikiem w środku.

- Trzynastym zeszytem - szepnął Connor.

- I jakimś niezrozumiałym ustrojstwem.

Mina podniosła kostkę.

- Teraz - mówił dalej Murray, wzdychając przeciągle - spróbujmy udawać, że nic a nic nie wiemy. I że przez chwilę nie ma Internetu, który mówi, co jest prawdą, a co nie.

- Wybuchła wojna jądrowa? - zapytał jeden z braci, a drugi szturchnął go łokciem, bo wsłuchany był w wywód Murraya.

- Pragnę wam zadać następujące pytanie... - Murray spojrzął na nich po kolei, unosząc brwi, jakby chciał zasugerować, że odpowiedź może być tylko jedna. - Jeśli zdarzyłoby

się

wam kiedykolwiek trafić na łódź wikingów, która utknęła niedaleko waszego domu, i

znaleźć

na pokładzie niezrozumiały dziennik jakiegoś pisarza i równie niezrozumiałą tajemniczą kostkę... co byście zrobili?

Zacząlibyście sprawdzać w Internecie, co o tym sądzą inni... czy też zabralibyście się do robienia listy rzeczy, które są potrzebne, żeby iść przeszukać ten statek, przeczytać dziennik i odkryć, do czego służy kostka?

- Ja bym zaczął sprawdzać w Inter... au! - odezwał się pierwszy z braci Bradych, ale drugi zaraz go uciszył.

Mina natomiast energicznie przytakiwała. Connor tak samo.

- Dobrze mówisz, stary.

Shane patrzył z podziwem na swojego przyjaciela, jakby to był jego ulubiony bohater.

- Zatem - podsumował Murray - od czego zaczynamy? - Spojrzął na Connora, bo w kwestiach praktycznych to on miał najwięcej do powiedzenia.

- Lista - rozkazał właściciel Itaki.

Shane zerwał ze ściany kartkę z rekordowymi wynikami Polowania bohaterów i odwrócił ją na drugą stronę.

- Możecie dyktować.

- Książki Ulyssesa Moore'a... - zaczęła Mina, narażając się na drwiny braci Bradych.

- Ja ich nie chcę czytać - powiedział Murray, tak jakby się bał, że czytając te książki, zepsuje sobie niespodziankę. Albo odkryje, że wszystko, co sobie wyobrażał, w rzeczywistości okaże się inne.

- A ja tak - uparła się Mina.

- Ja też - powiedział Connor.

- Zapisuję - rozstrzygnął Shane.

Później Connor zaczął wyliczać całą resztę:

- Kalosze, hełm górniczy, liny, karabinki, pędzle archeologiczne.

- Eh?

- Latarka. Mikroskop.

- Chwileczkę! Chwileczkę!

Szybko i coraz bardziej chaotycznie sporządzili listę potrzebnych rzeczy i podzielili się obowiązkami.

Każdemu z nich przypadło przynajmniej jedno niewykonalne zadanie. Murray miał znaleźć tłumacza bieglego we wszystkich nieznanach językach świata, innego niż

Google.

Shane - zdobyć mikroskop. Bracia Brady - pędzle archeologiczne, których jednak nie można

było zamówić przez Internet.

Policzyli pieniądze ze wspólnej kasy i postanowili, że poproszą rodziców o zaliczkę na kieszonkowe. Umówili się na następny dzień, po lekcjach, na kolei.

- Mogę ją zabrać do domu? - zapytała jeszcze Mina, której przypadło niewykonalne zadanie zrobienia czegoś z kostką.

ROZDZIAŁ 10

POLA MAGNETYCZNE I POLA BŁOTNISTE

OTYM, ŻE NAWET MĘDRCY,

PODOBNIIE JAK PIRACI. PRĘDZEJ CZY PÓŹNIEJ MUSZĄ UBRUDZIĆ SOBIE
RĘCE

- VEDALUS PRESS

PrintingMachine. Press, Gdy w końcu dotarli do ostatniego strzępu spódniczki Myny i trafili z powrotem na ścieżkę, uczestnicy tej małej wyprawy byli wyraźnie zadowoleni. Właśnie przemierzali w przeciwnym kierunku odcinek bagna, który dwa dni wcześniej pokonali Murray i Mina.

Connor kazał swoim towarzyszom położyć rzeczy na ziemi, poprosił o manierkę, a potem przyjrzał się ścieżce. Powinni przejść ją całą, żeby wytyczyć łatwiejszą drogę na następny raz.

Ale najpierw... musieli dostać się do statku.

- Tędy - stwierdzili Murray i Mina.

Connor przyłożył do ust telefon komórkowy, wcisnął przycisk nagrywania i powiedział:

- Godzina trzecia po południu. Dotarliśmy do utartej ścieżki. Grupa idzie zwartym szykiem.

- Grupa idzie zwartym szykiem - zaczęli go przedrzeźniać bracia Brady za jego plecami.

Ruszyli dalej.

Murray i Mina szli przed całą resztą, niosąc ze sobą dwa plecaki. Shane sam taszczył coś w rodzaju skrzyni, a Connor na spółkę z bliźniakami - zestaw kempingowy. Bracia

szli w

pewnej odległości od pozostałych, z włączonymi słuchawkami. I to oni jako pierwsi zorientowali się, że zbliżają się do statku, bo ich odtwarzacze nagle przestały działać.

- Ej, co się dzieje? - wykrzyknął jeden. - Wyłączył się!

- Mój też! - odezwał się drugi.

Łagodny wiatr pochylał czubki trzciny.

Pola magnetyczne i pola błotniste

Bliźniacy sprawdzili sprzęt, wyłączyli go, włączyli, zrobili parę kroków do tyłu i nagle odtwarzacze znów zaczęły działać.

- No, całe szczęście!

- Wszystko w porządku, chłopaki!

Ale gdy tylko ruszyli, słuchawki z powrotem zamilkły.

- To statek - wyjaśnił Murray, nawet się nie odwracając. - Jesteśmy już blisko.

- Ma urządzenie antyBrady? - zapytał Shane.

Mina zachichotała.

Connor natomiast zauważył, że jego telefon komórkowy całkiem stracił zasięg. A obraz na ekranie tabletu, który zabrał, żeby robić zdjęcia i notatki, bez przerwy zakłócały interferencje.

- Powiedziałbym, że to co najmniej dziwne... Jakby było tu jakieś silne pole magnetyczne... - wymamrotał.

- I co to oznacza? - zapytała Mina.

- Nie wiem - przyznał. - Ale... mam nadzieję, że nie jest niebezpieczne.

- Mamy coś, żeby je wykryć? - spytał Shane.

- Przydałby się... ten... no...

- Licznik Geigera?

- Nie, to do promieniowania jądrowego - zaprzeczył Connor. - Ach, za nic nie mogę sobie przypomnieć, jak to się nazywa!

Przeszli jeszcze parę kroków, aż dotarli do wody w bagnie, a wtedy Murray dał im znać, żeby założyli kalosze.

Wszystkie urządzenia elektryczne Connora nagle zgasły.

- Coś mi się zdaje, że w tej sytuacji mogę sobie odpuścić zastanawianie się nad nazwą tego czegoś... - mruknął, pokazując sprzęt Shane'owi.

Chłopak przytaknął i spochmurniał.

- Cokolwiek to jest, jest silne.

Wskazał brodą ścieżkę, której jeszcze nie przemierzili, i braci Bradych, którzy ciągle robili dwa kroki do przodu i dwa w tył.

- A poza tym daje im zajęcie...

Na lagunie panowała cisza.

Statek był tam, gdzie go zostawili dwa dni wcześniej: uwięziony w brei, między leśnymi drzewami z jednej strony i kępami trzcin z drugiej.

Gdy tylko do niego dotarli, Connor wpatrywał się w niego przez przynajmniej dziesięć minut, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć.

Shane był tak samo zauroczony jak on.

Statek wyglądał niczym zranione prehistoryczne zwierzę, które wpadło w pułapkę.

Rozgadani bracia Brady dołączyli do nich parę minut później i od razu zamilkli.

- O, rany... - szepnął wreszcie Connor głosem zdradzającym wzruszenie. Znalazł jakiś suchy kąt i otworzył plecak.

- I co? Warto go było zobaczyć? - zapytał Murray.

Pola magnetyczne i pola błotniste

- Piękny, prawda? - uśmiechnęła się Mina.

- „Piękny” to mało powiedziane... - odparł Connor.

- I mówicie, że jest niczyj? - spytał Shane.

- Czyjsz pewnie jest - mruknął Murray. - Ale jak na razie to my go znaleźliśmy.

- I myślicie, że uda nam się go stąd zabrać? - zapytał jeszcze Shane. - Znaczy się, przetransportować go na przykład w okolice Itaki albo...

Murray oparł twarz o drewniany kadłub i powiedział:

- To nasz statek.

Connor skrzywił się i dodał:

- Dlaczego by nie, Shane? Dlaczego by nie?

Wszyscy mieli ogromną ochotę wejść na pokład.

Ale były ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Po przeczesaniu terenu postanowili zająć się przede wszystkim ukryciem jedynej ścieżki prowadzącej do lasu z krzewami róż. Nie wiedzieli jeszcze, co zrobią z tym statkiem,

ale ostatnią rzeczą, na jaką mieli ochotę, było to, żeby znalazł go ktoś inny.

- Może powinniśmy powiedzieć o tym rodzicom... - zaproponowała w pewnym momencie Mina. - Albo komuś z muzeum.

- Żeby go wstawili do białej sali i zaczęli przyprawiać wycieczki szkolne? - odpowiedział Shane. - Według mnie lepiej tu niż w muzeum.

- Zgadza się - odezwał się Murray.

- A w porcie? - nie odpuszczała Mina.

- A co niby mieliby zrobić w porcie ze starym, na wpół rozbitym statkiem? - odparł Shane. - Bez obrazy, Mina, ale można by pomyśleć, że właściwie nie bardzo ci się podoba fakt, że znaleźliśmy statek, który cały jest dla nas.

- To on dał się znaleźć - powiedział Murray.

- Pomijając magiczne wtręty Murraya... uważam, że nie powinniśmy nic nikomu opowiadać, wręcz przeciwnie - zabrał głos Connor. - Im bardziej utrudnimy dostęp, tym

lepiej

dla nas.

Zabrali się więc za maskowanie ścieżki za pomocą jeżynowych pędów. Gdy skończyli, rozstawili także namiot połowy w miejscu niewidocznym z dróżki. Wreszcie przyjrzeni się bliżej statkowi, a Connor wytłumaczył, w jaki sposób mogą go

wyprostować:

mieli usunąć błoto od strony lasu i w tym samym czasie podeprzeć i popchnąć kadłub od strony laguny.

- Ja pościnam trzciny i przygotuję podpory... - zaoferowała Mina.

- A my będziemy kopać... - powiedzieli Murray i Shane. - I WY NAM POMOŻECIE - rzucił Murray w kierunku braci Bradych, na wypadek gdyby chcieli się ulotnić.

Na szczęście zabrali ze sobą parę łopat.

Zanim wzięli się do roboty, Connor wszedł na pokład, używając tej samej drabiny sznurowej co wcześniej Murray i Mina, dokonał szybkich oględzin. Chciał też zajrzeć do ładowni, ale latarki elektryczne nie działały, więc praktycznie nic nie było widać.

Connor dotarł aż na dziób, gdzie można było odczytać nazwę statku.

- Słowo „elektryczność” pochodzi od „elektron”... A to grecki wyraz, tak jak ten na kadłubie... - głośno się zastanawiał. - Coś mi się zdaje, chłopaki, że mamy tu do czynienia

z

tym, co antyczne i zaginione.

- Albo po prostu dobrze ukryte - powiedział Shane.

- Co tylko czekało, żeby ktoś je odnalazł - dodał Murray.

- „Elektron” to nazwa żółtego bursztynu... błyszczącego kamienia pochodzenia roślinnego. - Connor zdjął ostatnie pnącze bluszczu. - Żywicy, która miała zdolność przyciągania drobnych ciał, gdy się ją pocierało...

- Tak jak się robi z kawałkami papieru i długopisem potartym o sweter? - zapytała Mina.

- Dokładnie. I wychodzi na to, że ten statek wytwarza podobne, choć dużo silniejsze, pole magnetyczne. Czy coś w tym rodzaju... - Connor wychylił się, żeby dotknąć greckich liter wyrytych w drewnie, po czym cicho i powoli je odczytał: - Metis.

W chwili, w której wypowiedział to słowo, poczuł delikatne drżenie pokładu pod

stopami i gwałtownie odwrócił się w stronę lasu. Zdawało mu się, że coś poruszyło się w gałęziach. I że nawet powietrze coś szepce. Oderwał palce od nazwy statku.

Mina przecięła maczetą łodygę trzciny.

Murray zarzucił łopatę na ramiona. Wbił w Connora swoje zielone oczy.

- Przeczytałeś... - powiedział do niego.

Connor spojrział na niego z pokładu, znajdującego się cztery metry wyżej.

- Tak - odpowiedział. - Nazywa się Metis.

- Metis - powtórzył Murray.

- A może jeszcze wiesz, co to znaczy? - zapytał Shane.

- Prawdę mówiąc, tak... - odpowiedział młody programista. Sam był tym zaskoczony.

- Nie uwierzycie, ale... szukałem imion mitologicznych postaci do programu, który zlecili

mi

dokładnie tego dnia, kiedy wy przyszlście na lagunę. I jeśli się nie mylę, Metis oznacza „mądrość”, ale również „przebiegłość”. To imię okeanidy, boginki morza, córki

Okeanosa i

Tetydy. Metis była pierwszą żoną Zeusa, ale gdy tylko bóg się dowiedział, że ma go pokonać

jeden z jej synów... próbował zabić i ją, i dziecko.

- I udało mu się? - spytał Murray.

- Oczywiście, że nie! To dlatego nazywają ją „przebiegłą”.

- Może również dlatego, że dziecko Metis okazało się dziewczynką - wtrąciła Mina. - I to nie byle jaką dziewczynką, bo była to bogini Atena.

Trzej chłopcy spojrzeli na nią ze zdumieniem, a ona dodała, jakby to nie było nic nadzwyczajnego:

- No i? Co w tym takiego dziwnego? Tylko dlatego że lubię gry komputerowe, nie muszę być ignorantem tak jak wy, nie?

ROZDZIAŁ 11

NOCNE ZJAWY

ŻE ME WSZYSTKIE SZUFLADY OTWARTO. JAK TRZEBA, I ME WSZYSTKIE KAMYKI ŁĄDUJĄ W BUTACH

Parę wieczorów później Murray leżał w łóżku w swoim pokoju. Wpatrywał się w sufit, jakby to było okno. Założył ręce na kark i kołysał w nich swe myśli.

Był potwornie zmęczony i bolały go wszystkie kości. Ale nie mógł zasnąć. Dawno nie czuł się tak podekscytowany, lecz jednocześnie spokojny. Odgłos oddechu mamy

dobiegający

z drugiego pokoju wystarczał mu, by wyobrazić sobie, że w całym świecie dorosłych

wokół

niego zapanowała harmonia.

Wiedział też, że coś się wydarzyło, że z mamą skontaktował się adwokat, aby ponownie przedyskutować pozycję procesową jego ojca. Mama rozmawiała o tym z Murrayem i powiedziała, że to chyba dobry pomysł. Także Murrayowi wydawało się, że

to

dobry pomysł, choć nic nie rozumiał, jeśli chodziło o adwokatów i pozycje procesowe, a

jedyne, co mu przychodziło do głowy, gdy myślał o ojcu, to moment, w którym wnosili mebel

na szczyt schodów, z panem Fannym sapiącym jak miech kowalski.

„Wiesz, co ci powiem o tym sekretarzyku, synku?” odezwał się na koniec pan Fanny.

„Według mnie on jest z tych, co mają też tajemniczą szufladę”.

A kiedy sobie poszedł, Murray z ojcem spędzili resztę popołudnia na jej szukaniu, sprawdzając centymetr po centymetrze każdą fugę i szczelinę, aż wreszcie zaprzestali.

„Rezygnujemy, ale się nie poddajemy”, stwierdził tata.

A potem, zanim zdążyli jeszcze raz spróbować, przyjechali policjanci i go zabrali.

Również mama Murraya należała do osób, które się nie poddają. A od kiedy taty nie było, Murray starał się zachowywać jak mężczyzna: sprzątał ze stołu i zmywał naczynia, rozwieszał ubrania, gdy tylko kończyło się pranie, i co miesiąc kosił trawnik w ogródku.

W

jego pokoju zawsze panował porządek, koszulki leżały w szufladzie, a dzinsy wisiały w szafie. Ze szkołą nie było problemów.

Jeśli chodzi o inne sfery życia... uciekał na Itakę, razem z innymi, i w gry komputerowe, które dawały mu poczucie, że może kontrolować to, co się dzieje. Przekręcił się w łóżku, obolały, i spojrzął na wieczorne światło, które sączyło się przez okno.

Prace na statku postępowały wolniej, niż przewidywali, i całe dni morderczego wysiłku nie wystarczyły, by kompletnie wyprostować pokład Metis.

Dla Murraya jednak to była kwestia jednego dnia, może dwóch, żeby widział siebie pędzącego w pogoni za piratami, skarbami, rabusiami, w poszukiwaniu nowych

kontynentów,

rzadkich zwierząt, aromatycznych roślin czy ostatniej wyspy dinozaurów. W noce takie

jak ta

przypominał sobie nazwy wszystkich nieistniejących wysp, których pełno było w książkach z

jego biblioteczki lub które powołała do życia jego nieograniczona wyobraźnia.

Za każdym razem gdy podchodził do Metis, czuł, jak lekko drży. Niczym żar w starym palenisku: pogrzebany przez czas, lecz niecałkiem jeszcze wygasły.

I kiedy patrzył na swoich przyjaciół, ubłoconych i pogryzionych przez komary, widział, że są zadowoleni jak nigdy dotąd. Od ponad tygodnia nie tknęli żadnego

komputera.

A laguna stała się ich fantastycznym światem.

Źródełka i poskręcane drzewa ogrodu różanego zajęły miejsce rozpadających się zamków z Polowania bohaterów, a popielate czaple zastąpiły smoki.

Morskie fale uderzały o szyby...

O szyby...

Jak...

Kamyki?

Murray, leżąc bez ruchu, szeroko otworzył oczy. Zasnął, a teraz obudził go powtarzający się dźwięk, który dochodził od strony okna.

Tik.

I znowu: tik.

I znowu, trochę głośniejszy: titititik!

Ktoś rzucił w okno kamykami. Murray wyśliznął się spod kołdry.

To była Mina.

Chłopiec podniósł skrzydło okna na tyle, żeby się wychylić, i zapytał półgłosem:

- Mina! Co ty tam robisz?

Dziewczynka stała na chodniku, zaraz za bramką. Miała na sobie długą białą koszulę nocną, która w świetle gwiazd lśniła jak płaszcz jakiegoś ducha. Śmiała się.

- Rozszyfrowałam ją, Murray! Rozszyfrowałam ją!

Nocne zjawy

Murray był wciąż zbyt zaszpany, aby zrozumieć, o czym mówi.

- Ale co ty robisz z dala od domu? Jeszcze coś ci się stanie!

- Rozszyfrowałam kostkę, Murray! Zobacz!

Uniosła rękę z rozłożonym kawałkiem drewna. A Murray od razu się ocknął.

- Ale jak ty... AU! - Uderzył karkiem w okienną ramę i potarł bolące miejsce, starając się być jak najciszej. - Ale jak... jak ty to zrobiłaś?

- Wystarczyło odpowiednio ponaciskać białe guziki, Murray! Tak jak było napisane na kwadracikach! I jak tylko to zrozumiałam, udało mi się ją otworzyć.

- I co było w środku? Ale... poczekaj, schodzę!

- Nie - odpowiedziała mu Mina z dołu. - Muszę lecieć. Ale chciałam to komuś powiedzieć! W kostce była mniejsza kostka i karteczka. Wsunę ci ją pod drzwi... i

zobaczymy

się jutro.

- Karteczka? Co za karteczka? Poczekaj tam na mnie! Murray wyjął głowę z okna i dwoma susami przeskoczył pokój. Zszedł po schodach na palcach, ale najszybciej, jak

mógł, i

spozregł złożoną karteczkę wystającą z otworu na pocztę.

Wziął ją, zdjął łańcuszek zabezpieczający drzwi i otworzył je na oścież.

- Mina! - zawołał cicho.

Ale nie zobaczył nikogo. Tylko szarą ulicę, która lekko oddychała. I mnóstwo maleńkich ciekawskich gwiazd.

Chłód nocy miał w sobie coś niedopowiedzianego i okrutnego. I drażnił czerwone ślady po ukąszeniach owadów.

Murray westchnął, zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie i w słabym świetle docierającym znad framugi odczytał treść kartki.

Nikt nie musi nigdzie iść. Jeśli tylko byśmy to zrozumieli, wszyscy byśmy już tu byli.

Jeśli tylko wiedziałbym wcześniej, kim jestem, przestałbym wierzyć w tego, którym myślałem, że jestem. A gdybym przestał wierzyć w tego, którym myślałem, że jestem, wiedziałbym, kim jestem. Kim ja jestem?

**W RAZIE ZAGINIĘCIA UPRASZA SIĘ O ZWRÓCENIE TYCH NOTATEK
WRAZ ZE SKRZYNKĄ ICH PRAWOWITEMU WŁAŚCICIELOWI: LARRY'EMU
HUXLEYOWI, TELEFON 0032-7592-7843* ISLANDIA**

* Przepis tłumacza rękopisu. Postanowiłem, oczywiście, nie przytaczać numeru w całości. Tekst z kartki jest prawie identyczny jak fragment powieści Wyspa, napisanej w

1962

roku przez Aldousa Huxleya. Nie znalazłem żadnego dowodu na ewentualne pokrewieństwo

ze wspomnianym Larrym Huxleyem z Islandii. Pod podanym numerem telefonu odezwała się

automatyczna sekretarka.

ROZDZIAŁ 12

KOSTKA HUXLEYA

O TYM, ŻE TO NIEPRAWDA,

ŻE TELEFON TO ZAWSZE NAJLEPSZY SPOSÓB NA ODNOWIENIE STAREJ
ZNAJOMOŚCI, ZWŁASZCZA Z NIEZNAJOMYMI

F.UALUS PRESS

Printing Macii'nc. Press, Type, Materiał, and Relier Manufacturera.

Itaka kołysała się lekko na falach rzeki, a liny, którymi była przycumowana do brzegu, trzeszczały jak stawy. Mina miała przed sobą to, co zostało z otwartej przez nią kostki:

cienką

warstwę drewna, którą można było złożyć, by na powrót ją zamknąć. Pokazała nową, mniejszą kostkę, której każda ścianka składała się tylko z dziewięciu kwadracików. Trzy

na

trzy.

- I tej nie udało ci się otworzyć... - wymamrotał Connor.

Shane przyglądał się pozostałościom starej kostki i nie mógł wyjść z podziwu.

Mina promieniała.

- Nie ma tego samego mechanizmu co ta poprzednia... Wygląda identycznie, ale...

- A jakie było rozwiązanie tej poprzedniej?

Przepisując wszystkie liczby z pól, które tworzyły ściany kostki, Mina zauważyła, że wiele z nich powtarza się w tej samej kolejności.

Innym dziwnym elementem były białe guziczki, które po naciśnięciu stawały się czarne.

Mina domyśliła się, że liczby wskazują na coś, co wiąże się z tymi guziczkami, i założyła, że odpowiadają sumie czarnych guzików, które każde pojedyncze pole może

mieć

wokół siebie. Próbując postępować w myśl tego założenia, naciskała guziczki tak, aby zaczęły się zgadzać z liczbą na polu, i w rezultacie uzyskała to:

Kostka Huxleya

Kostka lekko syknęła i Mina zrobiła to samo z pozostałymi ścianami. A kiedy nacisnęła ostatni wierzchołek z macicy perłowej, kostka rozwinęła się na jej oczach.

Chłopcy czytali na okrągło tajemniczą wiadomość, zastanawiając się, gdzie wcześniej słyszeli to nazwisko.

- Huxley to pisarz, dokładnie jak tamten! - rzucił wtedy jeden z braci Bradych, zanim drugi go nie uciszył.

- Przestańcie już z tymi pisarzami!

- Ale to praaawda! - załkał ten pierwszy, ale nikt go nie chciał słuchać.

Shane pokazał na numer telefonu.

- Powinniśmy zadzwonić.

- Na pewno nie stąd - odparł Connor. - Ani z mojej komórki.

- Boisz się, że wydasz fortunę? - zapytał jeden z braci Bradych.

- To telefon za granicę... - zauważyła Mina.

- Boję się podsłuchu - powiedział Connor.

- Wow! - wykrzyknęli obaj bracia Brady (jeden na wpół przyduszony poduszkami).
- A dlaczego telefon miałby być na podsłuchu? - spytał Murray.
- Bo wszystko już monitorują - wyjaśnił Connor. - Telefony, emaile, SMSy, Skype'a, Twittera. Wszystko. Wiedzą wszystko o wszystkich. I wiedzą, gdzie to znaleźć.
- Ja w to nie wierzę - zaproponował Shane.
- Piszą o tym na pierwszych stronach gazet.
- A czy w gazetach piszą też, jak wykonać ten telefon? - nie odpuszczał Shane.
- Piszą, żeby zadzwonić z kabiny.

Kabina telefoniczna przy uniwersytecie mieściła się na rogu między budynkiem Wydziału Archeologii i kwietnikiem. Była czerwona, miała harmonijkowe drzwi i telefon

na

żetony.

Nikt nie zwrócił uwagi na grupę dzieciaków, które ją otoczyły.

- Kto dzwoni? - zapytał Murray.
- Wszyscy się w środku nie zmieścimy - stwierdził jeden z braci Bradych.
- Może i tak, ale Shane musiałby być na ziemi! - dodał drugi.
- Przystaniecie wreszcie? - mruknął pod nosem chłopiec z portu.
- Według mnie powinien mówić Connor: tylko on ma dorosły głos - zaproponowała Mina.
- Ale ty też wejdiesz - dodał Murray. - To twoja zasługa, że znaleźliśmy kartkę.
- Ja uważam, że to ty powinieneś wejść z Connorem - odparła. - Na wypadek gdyby trzeba było wymyślić coś na poczekaniu, ty jesteś... no, wiesz...
- Największym bajerantem na świecie! - dokończył jeden z braci Bradych.
- Nie to chciałam powiedzieć - zaprzeczyła Mina.
- Właśnie, że tak. Daj spokój, przecież Murray się nie obrazi! - powiedział drugi z braci. - Prawda, Murray, że się nie obrazisz?

Shane przywołał ich do porządku i pogroził, że wrzuci ich do kwietnika.

- Mina ma rację - zgodził się Connor. - Wejdziemy ty i ja i zostawimy otwarte drzwi: Mina stanie tuż obok, a reszta z tyłu.
- Ale my chcemy słyszeć! - zaprotestowali bracia Brady.
- To bądźcie cicho!

‘) jrff

Connor wrzucił jakieś dziesięć monet do starego otworu na żetony i poprosił Murraya o podyktowanie numeru.

Począł, aż telefon się połączy.

- Wolne... - zameldował.

Pozostali wymienili podekscytowane spojrzenia.

Studenci uniwersytetu wchodzili i wychodzili przez drzwi okazałego budynku naprzeciw parku. Niektórzy leżeli na trawie, czytali, gawędzili. Murray pokazał ich

Minie,

która przytrzymała otwarte drzwi kabiny, i powiedział:

- Gdyby tylko któryś z tych przyszłych archeologów wiedział, że parę kilometrów stąd jest...

- Cii! - uciszyła go dziewczynka.

- Halo! - wykrzyknął wtedy Connor. - Kto mówi?

Chwila milczenia.

- Dzień dobry pani, jestem... - Connor popatrzył na Murraya, który zbliżył do siebie

palce wskazujące obu rąk. - Jestem znajomym Larry'ego. Zastałem go może?
Connor zamilkł i słuchając odpowiedzi, coraz szerzej otwierał oczy.
- Ach... przepraszam... nie... nie wiedziałem! Nie... naprawdę, nie wiem, co powiedzieć... tak... to... faktycznie, nie widzieliśmy się od ładnych paru lat, ale... kiedy to się stało?
Connor oparł się o kabinę, wolną rękę zanurzając we włosach.
- W jakim sensie: ile mam lat? Przepraszam, ale jakie to ma znaczenie, ile mam lat? - Zamknął oczy. - Oczywiście... tak... Więc mówi pani, że Larry... Z dnia na dzień Wulkan?
Oczywiście, że pamiętam wulkan... Ten, który wstrzymał samoloty na całym świecie, prawda? Dokładnie. Eyjafjallajókull, tak... oczywiście... Jak ja się nazywam? - Connor znów spojrzał na Murraya, który wykonał jakiś niewyraźny gest, wskazując na zewnątrz kabiny. -
Brady, proszę pani.
Shane szybko położył rękę na ustach braci i stanął między nimi a kabiną.
W środku Connor z trudem łapał powietrze:
- Nie! Nie jestem hieną, proszę pani! Nie... ja... nie sądziłem, że... byliśmy... byliśmy... I w tym momencie odłożył słuchawkę.
- CHOLERA! - krzyknął i błyskawicznie opuścił kabinę.
- Co się stało? - zapytał go Murray.
Connor oddalił się od kabiny, maszerując szybko po trawie. Reszta stłoczyła się wokół niego jak kurczęta wokół kwoki.
- To była jego matka, niech to szlag - wydyszał Connor.
- I...? - powtórzyli jak echo pozostali.
- I nic! Powiedziała mi, że Larry zniknął z domu. Gdybyście ją słyszeli! Jakby chciała mnie zjeść!
- Co to niby znaczy, że zniknął z domu? - spytał Murray.
- A powiedziała może, jak uciekł? - dorzuciła Mina.
- Albo wspomniała coś o statku? - dokończył Shane.
- Nie. Nic. Nie wie! Wygląda na to, że tak po prostu odszedł, nagle, z dnia na dzień! - wykrzyczał Connor. - Wtedy kiedy był wybuch wulkanu.
- Wow! - odezwali się bracia Brady.
Connor raptem się zatrzymał.
- Słuchajcie, to nie jest żart - powiedział, patrząc na wszystkich po kolei. - To prawdziwa tajemnica. A może... to było... porwanie.
- CO? - zapytali chórem pozostali.
- Larry Huxley miał dziesięć lat, kiedy uciekł z domu - wyszeptał Connor. - To nie jest normalne.
Dokładnie w tej chwili usłyszeli dzwonek telefonu. Dźwięk dochodził z kabiny. I gdy tylko się rozległ, pobiegli co tchu aż do drzew na nadrzecznym bulwarze.
Parę minut później usiedli w ogródku pobliskiego pubu, żeby wszystko sobie przemyśleć. Pub znajdował się na wysepce obok śluzy na kanale i otaczał go kwiecisty żywopłot.
Connor wypił swój kufel piwa z prędkością światła.
- Cała ta sprawa robi się co najmniej dziwna... - bąknął tymczasem Murray, sącząc

swój shake.

- Chciałeś powiedzieć absurdalna... - poprawił go Connor.

- Co robił ten numer telefonu w skrzyni... na tym statku? - zapytała Mina.

- A przede wszystkim... czym naprawdę jest ten statek? - podchwycił Connor. - To znaczy: to nie jest zwyczajny statek. Wy też to widzieliście. Wyłącza komórki, blokuje

sprzęt

elektryczny...

- I porywa dzieci? - zapytał jeden z braci Bradych.

- Mógłbyś spróbować - zasugerował mu drugi. Ale najwyraźniej nawet oni nie byli w nastroju do żartów.

- Według mnie to magiczny statek - powiedział cicho Murray. - Wiem, że wyda wam się to... głupie, ale nie potrafię tego inaczej wyjaśnić. Jest coś...

- Drżenie... - wtrąciła Mina.

- Ja też je czułem - potwierdził Connor.

- I ja - dodał Shane.

Bracia Brady popatrzyli na nich jak na wariatów.

- Co wy wygadujecie? - zapytali.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, obserwując nurt rzeki i owady, które pracowicie krzątały się wśród kwiatów żywopłotu.

- W każdym razie wciąż nie wiadomo, co robiła kostka... na statku.

- Może statek przywiózł nam ją specjalnie, żebyśmy odkryli historię Larry'ego i... nie wiem... żebyśmy postanowili go szukać? - mruknął Murray.

- A jeśli ten dzieciak - powiedział Shane - po prostu znalazł statek dokładnie tak jak my... i schował tam swoje zabawki?

- A co z dziennikiem? - zapytał Murray.

- Nie jest powiedziane, że mają ze sobą coś wspólnego - zastanawiał się głośno Connor.

- A może tak. I właśnie tego powiązania nie jesteśmy w stanie zrozumieć... - powiedziała Mina.

- Nie podoba wam się wersja z chłopcem, który znajduje statek? - spytał Shane.

- Nie wyjaśnia faktu, że potem zniknął z domu - zauważył Connor.

- Ale kto powiedział, że musi wyjaśniać. Może to dwie oddzielne rzeczy - drażyla Mina. - Może przytrafiło mu się to co nam: chciał wejść na ten statek, a potem...

- A potem nigdy już nie wrócił do domu? - zapytał ją Murray.

- To mogłoby oznaczać coś jeszcze bardziej niepokojącego... - zaczął Shane. - To, że Larry... przyplął tu na statku. Albo przynajmniej próbował.

- A potem utknął na lagunie?

Jeden z braci głośno siorbnął napój przez słomkę.

- Chcecie powiedzieć, że po lagunie może błąkać się jakiś zagubiony dzieciak? - zapytał drugi brat.

- To prawie fascynujące, gdyby nie fakt, że jest niemożliwe... - dodał Connor, prosząc o rachunek.

- A dlaczego? - spytała Mina.

- Dlatego że dzwonił pod numer telefonu domu, który znajduje się niemal tysiąc pięćset kilometrów stąd. Po drugiej stronie morza.

- Wow! - wykrzyknął jeden z braci Bradych.

- Co ty na to, Connor? Możliwe, że ten statek ugrzązł tam... Kiedy? Parę lat temu?

Chłopak nie odpowiedział.
Shane oparł się plecami o krzesło.
Popatrzyli na siebie. A potem znów zaczęli rozmawiać, rozważając po kolei wszystkie opcje, jakie przychodziły im do głowy. Pod koniec tej dyskusji byli przynajmniej spokojniejsi niż wtedy, gdy ją rozpoczęli. Connor postanowił udać się na lagunę. Shane zaproponował, że pójdzie z nim.
Mina ziewnęła: spędziła noc na rozwiązywaniu zagadki związanej z kostką, a fakt, że jej się udało, zamiast rozwiązać tajemnicę, jeszcze bardziej wszystko skomplikował.
- W tej sytuacji sądzę, że można zrobić tylko jedno... - odezwał się Murray. - Pozostali spojrzeli na niego. - Spróbować zrozumieć, co jest napisane w tym dzienniku - dokończył, odgarniając włosy z oczu.

ROZDZIAŁ 13

TŁUMACZ

PrintingMachine, Press, Type, Material, and Roller Manufacturers.

Profesorze Clark? Panie profesorze?

Na szkolnym korytarzu profesor Clark podniósł oczy znad książki.

- Dzień dobry, synku - powiedział z uśmiechem. - Co się dzieje? Przyniosłeś mi któreś ze swoich powiadań?

Murray przycisnął książki do piersi, jakby chciał się obronić przed tym pytaniem. Ale się nie poddał.

- Niezupełnie, panie profesorze. Nie. Ale zastanawiałem się, czy nie mógłby mi pan jakoś pomóc.

Profesor Clark wsunął między strony skrzydełko okładki, by zaznaczyć czytany fragment.

- Chętnie, jeśli zdołam.

- Nie za bardzo wiem, jak pana o to zapytać.

- Może zaczniesz od początku?

- O, nie. To nie takie proste, jak pan myśli...

Profesor Clark pozostał niewzruszony.

Murray uśmiechnął się nieśmiało, odgarnął włosy z oczu i długo pocierał piegowaty nos, zanim znów zdołał się odezwać.

- Wyobraźmy sobie, że musi pan przetłumaczyć tekst, który... jest napisany w niezrozumiały sposób.

- To niewiele się różni od tego, co robię na co dzień z waszymi pracami domowymi! - zażartował profesor, ale od razu tego pożałował, bo Murray zamilkł. - Zaczekaj... -

Poszukał

sobie krzesła na korytarzu i usiadł, trochę skrępowany. Stanie nad chłopcem nie wydawało

mu się najlepszym sposobem na zachęcenie go do rozmowy. - A... zatem?

- Zatem ma pan ten tekst... ale nie wie, jak go odczytać. I ma pan też dużo innych... i tych też nie potrafi pan przeczytać. Żadnego z nich nie można rozszyfrować.

był - Mów dalej. - Na twarzy profesora nagle odmalowało się zadowolenie, bo przyszło mu do głowy, że Murray właśnie zwierza mu się z pomysłu na kolejne opowiadanie. Nie to pomysł szczególnie oryginalny, ale Edgar Allan Poe na temat zaszyfrowanej mapy stworzył arcydzieło*.

- Rozumie pan sytuację? - upewnił się Murray.
- Doskonale: mamy bardzo dużo tekstów napisanych w nieznanymi alfabetach.
- I chce je pan przetłumaczyć. Powiem więcej: musi je pan przetłumaczyć.
- Mhm - zamruczał nauczyciel.
- Co by pan zrobił w takim wypadku?
- No więc... próbowałbym... nie wiem... - Profesor Clark patrzył na ręce. Nigdy nie był dobry w wyobrażaniu sobie różnych rzeczy. Nie należał do ludzi z fantazją. Lubił brać to, co

zrobili inni, i... doprowadzać do ładu. Wyjaśniać to i organizować. - Po pierwsze... tak: próbowałbym dowiedzieć się, czy te nieznanne języki i alfabety w rzeczywistości nie przypominają któregoś ze znanych... na przykład...

* Przypis tłumacza rękopisu. Sądzę, że autor ma na myśli nowelę Złoty żuk, wydaną przez Poego w 1843 r. Jest to opowieść o mapie skarbów Kapitana Kidda, stworzonej w oparciu o pozornie niezrozumiałą kryptografię.

- Hieroglifów - powiedział Murray. - Ale nie tych zwykłych. Tych drugich.
- Aaa - mruknął profesor Clark. Poluzował krawat, czując się, jakby wpadł w sidła, które coraz bardziej się zaciskają. Pomyślał, że niepotrzebnie posłuchał kolegów, którzy na ostatnim posiedzeniu rady pedagogicznej stwierdzili, że Murrayowi trzeba jakoś pomóc

po całej tej sprawie z ojcem. Straszna niesprawiedliwość, powiedzieli.

- Hieroglifów i greki - dodał Murray.
Niespodziewanie w oczach profesora Clarka zabłyśło światełko nadziei.
- Greki? - zapytał. - Jakiej greki?
- Starożytnej greki - odpowiedział Murray jednym tchem. - Najstarszej z możliwych. Greki Zeusa i jego żony... Metis. Rozumie pan? Takiej greki.
Profesor Clark poruszył się na krześle, szczęśliwy.
- W takim wypadku doskonale bym wiedział, co zrobić! - Murray wbił w niego wzrok.
- Zwróciłbym się do profesora Galippiego.
- Do kogo?
- Profesor Tony Galippi - kontynuował Clark. - Uczył w tej szkole wiele lat temu. Ale potem przeszedł na emeryturę. Był trochę... - Zawahał się. Chciał powiedzieć „szalony”

lub coś gorszego, ale nie tego potrzebował Murray, dlatego się poprawił: - Był trochę jak jeden z największych specjalistów od języków starożytnych na świecie. A od greki przede wszystkim.

- A pan wie, gdzie on mieszka?
- Tak, wiem.

Ruszyli w stronę schodów. Profesor Clark popatrzył na poręcz wijącą się w dół i przez chwilę poczuł niepohamowaną chęć, by na niej usiąść i zjechać piętro niżej. Zakłopotany, wyjął z kieszeni kartkę.

- Napiszę ci tu adres. Ale... ty w zamian... - Szybciutko skończył pisać. - Przyniesiesz mi do przeczytania jedno ze swoich opowiadań.

Murray chwycił kartkę i świdrował ją oczami.

- Obiecuję. - Profesor Clark puścił papier. - Dziękuję, panie profesorze!

Murray zbiegł po stopniach na łeb na szyję.

- I pozdrów go ode mnie! - dodał profesor Clark, coraz bardziej skrępowany. Odkrył, że ma czoło złane potem. Poluzował jeszcze trochę węzeł krawata, aż wreszcie prychnął poirytowany, zdjął go zupełnie i zawiesił na szyi jednego z posągów na szczycie

schodów.

Statek był jak żywy.

Od kiedy został uwolniony z błota, które blokowało rufę, wydawało się, że drży, jakby wyrwał się w morze. Ale, rzecz jasna, nie był w stanie.

Connor zszedł w końcu do niskiej, długiej ładowni, żeby oszacować, jakich prac wymaga. Zapach morza wypełniał nozdrza. Kiedy sprawdzał centymetr po centymetrze szkielet i poszycie Metis, miał wrażenie, że znajduje się na odległej wyspie, a falujące nad lukiem gałęzie płatanu tworzą nieprzebytą dżunglę. Gdy tylko przymykał oczy, jałowy

obszar

laguny zamieniał się w płynny grzbiet oceanu, a piaszczyste wzniesienia w lśniące skały. Szum wiatru w gałęziach brzmiał dla niego jak łoskot lin miotanych przez burzę, a

chmury

wydawały się niczym piana rozbijających się fal.

Kiedy tak krzątał się po pokładzie Metis, czuł się, jakby wrócił do czasów domu dziecka.

Wtedy każde wyjście na dwór zamieniało się w polowanie na niedźwiedzie, walkę z Indianami czy bitwę z piratami. A Connor zawsze wybierał piratów. Przypomniawszy sobie twarze swych przyrodnich braci, klatki z królikami i kurnik, którym musieli się

zajmować,

wypadki nad potok, figle płatanu księdzu i chwile, gdy uczył ich, jak uprawiać ogródek. Pomyślał też o Winstonie, szorstkowłosym kundelku, który przywędrował pewnego dnia potokiem i w ten sam sposób zniknął kilka lat później. Dzieci szukały go miesiącami, po wszystkich okolicznych polach i lasach, a z upływem czasu, by jakoś poradzić sobie ze smutkiem, zaczęły wymyślać opowieści o jego przygodach i zrobiły z niego swojego czworonożnego bohatera.

Potem podrosły i wysłano je do gimnazjum. Niektóre z nich zaadoptowały jakieś dobre rodziny. Inne, tak jak Connor, zostały z księdzem aż do ukończenia osiemnastu lat,

bo

były już za duże, by znaleźć dobrą rodzinę. I życie w domu dziecka było jedynym, jakie

dane

im było poznać.

Statek był jak żywy i w czasie gdy Connor go badał i fantazjował, Metis powoli zaczęła drzeć, tak jakby przez drewno popłynął delikatny prąd. Porywisty wiatr pochylał opierzone łebki trzciny. Connor podciągnął się i wyszedł przez luk na pokład.

Laguna cicho szumiała. Brzęczenie owadów i dalekie nawoływania łysek. A potem, kiedy statek wciąż jeszcze drżał, na ścieżce pojawił się Murray.

Statek wyczuł, że się zbliża.

Connor uśmiechnął się do przyjaciela i przez chwilę pomyślał, że gdyby tylko mieli żagiel, mogliby odpłynąć.

Chłopak był zdyszany, co oznaczało, że całą ścieżkę pokonał biegiem. Opowiedział mu o profesorze i o adresie, który zdobył.

- Chcesz z nami iść?

Connor nie miał wielu przyjaciół wśród nauczycieli. Ani nie darzył ich zbyt dużą sympatią.

Pokazał na grotmaszt Metis, kubły smoły i nadburcie statku, które najbardziej go w tym momencie martwiło.

- Jeśli chcemy spróbować go stąd ruszyć... jest jeszcze dużo do zrobienia - powiedział.

- I chyba wolę zająć się naprawami.

- Shane? - zapytał Murray.

- Przyjdzie później, mam nadzieję.

- A bracia Brady?

- Zostają w domu... Na to liczę. - Connor uśmiechnął się, a potem dodał: - Idźcie ty i Mina. Ale postarajcie się zorientować, co to za typ. Czy to jeden z nas... czy nie.

Murray pokazał ręką znak OK.

- Connor? Według ciebie co sprawia, że jakaś osoba jest... jednym z nas?

- Poza tym, że musi być trochę szalona?

- Ja nie uważam się za szalonego! - zaprotestował Murray.

- Ja też nie. Ale jak popatrzysz na innych...

- To właśnie inni nic nie rozumieją!

Pokład Metis zatrzeszczał.

Connor oparł się o grotmaszt, na którym było głębokie, ciemne pęknięcie, podobne do rany. Powinien go wzmocnić żelaznym zbrojeniem, a może wymienić. Nie miał jednak zielonego pojęcia, gdzie się kupuje maszt do statku.

- Jeden z nas... to ktoś, kto stoi, gdy inni biegną - odpowiedział Connor, patrząc w niebo wyzierające zza gałęzi. - I kto biegnie, gdy inni stają.

- Adwokat diabła - podsumował Murray.

Connor zastanowił się parę sekund. Myślał raczej o kimś, kto pokazuje ci, że zawsze można zrobić coś innego niż to, co wszyscy myślą, że zrobić trzeba.

- Tak, adwokat diabła - musiał jednak przyznać po zakończeniu swojego rozumowania. - A więc spróbuj się zorientować, czy ten twój profesor Galippi to adwokat diabła. Jeśli tak, dajcie mu do przetłumaczenia ten dziennik.

ROZDZIAŁ 14

KRÓL BLOKU

**GDZIE SPOTYKAMY KRÓLA BEZ PODDANYCH I BEZ PIENIĘDZY,
KTÓRY WOLI UŻYWAĆ STARYCH RZECZY, NIŻ KUPOWAĆ NOWE**

Autobus zostawił ich przed domem z dużym graffiti. Z jednej strony ulica opadała ku miastu i portowi. Z drugiej rwała się gdzieś na opustoszałym przedmieściu.

Mina i Murray poczekali, aż pojazd zniknie pośród dziur w asfaltowej drodze, a potem ruszyli wzdłuż niskiego ceglanego murku pokrytego napisami namalowanymi sprejem, za którym rozciągało się pole porośnięte chwastami.

Sprawdzili adres na karteczce od profesora Clarka i zatrzymali się przed wielkim jak pałac betonowym blokiem, który groźnie górował nad ulicą. Miał sześć pięter i kształt

litery

L. Prowadziła do niego wyasfaltowana tylko do połowy droga i zardzewiała brama.

Domofon

ktoś musiał obrzucić kamieniami, a między kratami bramy przymocowano tablicę z napisem:

Budynek grozi zawaleniem.

Zakaz przebywania!

Słupki, na których osadzona była brama, zdobiły wszelkiej maści napisy.

- Jesteś pewien, że to tu? - spytała Mina.

W powietrzu dało się wyczuć klimat opuszczenia i dzikie zwierzęta.

Murray przytaknął, choć sam miał podobne wątpliwości.

- Może profesor Clark się pomylił i źle mi zapisał adres...?

Mimo wszystko prześliznęli się przez bramę.

Znaczna część okien od strony ulicy była zamknięta. Rolety zwisały z balkonów jak jesienne liście. W wyschniętej fontannie leżał szkielet starego dziecięcego rowerka. Lecz

gdy

tylko skręcili za róg, zobaczyli, że na wielkim podwórzu przed blokiem rozwinięto długi czerwony chodnik zakończony wycieraczką z napisem: Znowu ty?

- A może nie... - mruknął chłopiec.

Po bokach chodnika stały dwie wysokie kolumny z ułożonych jedna na drugiej opon samochodowych, a za nimi widać było front bloku pokryty pnącym bluszczem. Z okien wylewały się kwiaty, a pod okapem dachu zbudowało sobie gniazda stado jaskółek.

Murray i Mina przemierzali cały chodnik, a jaskółki świergotały im nad głowami.

Drzwi wejściowe były otwarte, a w holu znajdował się tor wyścigowy dla

samochodzików.

Ale nie był to pierwszy lepszy tor: to największy tor dla samochodzików, jaki

kiedykolwiek

widzieli. Składał się z sześciu pasów biegnących obok siebie od jednej ściany do drugiej,

z

pętlami i łukami na co najmniej trzech różnych poziomach. Miał niesamowicie strome podjazdy, zjazdy z niesłychanie ostrymi zakrętami, most wiszący, którym tor wychodził

przez

jedno okno, i tunel, którym wracał przez drugie. Do tego miniaturowe latarnie z folii aluminiowej i przejazd kolejowy ze zgaszonymi światłami.

- W mordę jeża! - wykrzyknął Murray.

- A żebyś wiedział - zgodziła się Mina.

Wpatrywali się w tę gigantyczną zrobioną przez kogoś zabawkę jak zauroczeni i minęło sporo czasu, zanim przypomnieli sobie o właściwym powodzie swojej wizyty.

- Profesorze Galippi? - krzyknął Murray. - Profesorze Galippi? Jest tam kto?

Nie było śladu działających domofonów czy jakichkolwiek tabliczek. Był tylko tor dla samochodzików: ogromny, tajemniczy. I wyłączony.

- Moim zdaniem to miejsce jest kompletnie opuszczone... - szepnął po jakimś czasie Murray.

Z zalem pozostawił za sobą hol i poszedł rzucić okiem na jeden z przepastnych korytarzy.

- Wszędzie ciemno... - zauważyła Mina.

Kontakty nie działały.

- Popatrz! - zawołał Murray. Na jednej ze ścian znalazł tablicę do zapisywania wyników z tekstem Grand prix i kilkoma imionami pod spodem: Joss, Bob, Bru i...

- Tony - przeczytał Murray. - To mógłby być on!

Wrócili na zewnątrz, na podwórze z pnączami, i znów zaczęli wołać, tym razem głośniejsze.

Ich głosy przepadały gdzieś między spiczastymi ogonami jaskółek.

I gdy mieli już zrezygnować, otworzyło się okno na jednym z wyższych pięter i wychyliła się przez nie rozczochrana łepetyna.

- Czwarte piętro! - krzyknął profesor Galippi, machając do nich. - Jestem w pracowni! Murray i Mina spojrzeli po sobie.

- Pracownia na czwartym piętrze - mruknęła Mina. - Jak mogliśmy wcześniej na to nie wpaść?

Szyb windy został zamieniony w siedzibę wielkiego wazonu róż. Zaraz za nim znaleźli schody, po których ruszyli w górę. Były chłodne i ciemne.

Na pierwszym piętrze wszystkie drzwi pustych mieszkań były otwarte. Na drugim zamknięte. Na trzecim w ogóle ich nie było.

Na czwartym piętrze spotkali profesora Galippiego.

Był to wysoki, trochę przygarbiony mężczyzna z dużymi zębami, które zachodziły na siebie w uśmiechu wąskich ust. Miał jasne oczy o niezwykle inteligentnym spojrzeniu i

dwie

kępki włosów za uszami. Był ubrany w pochłapaną lakierem koszulkę jakiegoś zespołu heavymetalowego, spodnie rybackie z wypchanymi kieszeniami i plażowe japonki.

W jednym ręku trzymał metalową dyszę palnika do lutowania, a w drugiej plastikową butelkę.

- Pozwólcie za mną - powiedział, nawet się z nimi nie przywitawszy. - Muszę dokończyć jedną rzecz.

Murray i Mina podążyli za nim. Murray najwyraźniej czuł się jak u siebie w domu, natomiast Mina była co najmniej skonsternowana. Niezupełnie tak wyobrażała sobie ich tłumacza z greki.

- Wybaczcie bałagan, ciemność i całą resztę, ale odłączyli światło już półtora roku temu... - zdążył wyjaśnić

Tony Galippi. Szedł żwawym krokiem, szurając klapkami, i oświetlał sobie drogę przerywanym płomieniem palnika. Zaprowadził ich do widnego pokoju z oknami bez

szyb,

wychodzącymi na podwórze z jaskółkami. Na ziemi leżały dziesiątki kolejnych

plastikowych

butelek, poukładanych jedno przy drugim na drewnianych ramach, z naciągniętymi na nie czarnymi workami na śmieci. - To mój tani zamiennik paneli słonecznych - wytłumaczył, odgadując ich zdumienie. - Pozwolicie, że skończę?

- Tak, tak, oczywiście... - wymamrotał Murray, zachwycony.

- Nie chcieliśmy panu przeszkadzać... - dodała Mina ze skruchą i rozejrzeli się za jakimś kątem, z którego mogliby go obserwować.

On tymczasem przykląkł koło swojego taniego panelu słonecznego, położył butelkę na czarnym plastiku, wziął jeszcze jedną z podłogi i dwoma małymi płomieniami połączył je

ze

sobą.

- I działa? - zapytał Murray, zafascynowany.

- Panele słoneczne to po prostu soczewki skupiające światło i ogrzewające wodę. Butelki mają już odpowiedni kształt, wystarczy tylko nalać wody od góry, zebrać ją tutaj... I

zrobione. Pokryłem nimi dużą część dachu i nie mogę narzekać.

Mina wrzasnęła. Jakaś jaskółka wleciała przez otwarte na oścież okno, zatoczyła nad nimi koło i wyleciała jak gdyby nigdy nic.

Król bloku

- A ptaki panu nie przeszkadzają? - spytał Murray.

Profesor Galippi nawet na niego nie spojrział.

- Nie, nie. Niech sobie latają. Ptasie odchody są bogate w fosfor i potas i doskonale nadają się na nawóz pod kapustę. Pod warunkiem że wiesz, co robić, bo jak go dobrze nie rozcieńczysz, to możesz spalić korzenie.

Mina wyjrzała na podwórze.

- Ma pan ogródek? - zapytała.

- Na szóstym piętrze - odpowiedział. - Nad moim mieszkaniem. To piętro z najlepszym widokiem.

- Panie profesorze... - zaczął Murray.

Galippi wycelował w niego dyszę palnika, jakby chciał mu pogrozić.

- Opuśćmy sobie te tytuły, dobrze? Już od wielu lat nie jestem profesorem. A nawet gdy nim byłem, nie cierpiałem tego słowa. Ach! Jak tylko sobie przypomnę te wszystkie dzieciaki z pustymi łbami! I próżnią zamiast mózgu! - A potem dodał cicho: - Bez obrazy, oczywiście.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Murray.

- Proszę nie zwracać na nas uwagi - dorzuciła Mina.

- Przyjdzie mi to z łatwością. ACH! Nie mam tu zbyt wielu gości, choć przygotowałem dla nich całe drugie piętro. Miękkie pokoje. Sam tam czasem chodzę,

żeby

poskakać, kiedy muszę rozprostować kości.

Dzieci patrzyły na niego osłupiałe.

Tony Galippi wykonał gest imitujący coś płaskiego i równego.

- Zniosłem tam wszystkie materace i poduszki z całego bloku. Nie ma ani centymetra podłogi, który nie byłby wyścielany! - Potem zniżył głos: - Fakt, że trochę się tam kurzy, ale... za to ile zabawy! - zakończył już głośniejszym głosem.

Murray zachichotał, zaskoczony tą pogadanką na dwa głosy, która wyglądała, jakby profesor sam ze sobą prowadził wymianę zdań. Był stuknięty, bez dwóch zdań!

- W każdym razie... - Profesor wypuścił płomień. - Dajcie mi jeszcze parę minut... a później zapytam was może, po co przyszlście - kolejny płomień - do starego Tony'ego Galippiego.

Kiedy profesor skończył montaż panelu słonecznego, dzieci pomogły mu go zanieść na górę. Szóste piętro rzeczywiście zamieniło się w szklarnię: zamiast dachu miało duży szklany świetlik zbudowany z ram i okien zabranych z innych mieszkań. W powietrzu

unosila

się wilgotna woń ziemi, a światło było ciepłe i pachnące. Dzieci stąpały między najrozmaitszymi gatunkami roślin, od dorodnych warzyw do wielkich orchidei.

Galippi wspiał się na jedną ze stojących jeszcze części dachu, ułożył na zewnątrz swój panel i przybił go gwoździami obok dziesiątek jemu podobnych. Połączył ze sobą kilka plastikowych rurek, owijając je parę razy taśmą izolacyjną, a potem zaczął kontemplować

swoje dzieło i głośno komentować szczegóły:

Król bloku

- Tędy wpada woda z rynny, tędy się wydostaje, później spływa w dół i ciepłutka dociera... prosto do mojego prysznicza.

- Zimą też? - zapytała Mina.

- Co? - odparował profesor. - A ty zimą też bierzesz prysznic?

Już za sam ten tekst Murray miał ochotę uścisnąć mu rękę.

Galippi wyjaśnił im, że woda deszczowa z rynien spływa do szeregu zbiorników, a potem pionowymi rurami aż do piwnicy, gdzie wprawia w ruch stare turbiny, które

Galippi

zdobył w porcie i które dostarczają mu tej niewielkiej ilości prądu, jakiej czasem potrzebuje.

- Wynalazłem, że tak powiem, światło na spłuczkę... - zakończył, zadowolony.

Minęła ponad godzina, odkąd Murray i Mina pojawili się w opuszczonym bloku, który on przekształcił w swoje królestwo dziwnych wynalazków, lecz dopiero wtedy stary

profesor

popatrzył na nich, jakby naprawdę ich zobaczył.

- A więc... jak już mówiliśmy - podsumował na głos - co wy, do licha, robicie u mnie w domu?

ROZDZIAŁ 15

ZAGINIONY JĘZYK

O TYM, ŻE JEDNA DOBRZE NAPISANA STRONA, NAWET W NIEZNANYM JĘZYKU,

WARTA JEST WIĘCEJ NIŻ TY SIĄC CZCZYCH SŁÓW

PrintingMachine. Press, Type, Material and Heller Manufacturers.

Murray odchrząknął i już samo to wystarczyło, żeby znowu rozproszyć profesora

Galippiego. - Dobrze mówisz! - wykrzyknął donośnym głosem. - Mnie też się zachciało

pić!

Szybkim ruchem ściął łydę groszku, pnąc się tam, gdzie nie trzeba, i nie czekając na ich reakcję, zszedł po schodach na piąte piętro. Do swojego mieszkania.

- Chodźcie, chodźcie, proszę!

Zaprosił ich do jasnego i eleganckiego pokoju, który najwyraźniej pełnił funkcję salonu i w którym znajdowały się surrealistyczne - delikatnie mówiąc - meble. Dwa fotele

ze

starych ubrań pociętych na paski, ułożonych na sobie i spiętych skórzanymi pasami.

Stolik z

setek sklejonych ze sobą czasopism i wielka biblioteczka z półkami ze starych drewnianych

skrzynek.

- Może być miazga owocowa? - spytał profesor.

Murray i Mina odpowiedzieli, że jak najbardziej.

- Wy tymczasem sobie siądźcie! Nie krępujcie się! Fotele są bardzo wygodne.

Dzieci przekonały się, że ma rację: meble ugięły się lekko pod ich ciężarem i

przyjemnie otuliły je starymi ubraniami.
- I pomyśleć tylko, że ludzie to wszystko wyrzucali... - zaśmiał się Tony Galippi.
Wyciągnął ze słoja parę pomarańczy, ogórek i garść truskawek (tak przynajmniej wydawało się Murrayowi), włożył je do puszek z podziurawionym dnem, odwiązał od ściany linkę i...

BACH! Do puszek wpadł płaski kamień, który wcześniej wisiał pod Zaginiony język sufitem. - Sok! Się robi! - krzyknął sam do siebie i postawił trzy szklanki pod otworkami puszek. Począł, aż wycieknie do nich cały sok, a potem podał dzieciom dwie porcje.
- Nie zwracajcie uwagi na te czarne drobinki pływające po wierzchu... - mruknął. - Wszystko jest świeżutkie. Choćby dlatego że trudno by było to przechowywać bez lodówki...

Mina wybuchła śmiechem.
- Naprawdę nie ma pan lodówki? - spytała.
Profesor Galippi wychylił połowę swojej miazgi owocowej, po czym odpowiedział:
- Oczywiście, że nie mam! Ani telewizora, zmywarki czy odkurzacza! - Uśmiechnął się szeroko. - Jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. - Potem zniemacka sposepniał, wypił resztę soku i dodał: - W każdym razie byłbym, gdyby tylko odpuścili sobie

te wszystkie ekspertyzy bloku... i zostawili mnie w spokoju. Ale mimo wszystko... Spojrzała na nich. Najpierw na Minę, później na Murraya.
- Naprawdę dobry - powiedział Murray.
Mina rozglądała się dookoła, wciąż oszołomiona faktem, że ten dziwny pan nie ma lodówki ani odkurzacza. Lecz przede wszystkim tym, że pokój, w którym siedzi, jest tak niewytłumaczalnie piękny, wręcz pachnący.
- A teraz mówcie, śmiało! Co tu robicie?
Murray się uśmiechnął.
- Przyszliśmy do pana, profesorze... - Staruszek podniósł szklankę, a on od razu się poprawił. - Chciałem powiedzieć... panie Galippi... z polecenia profesora Clarka.
- Och, ten pocziwy wodolej! - wykrzyknął profesor ku uciesze dzieci. Potem uderzył dłońmi o uda i roześmiał się szczerze. - A czego chce ode mnie stary Clark? Wciąż uczy ekonomii na uniwersytecie?
- Prawdę mówiąc, to nasz nauczyciel literatury... - odparła Mina.
- Literatury? Clark? OCH! To dopiero niezły przykład recyklingu! Clark uczący dzieci literatury! To coś jak Winston Churchill odbierający pokojową Nagrodę Nobla! - Po

czym zniżając głos, dodał: - Choć fakt, że Churchill dostał później literackiego Nobla...
Nieważne! -

krzyknął znowu przenikliwym głosem. - Stary Clark tylko jazrobię karierę kazał wam ze mną rozmawiać. A wy przyszliście. I o czym chcecie rozmawiać? - Murray już miał otworzyć usta, lecz profesor Galippi uprzedził go, ostrzegając: - Tylko żadnych wywodów na temat zmiany klimatu, ograniczenia zużycia energii, zrównoważonego stylu życia, świadomości ekologicznej i wszystkich tych głupot, których wam nakładli do głowy, żeby wmówić wam,

że wszystko jest dużo bardziej skomplikowane niż w rzeczywistości.

- No... - bąknął Murray.

- Czy w tym domu jest coś skomplikowanego? - wybuchł znowu profesor. Pokazał na swoją biblioteczkę. - Skrzynki po owocach! - Potem na żyrandol, który wisiał na suficie i wyglądał jak jeden wielki kryształ. - Osiem tysięcy sześćset dwadzieścia plastikowych patyczków do mieszania kawy. A stół, wystarczy trochę kleju...

- A pan w tym bloku mieszka całkiem sam? - przerwała mu Mina.

- OCH! Tak, sam. Brunhildy już nie ma. A mi się nie spieszy z wyprowadzką... Inni od razu posprzedawali mieszkania, jak im tylko zaproponowali inne, bliżej centrum czy zieleni. Pff! A konkretnie bliżej centrum czego? Jak chcą zieleni, to dlaczego nie

wyhodują

grządki pomidorów?

- To samo mówi nasz przyjaciel Connor! - wtrącił Murray. - Mieszka na łodzi przycumowanej do brzegu rzeki i na dachu urządził sobie mały ogródek.

Po raz pierwszy w czasie tego spotkania w oczach Tony'ego Galippiego rozbłysła iskra autentycznej ciekawości.

- To rzeczywiście interesujące. I co tam zasadził?

Murray ugryzł się w język, bo tak naprawdę nigdy nie zwrócił na to uwagi.

- No, pomidory... jak pan mówił - wymamrotał. - Poza tym...

- Po jednej stronie są selery, pory i sałata - pomogła mu Mina, odzywając się pewnym głosem. - Pośrodku alejka z jeżynami i malinami, a po drugiej groszek, fasola i szpinak.

- Doskonała robota! - wykrzyknął profesor, po czym zaczął się po cichu zastanawiać: -

Zatem żadnych roślin okopowych... Ależ jasne, przecież ziemniaki czy marchew nigdy by

nie

wyrosły na dachu łodzi... chyba że... - A potem wrócił do tematu, pytając na głos: - A co

wasz

mieszkający na rzece przyjaciel ma wspólnego z tym nieudacznikiem Clarkiem?

- Tak naprawdę to nic... - powiedział Murray, puszczając wcześniej oko do Miny. - Poza czymś w rodzaju dziennika, którego nie potrafimy przetłumaczyć.

- Przetłumaczyć? To była moja pasja, kiedy uczyłem! - zawołał Tony Galippi. I dodał cicho: - Poza świętej pamięci Brunhildą, oczywiście.

Murray pogrzebał w swoim plecaku, wyjął skoroszyt pełen kartek i pokazał go profesorowi.

- A kim niby jest ten Ulysses Moore? - zapytał tamten po przeczytaniu strony tytułowej.

Potem przewrócił kartkę i popatrzył na czarnobiałe zdjęcie dzieci w szkole. Jego twarz złagodniała i pojawił się na niej cień melancholii, jakby w tych uczniach ujrzał samego

siebie.

Bez słowa zaczął przerzucać kartki dziennika, od czasu do czasu zatrzymując się na notatkach, artykułach z gazet i fragmentach zapisanych szyfrem.

Podczas gdy Tony Galippi był pochłonięty oglądaniem dziennika, Murray pomyślał, że między mężczyzną a autorem tych stron zachodzi dziwne podobieństwo. Obydwaj

spędzili

wiele lat swojego życia na kolekcjonowaniu prywatnych drobiazgów, trzymając się precyzyjnie przemyślanego planu, który miał sens tylko w ich głowie.

Gdy profesor dotarł do pierwszej strony z hieroglifami, podskoczył na krześle, jakby go kto biczem trzasnął.

Zaginiony język

- Na Kamień z Rosetty! Przecież to są znaki z Dysku z Fajstos... - zawołał. - Należące do jednego z ośmiu starożytnych języków, które nigdy nie zostały przetłumaczone! -

Potem

przejrzał szybko następne strony i trafił na pierwszy fragment po grecku. - A to greka... klasyczna... OCH! Wspaniały styl! Co to za autor? Dosadny i zwięzły, Ksenofont? Nie...

nie.

Nie poznaję go... To jakiś głupi kawał? - Wstał z krzesła, teczka otworzyła mu się w rękach i

kartki rozsypały się dookoła. - Jak którykolwiek z klasycznych Greków mógłby pisać o Kornwalii? Przecież nawet ten blagier Herodot nigdy nie wystawił nosa dalej niż parę kilometrów od domu!

Murray i Mina spojrzeli po sobie.

- Potrafi pan przeczytać, co jest tam napisane? - odezwał się chłopiec.

Tony Galippi uniósł rękę jak aktor w teatrze i potężnym głosem przeczytał:

- Zdawało się, że w tym małym miasteczku wszystko ustało, także chęć opuszczania go. Nikogo nie interesowało zadawanie sobie zbyt wielu pytań. Nie chcieli wiedzieć,

dlaczego

dotarłem aż tam, i nie byli na tyle złośliwi, żeby wyobrazać sobie niewłaściwy powód

mojego

przybycia. Morze było nierealnie błękitne, jakby narysowało je dziecko; chmury

rozpadały się

na długie pukle, za które ciągnął wiatr; mewy krążyły przed białym urwiskiem, nawołując

jak

poeci. Od razu zrozumiałem, że chcę tam zostać, choć miałem tylko jedenaście lat. Tak

samo

mój ojciec, który w końcu oddychał pełną piersią, bez strachu.

Nasz dom był zamknięty od lat. Ogród, krzewy jeżyn. Chciałem się zatrzymać. I w życiu bym nie pomyślał, że w ten sposób będę podróżował więcej niż jakikolwiek inny podróżnik i udam się w miejsca, których nie oznaczono na żadnej mapie, poza wiecznie zmieniającą się mapą wyobraźni...

Profesor przewrócił stronę, lecz następna okazała się pusta.

- Och! - wykrzyknął. - Ależ to liryka w najczystszej postaci! Od lat nie czytałem tak pięknego tekstu! - A po cichu dodał: - Naturalnie z wyjątkiem paru moich, ale kto by o

nich

pamiętał?

Murray i Mina tymczasem zeskoczyli z foteli: Mina, żeby zebrać kartki rozrzucone przez profesora, Murray, żeby nakłonić go do dalszej lektury:

- Opisuje Kilmore Cove, mogę się założyć! Proszę czytać dalej!

- Ale jak? - zapytał profesor, który dopiero wtedy zauważył porzucane strony.

Potem otworzył szeroko oczy, jakby rażony piorunem: - A jeśli to język pivot? Czy to możliwe, żeby kawałek, który właśnie przeczytałem, zapisano również za pomocą ideogramów z Dysku z Fajstos? Jeśli tak było, miałbym w rękach to, co trzeba, żeby go przetłumaczyć! - I jak to miał w zwyczaju, zaraz dodał: - Ale po co tłumaczyć, skoro nikt

tego

nigdy nie przeczyta?

- My to przeczytamy, profesorze Galippi... - nalegał stojący przed nim Murray. - Musi

pan spróbować!

- Co spróbować, chłopcze?

- Mam na imię Murray.

Profesor pokiwał głową, pogrążony we własnych myślach, wciąż mocno trzymając w ręku kartkę z dziennika.

- Proszę spróbować to przetłumaczyć! - ciągnął Murray. - Niech pan przetłumaczy wszystko, co jest w tym dzienniku. Niech pan się dowie, dlaczego są tu te wszystkie

języki i

te hieroglify...

- To ideogramy, chłopcze!

- Niech będzie: greka, ideogramy, strony pisane szyfrem. Może to pan ma rację i znalazł pan to, o czym mówił... język puree!

- Pivot, młody człowieku! Pivot! To język, który stosuje się w tłumaczeniach jako język pośredni. To nieczęsty przypadek, wiesz? Ostatni raz wykorzystano pivot, kiedy

Cortes

mówił po hiszpańsku do Aguilara, który tłumaczył to na język Majów Indiance Malintzin, która z kolei tłumaczyła to Montezumie na język nahuatl, i tak się skończyło, że się

nawzajem

wymordowali!

- Ale może pan jednak spróbować? - nie ustępował Murray.

Profesor Tony Galippi spojrział w dal. Był skupiony na czymś, co wirowało w jego głowie; litery, słowa, alfabety przemykały mu przed oczami.

Mina podała mu kartki, które skrzętnie zebrała z podłogi, i powiedziała:

- Jeśli znów by panu powypadały, to zaznaczyliśmy numery stron żółtą taśmą w lewym dolnym rogu, widzi pan?

Zdjęcia i pocztówki też są ponumerowane. Wszystko tak, jak znaleźliśmy na statku.

- Jakim statku? - zapytał nagle stary tłumacz.

- Niech pan przetłumaczy wszystko, co się da z tego dziennika, profesorze Galippi, a obiecuję, że go panu pokazemy - szepnął sprytnie Murray.

- Tylko panu - dorzuciła Mina. - Profesorowi Clarkowi nie.

ROZDZIAŁ 16

ŻAGIEL

Shane wyszedł ze sklepu z pościelą, niosąc na plecach ogromny pakunek z prześcieradłami. Sklep nazywał się Sweet Home i był przeznaczony do likwidacji:

zakurzona

witrynę wytapetowano wielkimi ogłoszeniami o rabatach i wyprzedażach.

Dla nich idealnie.

Objuczony, poczekał na autobus, pogwizdując i nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia innych osób. Wsiadł kawałek przed torami, przeskoczył przez szyny i podążył jedną ze ścieżek laguny. Najpierw kierował się skrawkami materiału, a potem minął

jeżynowe

krzewy maskujące ostatnie rozwidlenie. Dziesięć minut później zrzucił paczkę na ziemię, nieopodal drewnianej ramy, którą Connor właśnie skończył składać, i pomasaował bolące

barki.

- Dobra robota, Shane - podziękował mu Connor. Chłopak z obawą popatrzył na wszystkie te tanie tkaniny, które zgromadzili na plaży. Były tam kupony mocnej bawełny

o

najróżniejszych kolorach i wzorach.

- Pewien jesteś, że da się z tego wszystkiego zrobić dobry żagiel? - zapytał z lekką konsternacją.

- Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy - odrzekł Connor, ocierając pot z czoła.

- Zresztą stara pościel nie do kompletu to wszystko, na co było nas stać.

Shane przysłonił oczy ręką i spojrzał na pokład Metis. Uwolniony od błota statek lekko falował pod wpływem morskiej bryzy.

Shane miał wrażenie, że zanosi się na burzę, ale według Miny prognozy były dobre.

Zastał wszystkich przy pracy.

Wielki projekt Connora wisiał na dziobie statku: rysunek pełen niejasnych wyrażeń, które Shane udawał, że rozumie. Remizka, ref, wielokrążek, róg szotowy czy liklina przemknęły mu przez głowę niczym jakieś egzotyczne słowa z opowieści grozy, które podsuwał mu do czytania Murray. Niezrozumiałe terminy, pomyślał Shane, zastanawiając

się,

czy naprawdę wiedzą, co robią.

Żagiel próbny. Zgodnie z szalonym planem wydobycia statku z bagna i zaciągnięcia w jakieś miejsce przy brzegu rzeki. W nadziei, że może nikt go nie zauważy i nie zapyta,

gdzie

go znaleźli.

Shane podszedł do drobiazgowego projektu narysowanego przez Connora, a potem musnął kadłub Metis.

Był... porowaty. To właściwe słowo, pomyślał Shane, obserwując statek z tym samym trwożnym zachwytem co wtedy, gdy zobaczył go po raz pierwszy. Zdawało się, że

wchłania

światło jak gąbka wodę i przyciąga myśli.

Kiedy tam był, Shane nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o nim. I instynktownie czuł respekt. Niemal... strach.

- Shane? - zawołali go Connor i Murray. Przyłgnęli do ramy jak dwa pająki, przytrzymując rękami i nogami naciągnięty materiał.

- Potrzebne są nam długie igły i liny plecione - wyjaśnił Connor.

- Zapomniałem ich na pokładzie - dodał Murray, pokazując na statek.

- To ja przytrzymam - zaproponował natychmiast Shane, lecz Connor potrząsnął głową.

- Nie. Idź na górę i weź igły.

Shane przełknął ślinę.

Nie był jeszcze na pokładzie statku i nie miał najmniejszego zamiaru tam wchodzić.

Wahał się o chwilę za długo. Murray to wyczuł i nie chcąc go stawiać w trudnej sytuacji, zagwizdał na jednego z braci Bradych i jemu zlecił to zadanie.

Shane z wściekłości chwycił pędzel od smoły i zajął się robotą przy kadłubie. A że z upływem czasu złość nie malała, wypalił w końcu:

- Murray, pamiętasz historię rękopisu znalezionego w butelce?

Murray uciął i przymocował pierwsze brzegi materiału do ramy.

- Tę napisaną przez Edgara Allana Poeego?*

- Tak... - potwierdził Shane. - Może nam opowiesz?
- Dobry pomysł - zgodził się Connor.
- No, nie wiem... - zaprotestował Murray. - To opowieść grozy...
- * Przypis tłumacza rękopisu. Autor odwołuje się tu naturalnie do noweli Rękopis znaleziony w butli opublikowanej przez Edgara Allana Poe'go na łamach „Baltimore

Saturday

Visiter” 19 października 1833 roku.

- Groza! Groza! - zaczęli jednogłośnie skandować bracia Brady.

Murray jeszcze przez chwilę się wykręcał, ale w końcu dał się przekonać.

Opowiedział im o zbudowanym w Bombaju statku z drewna teakowego, który wypłynął z Jawy i pewnego wieczoru natrafił na dziwny fioletowy obłok. Obłok stawał się coraz większy, aż w końcu przesłonił cały horyzont. Wiatr raptem ustał i po niedługim czasie rozpętała się burza. Pokład statku przełamał się w pół, a katastrofę przeżyły tylko dwie

osoby:

narrator i tajemniczy Szwed. Przez sześć dni byli zdani na łaskę i niełaskę rozszalałego morza, aż potężna fala rzuciła ich w pobliże olbrzymiego czarnego okrętu, na który udało

im

się wdrapać resztką sił. Załoga statku składała się z bezkrwistych szarych ludzi, którzy nie chcieli rozmawiać ani jeść posiłków z rozbitkami. Wyglądali, jakby od dawna byli

martwi,

lecz wciąż powtarzali te same gesty i ruchy co za życia. Dokąd zmierzał wielki statek

widmo,

tego rozbitkowie nigdy się nie dowiedzieli. Jeden z nich wziął pędzel, umoczył go w

smole i

na żaglu tajemniczego okrętu napisał słowo „Odkrycie”. I płynęli tak w milczeniu, aż

wkrótce

pojawiły się lodowce Antarktydy i w pewnym momencie otworzyła się pod nimi przepaść

bez

dna, wir wodny, który ich wciągnął...

- A jednym śladem, jaki pozostał po tej wyprawie, jest ta opowieść - zakończył

Murray lodowatym głosem. - Kartkę, na której ją spisano, włożono do butelki i wrzucono

do

wody na chwilę przed tym, jak statek zniknął w odmętach morza.

Zapanowała cisza. Nikt nie pracował.

Pierwszy doszedł do siebie Connor.

- Wiesz co, Murray? Shane ma rację. Jesteś naprawdę niezły w opowiadaniu strasznych historii.

- Wow - odezwał się jeden z braci Bradych, potrząsając ramionami, jakby chciał z nich zrzucić kostki lodu.

- Ale akcja - powiedział drugi, jeszcze bardziej poruszony. - I jak się kończy?

- To jest koniec, Brady - odparł Shane.

Poprosili go, by opowiedział coś więcej, ale Murray odmówił, a oni nie nalegali.

Pracowali przy statku jeszcze prawie przez godzinę, po czym powoli rozeszli się do

swoich

domów.

Wszyscy, z wyjątkiem Shane'a, który zasiedział się przy sprzętaniu narzędzi i dopiero gdy skończył, zdał sobie sprawę, że został sam na sam ze statkiem.

Metis kołysała się przed nim delikatnie. Milcząca i groźna. Shane utkwiał w niej wzrok, a ręce mu się trzęsły. Sprawdził, czy na ścieżce już nikogo nie ma, i usiłował znaleźć w sobie odwagę, by zbliżyć się do sznurowej drabinki prowadzącej na pokład. Nie wiedział, skąd się bierze cały ten strach. Może to tylko dlatego, że został sam i nie było nikogo, kto by mu powiedział, co robić: nie był do tego przyzwyczajony. Shane był przekonany, że nie jest w stanie samodzielnie podejmować decyzji. Z tego też powodu zawsze wolał zapytać Murraya czy Connora, jak postępować. Oni to dopiero potrafili dowodzić. Słońce zachodziło za horyzont i barwiło nisko wiszące chmury na złowieszczo ciemne indygo. Shane wziął głęboki oddech i położył stopę na drabince. Miał wrażenie, że Metis zaczęła coś szeptać. Ale to musiał być wiatr. Albo nawoływanie jakiegoś ptaka na bagnach.

Powoli wszedł na pokład. I gdy tylko tam dotarł, zdało mu się, że szept przybrał na sile. Brzmiał jak kłębowisko wielu splątanych ze sobą głosów, napinanych i luzowanych niczym wanty podtrzymujące maszt. Odruchowo podszedł do grotmasztu i poszukał miejsca, w którym był pęknięty. Przyłożył do niego rękę i przesunął palcem po ostrym brzegu. Skaleczył się. Na pokład spadło parę kropli krwi. Shane nie zareagował, jakby tego nie zauważył. Spojrzał w niebo przez gałęzie drzew i czubki trzciny podobne do grotów włóczni i poczuł niesamowity chłód przenikający do szpiku kości. Lodowaty. Potknął się. Niebo nad laguną stało się fioletowe jak w noweli Edgara Allana Poe'go. Odwrócił się gwałtownie. Zobaczył cień, który kręcił się po pokładzie i chyba zniknął w kajucie kapitana. Pomyślał o szarej, niemej załodze podążającej w nieznanym kierunku. O bezkresnym morzu, które otwierało przed nią swoje podwoje. Rozdartym żaglu postrzępionym przez wiatr. Pomyślał o burzy, falach zmywających pokład, piorunach uderzających w wodę. Na początku był przerażony, ale później, stopniowo i nie bez wysiłku, zaczął sobie wyobrażać, że stoi za sterem statku. On, Shane. Za sterem. I w tym momencie odkrył, że to wszystko przestało go przerażać. Myślał o rozwścieczonym morzu z uśmiechem na twarzy. Nie pamiętał nawet, żeby się ruszył, a już trzymał w rękach prawdziwy ster Metis i wyobrażał sobie, że morze się uspokaja na jego oczach. Zobaczył, jak szare cienie na pokładzie rozplływają się w świetle zachodzącego słońca, a podszepty strachu rozbiegają się niczym małe gryzonie. Shane zaczął się śmiać i śmiał się głośno, sam do siebie, na pokładzie statku stojącego w lesie. Potem zszedł po drabince, chwycił pędzel ze smołą i popatrzył na fragment wielokolorowego żagla, który Connor i Murray naciągnęli na ramę.

Jego serce mocno biło.
Nie „Odkrycie”. To nie było właściwe słowo na żagiel ich statku.
Właściwym była „Odwaga”.

ROZDZIAŁ 17

BIBLIOTEKA LICZB

O TYM, ŻE CZĘSTO POTRZEBA CAŁEGO RZĘDU KSIĄŻEK. ABY
ZROZUMIEĆ, JAK UŁOŻYĆ PARĘ LICZB
EDALUS PRESS

PrintingMachine. Press. Type, Material, and Roller Manufacturers.

Mina wybrała najbardziej odosobniony stolik w bibliotece. Siedziała tyłem do okna, z którego na jej plecy padało światło popołudnia. Było tak mocne, że nie mogła odczytać

liter

na stronach i miała wrażenie, że przewraca puste kartki.

Czuła się dobrze w tym miejscu. Trochę jak w ulu.

Wokół panowała pracowita cisza, przerywana jedynie odległym kasłaniem, skrzypieniem drzwi czy głosem dziecka wołającego mamę w sali z książkami dla

maluchów.

Od czasu do czasu przeszedł jakiś chłopak ze spuszczoną głową, przytłoczony ciężarem

stosu

książek, których nie wybrał sam, czy inny oryginał uzbrojony w karteczkę z zapisanym tytułem, nazwiskiem autora albo numerem regału i krążący po czytelnicy jak myśliwy po Puszczy Lakandońskiej.

Mina siedziała w swoim przybytku światła, muskana i ogrzewana przez promienie słońca, a tymczasem ze stolika spoglądała na nią wyzywająco kostka Huxleya.

W odróżnieniu od poprzedniej ta nie miała białych i czarnych guziczków z masy perłowej w rogach każdego kwadracika. Nowa kostka nie była tak zwarta jak poprzednia i przypominała słynną kostkę Rubika, którą Mina nauczyła się układać w niecałe pięć

minut.

Jednak w przeciwieństwie do kostki Rubika, w której można było dowolnie przemieszczać wszystkie rzędy tworzących ją kolorowych klocków, w kostce leżącej

przed

Miną można było obracać jedynie klocki położone na krawędziach każdej ściany.

Środkowe

pole pozostawało nieruchome i na wszystkich sześciu ścianach widniała ta sama liczba: 5. Reszta pól była oznaczona cyframi od 1 do 9.

Po jakimś czasie Mina przestała przekręcać ściany z numerami metodą na chybił trafił i przepisała do zeszytu uzyskaną kombinację liczb.

678

957

478

276232616272

951951959151

838234834834

476

95I

436

Rezultat nie był zbyt zachęcający: gdy patrzyła na wszystkie te rzędy liczb, nic jej nie przychodziło do głowy. Zauważyła, że niektóre ciągi się powtarzają, jak to 95I 95I

pośrodku,

które potem zmieniało się w 959 i I5I. Ale ogólnie rzecz biorąc, nie wiedziała, co z tym fantem począć. Jedynym stałym elementem, nad którym wciąż się zastanawiała, było to centralne 5. Próbowwała tak obracać pola, by liczby ułożyły się w porządku rosnącym, od I

do

9, ale zdała sobie sprawę, że nie można zrobić tego samego jednocześnie ze wszystkimi ścianami. I podobnie nie można ich było ułożyć od 9 do I.

Z pewną trudnością udało jej się ustawić trzy jednakowe liczby w tej samej linii, ale znowu zorientowała się, że to, co występuje na jednej ścianie, nie powtarza się na pozostałych.

Krótko mówiąc, kostka okazała się bezładnym zbiorem liczb i może jedynym sposobem na jej otwarcie było poznanie właściwej kombinacji. A liczba możliwych kombinacji była zbyt duża, żeby porywać się na wypróbowanie ich wszystkich.

A jednak Mina nie odpuszczała. Była przekonana, że zachodzi jakiś związek między tą kostką a dziennikiem zostawionym u profesora Galippiego, ale nie wiedziała, czy

najpierw

powinni przetłumaczyć dziennik, żeby rozwiązać tajemnicę kostki, czy na odwrót. Na wszelki

wypadek codziennie robiła podejście do kostki i podczas gdy reszta szła na lagunę naprawiać

statek, ona spędzała popołudnia w bibliotece.

Wybrała to miejsce z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chciała, żeby reszta zadawała jej pytania. Drugi wynikał trochę z przesądów czy myślenia magicznego: ojciec

powiedział

jej kiedyś, że opis wszystkich problemów świata i ich rozwiązań znajduje się w książkach.

Odnosił się co prawda do instrukcji obsługi komputerów, których jego zdaniem nikt wystarczająco nie zgłębia, ale Mina zinterpretowała to jako maksimum życiową. Uznała

więc

za całkiem naturalne, że miejska biblioteka jest najlepszym miejscem, by szukać

rozwiązania

tego szczywanego ustrojstwa.

Na razie nie szło jej za dobrze. Lecz ona potrafiła być cierpliwa. Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

Spędziła znaczną część popołudnia na ponawianiu prób, ciesząc się z okazji do samotnych rozmyślań. I dokładnie pod koniec dnia, jak grom z jasnego nieba, spadło na

nią

rozwiązanie, dzięki jednemu z pracowników biblioteki, który chodził po salach,

uprzedzając

czytelników, że niedługo zamykają. Mina była skupiona na ciągu liczb znajdujących się pośrodku kostki, 95I 95I, i właśnie gdy je odczytywała, przesuwając czubkiem ołówka od jednej strony do drugiej, pracownik biblioteki podszedł do niej ukradkiem i ściszone

głosem

powiedział:

- Przepraszam, ale za piętnaście minut zamykamy.

Mina podniosła wzrok znad kartek gęsto zapisanych liczbami i wbiła go w twarz chłopaka z kręconymi włosami. To było jak objawienie. I przez chwilę wydawało się jej,

że w

długim nosie chłopaka dostrzeża słoniową trąbę obdarzającego mądrością boga Ganeśi.

- Piętnaście... minut - powtórzyła jak urzeczona.

- Dokładnie tak - odparł on, lekko zakłopotany. - Piętnaście.

- Dziewięć plus pięć, plus jeden daje piętnaście... - wymamrotała Mina.

I nie udzielając żadnych wyjaśnień osłupiałemu chłopakowi, ponownie przyjrzała się ciągowi liczb na kostce.

95I 95I 959 I5I

Obróciła ścianę z ostatnim I i ciąg przeszedł w:

I5I 95I 959 I59

Potem obróciła drugie I.

I59 I5I 959 I59

A teraz trzecie.

I59 I59 I59 I59

Mina odłożyła kostkę na stół. Wykonując tylko trzy ruchy, otrzymała szeregi liczb tworzące piętnastki.

Drżała.

Piętnaście. Piętnaście. Piętnaście. Piętnaście.

- Wszystko dobrze? - zapytał pracownik biblioteki, który wciąż tam stał.

- Tak, oczywiście! - odpowiedziała, nie odrywając oczu od kostki. - To znaczy nie, wcale nie jest dobrze! To 7 powinno wejść w miejsce 3. A to 6 można zamienić na 2!

Jej ręce coraz szybciej się poruszały, a klocki obracały.

Cztery. Dwa. Sześć. Siedem. Osiem. Cztery.

Ciągi powtarzały się coraz częściej.

Dwa. Siedem. Sześć. Dziewięć. Pięć. Jeden. Dwa. Siedem. Sześć. Dziewięć. Pięć...

Mina zaczęła przekręcać liczby tak, aby ich suma w poziomie wynosiła zawsze piętnaście, i stopniowo zorientowała się, że może zrobić jeszcze lepiej: może ułożyć je

tak,

żeby suma trzech liczb na każdej ścianie kostki była równa piętnaście w poziomie,

piętnaście

w pionie i piętnaście po przekątnej.

Magiczne liczby.

Magiczne kwadraty.

A to, co trzymała w rękach, było magiczną kostką.

Ogarnięta gorączkowym entuzjazmem, Mina przekręcała pola, aż na wszystkich sześciu ścianach ułożyła liczby w ten sposób:

276

95I

438

276276276276

95I95I95I95I

438438438438

276

95I

438

I kostka Huxleya po raz drugi się otworzyła.

ROZDZIAŁ 18

OTWARCIE TARGU

W KTÓRYM ODKRYWAMY,

ŻE WIADOMOŚĆ W BUTELCE MOŻNA CZASEM WYŚLAĆ I BEZ BUTELKI

VEDALUS PRESS

PrintingMachine, Press, Type, Material, and Roller Manufacturers.

Tędy, szybko! - krzyknął Murray ze swojego roweru. Wyszli właśnie z Miną ze szkoły i przejeżdżali koło hali targowej.

Murray skręcił do środka, lecz tym razem Mina nie ruszyła za nim. Chłopak dostrzegł kątem oka, że jego przyjaciółka, zamiast zapuścić się wraz z nim w główną alejkę

ciągnącą

się między stoiskami, wybrała tę samą trasę co zwykle.

Zahamował. I hamując, poczuł klucie w brzuchu. Żal, rozczarowanie. Ale nie wiedział, czy nią, czy sobą. Zacisnął dłonie na kierownicy i syknął przez zęby:

- Idiota.

Obiecał jej przecież, że już nigdy nie pojedą tym niebezpiecznym skrótem. Ale był tak podekscytowany wiadomością, że udało jej się otworzyć nową kostkę, i tym, co znalazła

w

środku, że nie zamierzał tracić ani minuty więcej: chciał jak najszybciej dotrzeć na Itakę i przekonać się na własne oczy.

Zniecierpliwiony całym tym oczekiwaniem, zaczął znowu pedałowac z wściekłością, która nie była w jego stylu. Złościł się bardziej na siebie niż na kogokolwiek innego, ale

to

niewiele pomagało.

- Ej!

- Uważaj!

- Patrz, jak pędzi!

- Paddy o tym wie?

Wokół słyhać było okrzyki handlarzy, którzy jak zwykle mu kibicowali podczas takiego rajdu.

Otwarcie targu

Murray wymijał przechodniów z tą samą co zawsze czujnością - panie z pieskami, pusty dziecięcy wózek, parę turystów - w szalonym tańcu rzucając wyzwanie zasadom.

Ale tym razem nie wyminął policjanta.

Nie widział nawet, jak ten się zbliża, kompletnie się go nie spodziewał: stał przyczajony za jednym z ostatnich straganów. Nie musiał gwizdać. Podniósł rękę i

Murray się

zatrzymał.

A to coś, co wcześniej ukuło go w brzuchu, zamieniło się w głaz, który przygwoździł

go do ziemi.

- Ogromnie mi przykro, proszę pana... - wymamrotał, strapiony.

Mężczyzna w mundurze dał mu znak, żeby zsiadł z roweru, a Murray go posłuchał, potulny jak baranek.

- Chciałem się tylko trochę pobawić, proszę pana... Przepraszam... Zachowałem się nierozważnie, ale... - Wyrzucał z siebie słowa i zdania coraz szybciej i z coraz większą lekkością. - Wiem, co robię... dobrze jeżdżę rowerem... i nigdy nic złego się nie stało...

- Lepiej już nic nie mów, chłopcze - poradził mu policjant. Wyciągnął notes, długi groźny długopis i poprosił go o imię, nazwisko i adres.

- Bardzo pana proszę, już nigdy więcej tego nie zrobię... Obiecuję, tylko... niech mi pan nie wypisuje mandatu... niech mi pan nie zabiera roweru...

Policjant nie przestawał pisać. Po chwili podszedł do niego stary rybak ze stoiska z rybami. Wyglądało na to, że jest mu naprawdę przykro, tak jakby jego drużyna została pokonana w ostatniej sekundzie meczu.

- Proszę go puścić - powiedział. - To dobry chłopak.

- Pewnie, że go puszczę... - odparł policjant, nie przestając pisać.

Miał na sobie znoszone buty z wysoką cholewką i mundur poprzecierany na łokciach.

Gdy Murray to zauważył, poczuł się jeszcze gorzej. Obydwoj byli biedakami. A biedacy

są

najbardziej nieprzejednani w ocenie błędów innych biedaków.

Policjant wyrwał kartkę i położył rękę na kierownicy roweru.

- To zabieram ze sobą do depozytu - powiedział bez satysfakcji czy złości - gdzie zostanie przez miesiąc.

- Aj - skomentował stary rybak.

- Będziesz mógł go odebrać tego dnia... - dokończył policjant, pokazując Murrayowi na kartce datę, która wydawała się strasznie odległa. - A w tym czasie trochę się

zastanowisz

nad tym, jak bezpiecznie jeździć.

- Tak jest, proszę pana... - bąknął Murray, przyjmując kartkę. Złożył ją i schował do kieszeni, nawet nie czytając, a potem bez słowa patrzył, jak jego rower odjeżdża.

- Może dałoby się go przekonać - wymamrotał rybak. - Gdybyś się tylko trochę bardziej uparł.

Murray nie zamierzał się upierać. Zarzucił plecak na ramię i ruszył pieszo do wyjścia hali. Kiedy podniósł wzrok, zauważył Minę, która mu się przyglądała. Najwyraźniej Otwarcie targuprzyjechała tu z powrotem normalną trasą i dotarła akurat tak, by zobaczyć całą tę scenę. Na jej twarzy nie było śladu wyrzutów, tylko ogromne

rozczarowanie.

- Przepraszam! - zawołał Murray. Chciał do niej podbiec, ale ona zawróciła rower i szybko się oddaliła.

W kostce otwartej przez Minę były kolejna karteczka i kolejna kostka, podobna do zwyczajnej kostki do gry, tyle że trochę większa.

- Nie mam jeszcze bladego pojęcia, jak ją otworzyć... i czy w ogóle się da - wyjaśniła Mina na Itace. - Bo nie ma nic, co by się ruszało lub co można by nacisnąć.

- Ale wydaje się pusta... - zauważył Connor, potrząsając nią koło ucha.

- Ja nic nie słyszę - powiedział jeden z braci Bradych.

- Logiczne! Przecież twój mózg też wydaje się pusty! - przypomniał mu drugi.

- W takim razie mógłbyś jeździć na rowerze z Murrayem... - zażartowała złośliwie

Mina.

Chłopak nie zareagował. Dopiero co dotarł na łódź, po tym jak pokonał całą trasę biegiem, i siedział zadyszany w kącie.

Na kartce, którą znaleźli w drugiej kostce, było napisane:

Na tej wyspie nie ma nikogo takiego jak ja. Jestem sam. Jestem inny niż cała reszta.

Jestem jedynym, który zrozumiał, że wszystkie zasady są złe, że świat wymyślony przez dorosłych nie jest rzeczywisty. Nie wierzę w nic, co mówią.

Oni nie wiedzą, co robią. Ja wiem, ale mnie nie słuchają. Nienawidzę ich. Sam wyjadę. Nie mogą mi przeszkodzić. Już nie. Statek po mnie przyplynał. Wyruszę do

Kilmore

Cove, jedynego miejsca, w którym wreszcie będę mógł być sobą. Gdzie będę ważny i

gdzie

będą mnie słuchać. To, co będę robił, będę robił dlatego, że chcę. Nikt nie będzie mi

mówił,

kiedy wstawać, a kiedy spać, co jeść i ile się uczyć. Nie będą mogli zabierać skarbów z mojego pokoju. Nie będą już mogli lekceważyć tego, co myślę. Jestem gotowy. Pójdę na statek i już się nie cofnę. Wiedziałem, że przybędzie. Tyle czasu go szukałem. Wzywałem

go

każdej nocy z nadzieją, że zjawi się za moim oknem. I w końcu przybył. Jego cień na

morzu

jest tak daleko, a jednak blisko. Jak wszystkie cienie. Wiedziałem. Wierzyłem. I stało się. Nauczyłem się tego od Ulyssesa Moore'a: wiedzieć, wierzyć, tworzyć. Bo on jest taki jak

ja.

Jest sam i mnie potrzebuje. Tak. Statek marzeń po mnie przyplynał, a ja wyciągnę do

niego

rękę. Nie obejrzę się za siebie na pożegnanie, bo nie mam z kim się żegnać. Nic ze sobą

nie

zabiorę, bo nic nie jest rzeczywiste. Poza jego książką. Jego książka jest rzeczywista, to,

co

pisze, jest rzeczywiste. On mnie pozna, gdy go spotkam. Wiem, co się wydarzy. Zawsze

na to

czekałem. A teraz to jest tu.

- No - skomentował Connor - co tu dużo mówić? Ten gość ma naprawdę nierówno pod sufitem.

- Pisze, że statek po niego przyplynał... - powiedział Murray, poruszony tym fragmentem.

- Ale to ten sam statek? - spytał jeden z braci Bradych.

- Ależ nie, spokojnie! Na pewno inny, no nie? - zawołał drugi, uderzając go ręką. -

Przecież są dziesiątki magicznych statków, które przyplývają po ciebie do domu!

Mina uciszyła ich jednym gestem. Czy ta dwójka zawsze musiała robić taki harmider?

- Larry doskonale zdawał sobie sprawę z istnienia statku, Kilmore Cove i Ulyssesa Moore'a... - stwierdził spokojnie Shane.

- Musiał czytać jego książki - powiedziała Mina. - Szukałam ich w bibliotece, ale nie było.

- Moglibyśmy zamówić je przez Internet - zaproponował pierwszy z braci Bradych.

- Ale kto zapłaci? - zastanawiał się drugi. - Dwanaście książek kosztuje więcej niż trzy gry komputerowe!

Connor prychnął.

- To wiadomość od chłopca, któremu moim zdaniem... trochę się pomieszało w głowie.

- Te zdania na początku... - zauważył Murray. - Że jest sam, że wszystko jest nieprawdziwe i że zasady są złe...

- Jeśli o to chodzi, to nie tylko on tak myśli... - docięła mu Mina.

Murray zamilkł.

- Wszystko nieprawdziwe... czy wszystko prawdziwe? - zamyślił się Connor.

- Jego numer telefonu jest prawdziwy - odezwał się Shane.

Connor spojrział na niego z powątpiewaniem.

- I jego mama jest prawdziwa, i fakt, że zniknął z domu... - ciągnął Shane.

- Wsiadł na statek - powiedział cicho Murray. - Wsiadł i odpłynął.

- I już nie wrócił - dodała Mina.

- Myślicie, że nas ostrzega? - zapytał Connor, z grymasem na twarzy. - Mówi nam, że ten statek jest niebezpieczny? Że jest zły? Że porywa dzieci i zabiera je daleko?

- Według mnie mówi coś zupełnie przeciwnego - zaproponował Murray.

- Nie jest zły - potwierdziła Mina.

- Zgadzam się - dołączył do nich Shane.

Bracia Brady otworzyli szeroko usta i po sekundzie je zamknęli.

- Larry mówi, że czuje się inny niż wszyscy... i że nikt go nie rozumie - wyjaśnił

Murray. - I że on tak przez to cierpi, że postanawia odejść. Pisze o tym tutaj: wyruszy do Kilmore Cove, miejsca, w którym wreszcie będzie mógł być sobą. Gdzie będą go słuchać

i

gdzie będzie robił, co chce. Gdzie nikt mu nie będzie mówił, kiedy wstawać, a kiedy spać,

co

jeść i ile się uczyć...

- Wow - odezwał się jeden z braci Bradych.

- A dlaczego my też tam nie pojedziemy? - powiedział drugi.

- Bo nie istnieje żadne Kilmore Cove! - odparł Connor. - Nie ma go na mapach: sprawdzałem. Wszelkie wzmianki

Otwarcie targu o Kilmore Cove odnoszą się zawsze i wyłącznie do ksiązek tego... pana!

- Ulyssesa Moore'a - powiedział ktoś na Itace.

- Jego książka jest rzeczywista, to, co pisze, jest rzeczywiste - przeczytała Mina z kartki.

- I co z tego? - wybuchnął Connor, dziwnie podenerwowany. - To tylko wiadomość od jakiegoś zaginionego chłopca, który pisze, że chce uciec z domu i ruszyć do

nieistniejącego

miasteczka na pokładzie...

Jego głos stracił na sile.

- Statku, do którego ty właśnie robisz żagle - dokończył za niego Shane.

- I który my wszyscy naprawiamy, żeby wyprowadzić go z laguny - dodał Murray. -

Stał tam, unieruchomiony, sponiewierany, ale... jest rzeczywisty, Connor. A wiadomość

od

Larry'ego była na statku.

- Tylko że my go nie wzywaliśmy - powiedziała szeptem Mina.

Spojrzeli na nią.

- Larry pisze, że wzywał go całymi nocami... i że w końcu się zjawił. - Dziewczynka wrzuciła ramionami, po czym poszła wziąć z lodówki coś do picia.

- Świetny pomysł! - wykrzyknął jeden z braci Bradych.

- Tak! Mi też przynieś! - poparł go drugi.

- A może właśnie go wzywaliśmy - odezwał się Murray. - Nawet o tym nie wiedząc.

- A niby w jakim celu? - zapytał go Connor.

W tym momencie jednak usłyszeli dzwonek roweru i wołający ich głos:

- OO! Dzieciaki! Dzieciakaaaki! Jesteście w środku? Jesteście tam? - A potem ciszej: - Taa, pewnie, że ich nie ma, ty zakuty łbie. Widziałeś, jaki ogródek sobie zrobili?

Murray i Mina odruchowo wymienili porozumiewawcze spojrzenia, tak jak mieli w zwyczaju, zanim nastąpiło to feralne popołudnie.

- To profesor Galippi! - wykrzyknęli, wychodząc na pokład.

- Jaki profesor? - spytał pierwszy z braci Bradych, zaniepokojony.

- Odrobiłeś wszystkie zadania, braciszku? - odparował drugi.

ROZDZIAŁ 19

TŁUMACZENIE

O TYM, ŻE JAK SIĘ PISZE DZIENNIK PODRÓŻY

W TRZECH JĘZYKACH, TO POTRZEBA TRZECH RÓŻNYCH TŁUMACZY, ŻEBY GO ZROZUMIEĆ, I SPORO ODWAGI, ŻEBY WYRUSZYĆ W DROGĘ PrintingMachlre, Press. Type, Materiał, and Roller Mannfactu?ers.

Chciałbym wam zadać tylko jedno pytanie: gdzie, do licha, znaleźliście ten dziennik? Dzieciaki siedziały na poduszkach i na starej, zapadniętej kanapie, natomiast profesor Galippi ulokował się przy komputerach.

- A drugie to: czy podpalasz połowę lasów Amazonii, za każdym razem jak włączasz te wszystkie monitory, chłopcze? Wiesz, fakt, że zrobiłeś sobie ogródek na dachu, nie

daje ci

jeszcze prawa, żeby zużywać tyle prądu co średniej wielkości miasteczko. I do czego ci

trzy

komputery? Masz problemy z liczeniem? - Potem wymamrotał: - Ale nieważne,

nieważne.

Nie o tym chciałem z wami rozmawiać. Lecz o tym! - wykrzyknął, kładąc przed sobą dziennik Ulyssesa Moore'a.

- Udało się panu coś z tego zrozumieć, profes... chciałem powiedzieć, panie Galippi? - zapytał Murray.

- Wiesz co...

- Murray.

- Wiesz co, Murray? Może już lepiej mów mi „profesorze”, bo „pan Galippi” brzmi jak nazwa płynu do podłóg. Albo jeszcze lepiej: mów mi „Tony”, i nie wracajmy już do

tego.

Connor się roześmiał. Spodobał mu się ten chudy, nieco przygarbiony człowieczek ubrany gdzieś trochę jak hydraulik, a trochę jak rybak.

- W każdym razie tak, udało mi się zrozumieć. I właśnie z powodu tego, co udało mi się zrozumieć, przyszedłem was zapytać, gdzie to znaleźliście.

Dzieciakom wydało się całkiem naturalne, żeby o wszystkim mu opowiedzieć, także o ukrytych wiadomościach i kostkach włożonych jedna w drugą.

- Dokładnie tak, jak myślałem... - mruknął.

- Co jest w tym dzienniku, panie profesorze? - zapytał go Connor.

- To utwór fantastyczny napisany przez niesłychanego erudyte... - odpowiedział z pewną egzaltacją Tony Galippi. - Operującego różnymi gatunkami fantastyki jak mało który ze znanych mi autorów... - I zaraz dodał, zniżając głos: - Nie to, żebym znał ich wszystkich, bo bardziej niż czytać dzieła innych, wolę je sobie na nowo pisać... ALE! - wrócił do tematu - ten wielojęzyczny dziennik opowiada historię grupki dzieciaków, które mogłyby być w waszym wieku i które mieszkają w cudownym miasteczku w Kornwalii, w tym Kilmore Cove, wspomnianym również w waszych wiadomościach. Miasteczko to kryje pewną niesamowitą tajemnicę, a oni robią wszystko, żeby nie zdradzić jej dorosłym. Tajemnica ta dotyczy grupy niezwykłych wejść, zwanych Wrotami Czasu... Choć właściwie nie mają nic wspólnego z czasem. Mówi o ich konstruktorach i o tym, dlaczego zbudowali je w starożytności, a także o pierwszych i niepowtarzalnych Wrotach Czasu, które znajdują się w najstarszej ścianie pewnej willi na urwisku. A w urwisku ukryty jest... STATEK! Oczywiście.

Ten sam, o którym mi dopiero co opowiadaliście.

- W urwisku? Jak to możliwe? - zapytał jednym tchem Murray.

- Nie wszystko naraz, chłopcze. Nie wszystko naraz! Najpierw miasteczko: Kilmore Cove. Wdzięczna i urocza miejscina, gdzie wszyscy mieszkańcy strzegą nieprawdopodobnej tajemnicy: Wrót, które prowadzą do miejsc odległych w czasie i przestrzeni. Miejsc wywodzących się z kolejnych mitów i legend... miejsc istniejących tylko w wyobraźni.

Same Wrota natomiast miałyby być rzeczywiste, jak ja i wy. I opowiadając o tym, jak przekracza je jedno po drugim, autor nagle okazuje się człowiekiem wykształconym i czytającym i cytującym mity o Eldorado i Thule, Atlantydzie i Ogrodzie Księdza Jana, tak jakby sam je osobiście odwiedził... - I tu Galippi skomentował ciszej: - A to, oczywiście, niemożliwe, bo te miejsca nie istnieją! - Profesor obrócił notatnik w rękach, niezdecydowany, po czym wrócił do wyводу: - W niektórych fragmentach wspomina o spizowym mieście z Księgi tysiąca i jednej nocy (z pięćset pięćdziesiątej szóstej opowieści), jakby wpadł tam na herbatkę. I sposób, w jaki opisuje te wszystkie miejsca, jest niesamowicie...

- Realny - dokończyła za niego Mina.

- Dokładnie - zgodził się profesor tubalnym głosem. - Żywy, realny, jakby były na wyciągnięcie ręki. Ale to, jak wiadomo, umiejętność każdego dobrego powieściopisarza. Opowiadać o tym, co nie istnieje, tak, jakby naprawdę istniało. - I od razu dodał ciszej: -

Nie

tak jak autor Beowulf a, który sam nie wierzy w to, co pisze!
Mina zaśmiała się, rozbawiona, i pomyślała, że wspaniale byłoby mieć takiego nauczyciela w szkole. Gdy się do
Tłumaczenie czegoś zapalał, to tak jakby zabierał cię ze sobą do swojej opowieści.
- Autor dziennika pisze, jak stopniowo odkrył te wszystkie cuda i że dokonał tego dzięki paru przyjaciółom z miasteczka... - wrócił do tematu Galippi. - I gdy wreszcie
udaje
się
mu się otworzyć Wrota Czasu znajdujące się w jego domu, w willi na urwisku, pojawiają
się
kolejne cuda: podziemne korytarze, które zagłębiają się w skałach, a tam, jak już
mówiłem, w
morskiej grocie chroniącej przed niepożądanymi spojrzeniami...
- Jest Metis - szepnęła Mina.
- Statek! - wykrzyknął Tony Galippi. - Bardzo stary, wyrzeźbiony w drewnie dębów z
Hellespontu, tym samym, z którego zbudowano dużo bardziej znany statek: Argo,
mówiący
ludzkim głosem okręt Argonautów... I nie przypadkiem willa na urwisku, w której
mieszka
teraz Ulysses Moore, nazywa się tak samo: Willa Argo...
Oczy Galippiego były duże i szeroko otwarte, a dzieciaki absolutnie zachwycone.
- Cudowny statek Metis! - ciągnął swą opowieść profesor. - Statek, który jest podobno
w stanie pływać sam, jedyny, który potrafi podążać za tajemniczym prądem morskim,
zwanym przez autora... Błękitem.
- Błękitem? - spytał Connor.
- Błękitem, dokładnie! - zagrzmiał profesor Galippi. - Metis rozpoznaje go i rusza jego
śladem, zawijając do miejsc, gdzie inne statki nie mogą dotrzeć: Portów Marzeń, które
zniknęły z normalnych map, by bronić swego istnienia, Zaczarowanych Tawern i
Mrocznych
Portów, gdzie marzenia i fantazje stają się straszne i groźne. Do wszystkich prowadzi ten
prąd
i są ze sobą połączone, wodą lub wyobraźnią żeglarzy. Lecz bez statku takiego jak Metis i
bez
Wrót Czasu z Kilmore Cove pozostają nieosiągalne. Istnieją jedynie na stronach książek.
Ulysses Moore przestrzega: podróż do Miejsc z Wyobraźni to nie jest łatwa podróż.
Trzeba...
trzeba... - I tu profesor Galippi nabrał tchu, szukając pewnej strony w dzienniku, po czym
przeczytał z przejęciem: - Trzeba mieć za mapę księgę prawdziwej wyobraźni oraz
odważnego kapitana za sterem. A żeby nie zabrakło mu odwagi, powinny z nim popłynąć
przynajmniej dwie inne osoby. Tylko w ten sposób Metis wyruszy w morze bez obaw,
wezwie na pomoc Wiatr Wyobraźni, by dmuchał w jego żagle, a jego kil poniesie prąd
zwany
Błękitem... pośród wielkiego morza, które wszystko dzieli. Aż w końcu... w końcu... -
Profesor niespodzianie przerwał deklamację i zastygł w bezruchu, stojąc pośrodku pokoju
z
rozłożonymi rękami. Potem lekko się uśmiechnął do swojej widowni i opuścił ręce - W
końcu... część dziennika, którą udało mi się przetłumaczyć, urywa się. Ni z tego, ni z
owego.

Wasz autor popada w melancholię, tak jakby jego miasteczko i statek spotkało jakieś nieodwracalne nieszczęście. Jakby wszystko uległo zniszczeniu. Pospiesznie kończy swoje notatki. Wyobraźnia się wyczerpuje, światła przygasają, fale się uspokajają i... wszystko to szybko znika między stronicami. I zamienia się w literaturę. Pozwólcie zatem, że zamilknę.

Dziękuję wam, że podzieliliście się ze mną tą opowieścią.

Na Itace zapadła długa cisza.

Mina poczuła, że oczy jej się zaszkliły, a i braciom Bradym odebrało głos.

Murray pociągnął nosem.

- Ale to nie jest opowieść, profesorze - powiedział. - To nie literatura, jak pan mówi.

- To naprawdę się wydarzyło - dodała Mina od siebie.

- ACH! Dziecięca fantazja! Co za fenomen!

- Nie, profesorze - powiedział cicho Murray. - My wierzymy, że to naprawdę się wydarzyło.

- Wierzymy w to - potwierdziła Mina.

- Tak jak wcześniej Larry - powiedział Connor.

- On wyjechał - powiedział Shane.

- I my też moglibyśmy wyjechać - ciągnął Murray.

- I może zawieźć go z powrotem do domu - dodała Mina.

- Jeśli tak dalej pójdzie, to możecie i mnie zaprosić, żebym wyruszył z wami - zażartował profesor Galippi.

- Ja uważam, że powinniśmy, profesorze - szepnął Murray. - I uważam, że przytrafiło się nam coś wyjątkowego. Metis jest tu niedaleko. Chce wypłynąć. Niezależnie od tego,

czy

to wszystko, co jest napisane w dzienniku, i to, co nasz nieznany przyjaciel ukrył w tej

kostce

pełnej tajemnic, niezależnie od tego, czy to prawda, czy nie... chyba nie powinniśmy przepuścić takiej okazji. Kilmore Cove? Nie ma go na mapach, ale może... Błękit... Może

nie

będzie tak trudno znaleźć księgę prawdziwej wyobraźni, odważnego kapitana i załogę,

żeby

spróbować, nie uważa pan?

- I dokąd zamierzasz popłynąć, chłopcze? Dokąd? - zapytał stary profesor.

- W Błękit - odpowiedział Murray, wstając. - Aż do Kilmore Cove.

- W moim wieku? W waszym wieku? - zaprotestował Galippi. - Dla mnie już za późno, a dla was za wcześnie...

W tym momencie także Shane podniósł się z poduszek i stanął obok swego nieodłącznego przyjaciela.

- Ja popłynę - powiedział.

- A kto powie o tym waszym rodzicom? I ile, według was, potrwa taka podróż? - nie ustępował profesor.

Wtedy z kolei głos zabrała Mina.

- Moi rodzice nawet się nie zorientują. Niech trwa, ile musi trwać.

- A pan, młody człowieku z ogródkiem? - zapytał profesor Galippi. - Pan, który powinien być najbardziej odpowiedzialny ze wszystkich... co pan na to?

Connor zachichotał nerwowo, ale również on się podniósł.

- Naprawa tego statku kosztuje mnie tyle pracy, że po tym wszystkim ja też miałbym ochotę na odrobinę przygody.

Tylko bracia Brady pozostali na swoich miejscach.

- Przygoda, mówicie? - wymamrotał wtedy profesor Galippi, tak jak zawsze, gdy mówił do siebie. - Jestem starym, biednym emerytem. Robię wszystko sam, włącznie Tłumaczenie z książkami z mojej biblioteki. Problem w tym, że lubię własne towarzystwo. I że prawdę mówiąc, nigdy nie mogłem znieść zbyt pewnych siebie dzieciaków.

- Nigdy nie jest za późno, żeby zmienić zdanie - odpowiedziała ciętą ripostą Mina.

ROZDZIAŁ 20

OSTATNIA MYŚL

Decyzja już zapadła.

Mieli zakończyć naprawę Metis, a później, zamiast płynąć od razu wzdłuż rzeki i cumować koło Itaki, spróbować wyjść w morze na całodniowy rejs.

Tak jakby naprawdę byli grupą nieustraszonych odkrywców. Albo piratów, jak woleli bracia Brady.

Wzięli kalendarz i ustalili idealny termin, niedzielę pod koniec roku szkolnego, licząc na ładną pogodę. Connor oszacował, ile dni będzie potrzebował na ukończenie ożaglowania i zdobycie lin.

Profesor Galippi okazał się bardzo w tym pomocny, gdyż wysłał go do przedpotopowego składu towarów indyjskich, który Mina знаła z nazwy. Connor spędził tam

parę godzin, robiąc porządek z ich komputerami i w zamian wziął sobie ze sto metrów różnej

grubości lin, które jego zdaniem były wystarczające, by podnieść żagle.

Trzeba było skończyć szycie żagla. Powstał patchwork różnokolorowych tkanin, spiętych jednym słowem z czarnej smoły.

„Odwaga”.

Kiedy zaprowadzili go na lagunę, profesor Galippi całkowicie uległ urokowi Metis.

Inaczej było ze sposobem, w jaki próbowali zakamuflować ścieżkę. I również tutaj pomoc profesora okazała się nieoceniona: przyniósł do namiotu Connora znaczną część swoich narzędzi stolarskich i nauczył ich, jak się nimi posługiwać. Metrówka, ołówek, cyrkiel do drewna, poziomica, ośnik, tarnik, hebel, równiak, piła ręczna i wyrzynarka stały się dla

nich w ciągu kilku dni pojęciami bez tajemnic, i w małym polowym warsztacie ruszyło piłowanie,

korowanie i heblowanie. Następnie profesor zajął się kuchnią. Choć nie namawiał ich, by rezygnowali z przekąsek kupowanych w sklepie, to zbudował ognisko polinezyjskie: wyłożony warstwą gładkich kamieni dołek w ziemi, w którym zaczął gotować zupy warzywne i piec mięso. Nie minęło parę dni, jak sklepowe przekąski zniknęły, a praca na lagunie nabrała dla wszystkich dodatkowego smaku.

Dzień wodowania zbliżał się z niesłychaną prędkością, a oni nie pozwalali sobie nawet na chwilę wytchnienia. Udało im się również nikomu innemu nie wyjawić swojej tajemnicy. Ktokolwiek z nich pojawiał się w obozie, mógł liczyć na listę zadań,

zawieszoną

na drzewie i wsuniętą w plastikową koszulkę na wypadek deszczu, na której to liście zapisali

wszystkie prace, jakie były do wykonania. I od razu wiedzieli, co robić.

Metis pozostawała tajemnicza i cierpliwa: przyjmowała ich na swój pokład i poddawała się wszystkim zabiegom. Żagiel stawał się coraz większy i mocniejszy, kadłub nabierał blasku, a długie wiosła sadowiły się w dulkach. Dzięki polowemu palenisku kowalskiemu skonstruowanemu przez profesora Galippiego i kowadłu, które Shane

przyniósł

na plecach z kolei, zdołali wyprofilować trzy precyzyjne żelazne pierścienie i wzmocnić nimi

grotmaszt.

Kajuta kapitana została powiększona, tak żeby pomieścić trzy duże materace wypełnione wełną z odzysku, którą

Galippi wygotował i odkaził na ich oczach. Później doprowadzili do porządku ładownię.

Ładownia Metis miała postać długiego, niskiego, pustego pomieszczenia pełnego dziur. Nimi właśnie Connor zajął się w pierwszej kolejności. Następnie korzystając z umiejętności stolarskich profesora, postawił szereg mocowanych wpustowo przepierzeń i uzyskał w ten sposób kilka spizarenek. Dzięki zastosowaniu pomysłowego układu luster światło dotarło do najciemniejszych nawet zakątków, przez co nie trzeba było używać

świec.

Podczas tych gorączkowych przygotowań i wykonywania niezliczonych prac przy statku każdy z nich odkrył, że ma przynajmniej jeden szczególny powód, dla którego chce odbić od brzegu.

Murray był podekscytowany myślą, że Metis jest naprawdę magicznym statkiem, tak jak to sobie wyobrażał od pierwszego dnia, gdy wezwała go do siebie. I choć nie śmiał oczekiwać, że po wypłynięciu w morze ruszy śladem tajemniczego prądu, w głębi serca

nie

potrafił liczyć na nic innego.

Swym optymizmem i żądzą przygód zaraził także Shane'a, który od kiedy sam wszedł na pokład statku, rozprawiał o zbliżającej się wielkimi krokami podróży niczym stary

wilk

morski.

Pewnego dnia, zauważywszy, że Murray wciąż porusza się po mieście pieszo, wyznał mu, że wie, gdzie znaleźć klucze od magazynu rowerów.

- Tam nigdy nikogo nie ma i nie pamiętają nawet, jakie rowery zarekwirowali. Jak chcesz, któregoś wieczoru możemy iść po twój.

Lecz Murray odpowiedział, że tak jest w porządku. A potem, starając się, by Mina go usłyszała, dodał:

- Popełniłem głupstwo, ale zamierzam zachowywać się, jak należy, aż do ostatniego dnia konfiskaty.

Akurat ostatni dzień przypadał w poniedziałek po wyprawie.

Mina uśmiechała się, za każdym razem gdy słyszała, jak Murray narzeka na brak

roweru, bo wiedziała, że w ten sposób chce ją przeprosić. Na początku wzdrygała się na myśl

o tej wyprawie, bo wyruszenie w morze na pokładzie starego statku z załogą złożoną z dzieciaków i lekko zbzikowanego profesora nie wydało jej się najszcześniejszym pomysłem.

Ale kiedy dziesięć dni przed planowaną podróżą jej tata wrócił do domu z wiadomością, że

mają się wszyscy przygotować do przeprowadzki, bo przyjął propozycję pracy w Pało Alto, w

Kalifornii, Mina pobiegła na lagunę, prosząc swoich przyjaciół, by wyruszyli jak najszybciej.

- Nie później niż w niedzielę! Bo inaczej nie będę mogła popłynąć!

I obawa przed tym, że nie zdołają wszyscy razem udać się w rejs na pokładzie Metis, była tak wielka, że zdwoili wysiłki.

Pięć dni przed wyprawą profesor Galippi stawiał się na lagunie, ciągnąc za sobą wózek wypełniony najróżniejszymi rzeczami: cytrynami, słoikami, trzema pudłami książek, jednym

czerwonym samochodzikiem i jednym niebieskim, zdjęciem żony w ramce i dużą częścią swoich narzędzi.

- Tym razem naprawdę mnie wyeksmitowali - przyznał szczerze. - A w przyszłym tygodniu zburzą blok.

Nic więcej nie dodał i od tej chwili zaczął nocować w lesie koło statku. Murray i Shane pomogli mu zabrać parę innych rzeczy z ogromnego budynku, który zamienił w swą

przyjazną środowisku rezydencję, i tak niektóre z najpiękniejszych mebli profesora, fotele ze

szmat, regały i żyrandol z patyczków do kawy, znalazły swój nowy dom w kajutach Metis.

Jedynie bracia Brady coraz mniej angażowali się w roboty porządkowe na statku. Im bliżej było do dnia wyprawy, tym mniej się zdawali przekonani, że to dobry pomysł. W końcu

zaczęli pojawiać się tak rzadko, że Connor i reszta podzielili się pracą, nie biorąc ich pod uwagę. Nikt się nie zastanawiał, co mogło się wydarzyć ani dlaczego bracia Brady nagle postanowili odpuścić, ale wyglądało na to, że początkowy zapal wywołany nowością całego

przedsięwzięcia szybko zgasł, a ciężka wielodniowa praca, jakiej wymagało, już ich tak nie

bawiła.

- Nie wszystko można dostać za pierwszym podejściem. I bez wysiłku - stwierdził Shane, zamykając temat.

Ostatnie dni minęły w mgnieniu oka.

Connor zdjął cumy Itaki i bardzo ostrożnie i nie bez trudności popłynął nią aż do miejsca, w którym mógł doczepić do niej Metis i zaholować statek na otwarte morze.

Poświęcili dwa dni na szukanie odpowiedniej drogi między mieliznami, ale w końcu przymocowali rufę Itaki do rufy Metis i gdy liny się napięły, do Connora po raz pierwszy dotarło, że naprawdę dadzą radę wyprowadzić stamtąd statek.

Mimo że wciąż był częściowo unieruchomiony na stałym lądzie, profesor Galippi

ochrzcił Metis butelką szampana, która rozbiła się z wielkim hukiem. Wszyscy zaczęli głośno klaskać. Patrzyli na statek, obejmując się ramionami, szczęśliwi jak nigdy w życiu, a Metis pochyliła się lekko w bagnie, jakby chciała im podziękować.

Następnego dnia po szkole pożegnali się po raz ostatni przed wyprawą. Gdy któryś z kolegów zapytał ich, co będą robić tego lata, Mina i Murray odpowiedzieli jednogłośnie:

- Jedziemy nad morze.

A później się rozeszli.

Sypialnia Myny była najmniejsza w całym domu. Ale należała tylko do niej. To ona uparcie nalegała, żeby nie dzielić jej z braćmi, którzy byli dużo od niej starsi i zupełnie nieznośni. Tysiąc razy lepszy był mały własny kąt niż duży pokój na spółkę z nimi.

Pokoik był na tyle długi, żeby pomieścić materac, i dwa razy od niego szerszy.

Ubrania Myny leżały jedne na drugich na półkach wiszących nad nią na ścianie, a te, dla których zabrakło miejsca, były w szafie mamy. Drzwi zamykały się na klucz.

Z domu dochodziły przytłumione dźwięki. Mina wyciągnęła się na materacu z nogami opartymi o ścianę i obracała w palcach ostatnią kostkę Huxleya, zastanawiając się po raz

en

ty, czy to jest magiczne pudełko, czy też nie.

Do rejsu zostały dwa dni.

Wieczór płynął leniwie i powoli, jedne po drugich, gasły światła w oknach sąsiednich domów. Mina, która spała zawsze przy otwartym oknie, wyciszyła się. Na niebie pojawił

się

cienki sierp księżycy, taki jak często wyobrażała sobie, że wschodzi na niebie z jej

ulubionych

opowieści, tych z Księgi tysiąca i jednej nocy, które czytała po kryjomu, bo według jej

ojca

były nieodpowiednie dla dzieci*.

„Może tylko dla chłopców, a nie dla dziewczynek”, pomyślała Mina, gdy chowała książkę w swojej sypialni, pod jedną z desek w podłodze. Jej rodzice oczywiście nie

mogli

przypuszczać, że w tak małym pokoju znajdzie się miejsce na tajną skrytkę.

- Tak jak nikt by nie przypuszczał, że znajdzie się na nią miejsce w tej małej kostce... - powiedziała do siebie Mina, nie przestając obracać jej w rękach.

* Przypis tłumacza rękopisu. Niektóre rzeczywiście tak, lecz większość z nich stała się popularna właśnie wśród młodych czytelników, jak na przykład przygody Sindbada

Żeglarza.

Ostatnia myśl

Z pewnością Księga tysiąca i jednej nocy to księga prawdziwej wyobraźni, pomyślała sobie. Jedna z tych książek, którym nie możesz się oprzeć, gdy chcą cię zabrać ze sobą i ponieść daleko. Może ci to nie pasuje. Może się boisz. Lecz koniec końców cieszysz się,

że

dałeś się porwać.

W podróż po stronicach.

W Błękit.

Spiczasty księżyc wspiął się na środek nieba i zaczął kołysać. Mina leżała w swoim pokoju, ale nie chciało jej się spać.

Kostka tańczyła jej w rękach.
Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć: zaznaczono na poszczególnych ściankach. I liczby te nie miały w sobie nic dziwnego. Były rozmieszczone jak na normalnych kostkach do gry: jedyńka naprzeciw szóstki. Dwójka piątki. Trójka czwórki. Tak, żeby suma zawsze wynosiła siedem. Jak dni tygodnia. Jak siedem niebios i siedem planet według starożytnych astronomów. Jak siedem czakr ludzkiego ciała. - Muladhara, swadhiszthana, manipura, anahata, wiśuddha, adźña, sahasrara... - powtórzyła Mina, która nauczyła się ich na pamięć, kiedy była mała. Aż wreszcie, po wielu próbach, naciskaniu i przekręcaniu, z boku z liczbą sześć uniósł się wąski paseczek drewna. Mina długo mu się przyglądała, bojąc się, że może zepsuła kostkę. Lecz im dłużej patrzyła, tym bardziej była przekonana, że ten paseczek drewna się ułamał, a jedynie... przesunął. Spróbowała więc jeszcze raz. I jeszcze raz, aż poruszył się drugi paseczek, który wszedł w ten pierwszy. A potem jeszcze prostokącik. Kwadracik. I następny. Stopniowo, przemieszczając się jak elementy jakiejś dawnej łamigłówki, ścianki ostatniej kostki ułożyły się tak, że powstał w nich maleńki otwór. Mina potrząsnęła parę razy kostką i z otworu wypadła na łóżko złożona karteczka. „Ostatnia wiadomość od Larry’ego Huxleya”, pomyślała, zanim ją otworzyła. Najbardziej tajna ze wszystkich. Cześć, Jeśli to czytasz, oznacza to, że jesteś taki jak ja. Zatem ostrzegam Cię: aby dotrzeć do Kilmore Cove, będziesz musiał przejść dwie próby. Pierwsza to bańera humbaków, i jest to próba równowagi. Druga to Pływająca Wyspa, i jest to próba wyobraźni. Mnie się udało i teraz tu jestem. Piszę do Ciebie z Kilmore Cove. To cudowne miejsce. Takie, o którym Ty też zawsze marzyłeś. Nie czekaj dłużej. Dołącz do mnie. Larry Huxley

ROZDZIAŁ 21

NOC PRZED

W KTÓRYM OKAZUJE SIĘ,

ŻE NAWET PIRACI MUSZĄ PROSIĆ O POZWOLENIE I ŻE GDY MASZ CZYSTE SI MIENIE, TO ME MA JUŻ ŻADNYCH TAJEMNIC

/EDALUS PRESS

PrintingMachine. Press, Type, Material, and Roller Manufacturers.

Murray? Co się dzieje? - zapytała go mama, przecierając oczy. Pojawiła się w drzwiach pokoju, blada jak papier. - Kto dzwonił?

Chłopak odłożył słuchawkę i starał się opanować gwałtowne bicie serca.
To była Mina. Złamała wszelkie zasady dobrego wychowania. Zadzwoiła, żeby jak najszybciej odczytać mu ostatnią wiadomość od Larry'ego Huxleya. Mówiła szeptem, stojąc

w przedpokoju u siebie.

- Nie wiem, mam - odpowiedział. - Jakiś żart.

Kobieta potrząsnęła głową, nie otwierając oczu.

- O tej godzinie, w środku nocy. To naprawdę głupi żart.

Murray nie był w stanie się ruszyć.

„Aby dotrzeć do Kilmore Cove, będziesz musiał przejść dwie próby”.

„Teraz tu jestem... Dołącz do mnie”.

- Murray?

Otrząsnął się. Zadał pierwsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy:

- Masz ochotę na filiżankę herbaty?

Mama oparła się o ścianę i ziewnęła.

- Która godzina?

- Nie wiem - odpowiedział Murray.

- Dlaczego nie?

Zeszli do kuchni. Włączyli delikatne światło i nalali wody do czajnika.

Murrayowi w ogóle nie chciało się spać.

Jego mama przetarła twarz.

- O czym myślisz? - zapytała.

- A, o niczym - skłamał. Wziął z szafki dwie pachnące torebki i włożył je do filiżanek.

- Ciasteczka?

- Śmiało... wyrzuć to z siebie.

- Myślałem o czymś, co jest niemożliwe - odpowiedział. - Ale gdyby nie było niemożliwe, to byłoby to coś wspaniałego.

- A ja nie mogę się dowiedzieć co to?

Czajnik zagwizdał i Murray nalał gorącej wody. Usiedli przy stole, czekając, aż herbata naciągnie.

- Chciałbym wyruszyć w podróż.

- A kto by nie chciał?

- Mówię serio, mam. Chciałbym wyruszyć w podróż. Przeżyć przygodę. Wielką przygodę, razem z moimi przyjaciółmi.

Ona pociągnęła parę łyków herbaty, trzymając filiżankę obiema rękami, żeby je rozgrzać.

- Trudno się oprzeć wielkiej przygodzie z przyjaciółmi.

- Ja też tak myślę, ale...

- Ale co?

- Trochę się boję.

Kobieta wahała się przez parę chwil, zanim mu odpowiedziała. Nie było dla niej jasne, czy Murray wymyśla kolejną ze swoich historii, czy też jest zupełnie poważny.

- Czy to ważna przygoda?

- O, tak! - przyznał Murray. - Najważniejsza ze wszystkich.

Był zupełnie poważny. I naprawdę próbował jej coś powiedzieć.

- A ile potrwa ta ważna przygoda?

- Całą niedzielę - odpowiedział.

- Zatem niedziela z przygodą?
- Tyle wystarczy, żeby dowiedzieć się, czy ten chłopiec mówi prawdę, czy nie.
- Jaki chłopiec?
- Chłopiec, który wyjechał przed nami. Ma na imię Larry.
- To jakiś twój kolega?
- Och, nie. Jest z Islandii.
- To bardzo daleko stąd.
- O, tak. Dlatego chcielibyśmy zabrać go z powrotem do domu.
- Larry to ładne imię - szepnęła mama. - A zabranie go do domu wydaje mi się dobrą przygodą.
- Też tak sądzę - powiedział Murray. Upił duży łyk herbaty.
- Tak - stwierdziła jego mama. - Tak właśnie trzeba zrobić. - Również ona pociągnęła duży łyk. - Ale nie masz zamiaru jechać aż do Islandii, prawda? - zapytała, zanim podniosła się od stołu.
- Nie! Pewnie, że nie.
Uśmiechnęła się.
- A w niedzielę przyjdiesz się pożegnać przed odjazdem, prawda?
- Pewnie, że się pożegnam. Tylko... - Murray się zawahał. - Chciałbym wyruszyć bardzo wcześnie.
- To logiczne... - mruknęła kobieta. - Żeby wrócić wcześniej, trzeba wcześniej wyruszyć. A... kiedy już wrócisz wieczorem do domu, cały i zdrowy... ze wszystkimi przyjaciółmi... i Larrym... opowiesz mi o swojej przygodzie?
Murray się uśmiechnął.
- Obiecuję.
Westchnęła. Kiedy robił tę elfią minę, nie można mu się było oprzeć. Ten sam łobuzerski wyraz twarzy sprawił, że zakochała się w jego ojcu.
Już miała udzielać mu dalszych wskazówek, gdy jakiś wewnętrzny głos przypomniał jej, że nie powinna być nadopiekuńcza, tylko nauczyć go odwagi korzystania z wolności i samodzielnego myślenia.
- Bardzo się cieszę z tej przygody, Murray... - powiedziała, choć wiele ją to kosztowało. - A jeszcze bardziej z tego, że mi o tym powiedziałeś. Masz moje pozwolenie na ten wyjazd... pod jednym warunkiem. A właściwie dwoma.
Murray prychnął, zaniepokojony.
- Pierwszy to, że będziesz grzeczny. Nie ma nic lepszego od bohatera, który zna również dobre maniery.
- A drugi?
- Że natychmiast pójdziesz spać.
Murray zaakceptował obydwa warunki i bardzo mu ulżyło, że porozmawiał z mamą. Został jeszcze w kuchni, żeby po sobie posprzątać. Był zamyślony.
Umył filiżanki i lekkim krokiem wszedł po schodach. Przez szybę drzwi wejściowych sączyło się srebrne światło księżyca.
Minął sypialnię mamy, która najwyraźniej od razu zasnęła. Murraya natomiast przeszył dreszcz.
Powoli, starając się być bardzo cicho, wszedł jeszcze piętro wyżej.
Drzwi pokoju na poddaszu były uchylone, jakby na niego czekały.

Tajemnicze meble spowijało światło księżycy, w którym tańczyły mikroskopijne roztocza. Zapach suchych płatków w misce był odurzający. Wszystko wyglądało jak dawniej: stare meble, wysłużone zasłony, sekretarzyk. Lecz tym razem Murray nie odniósł wrażenia, że coś komuś przerwał, ani nie czuł się nieswojo, jak zawsze gdy tam zaglądał. Wręcz przeciwnie, pokój zdawał się niemal zapraszać go do środka, jakby tym razem to on miał być tym tajemniczym gościem, który użyje sekretarzyka. Murray nie zamierzał się wzbraniać przed zewem księżycy. Włos mu się zjeżył, tak był spięty, ale usiadł przy sekretarzyku i nie wiedząc nawet jak i kiedy, chwycił za kartkę i pióro. Zaczął pisać: Kochana mamó, nie martw się o mnie... Może chciał napisać list pożegnalny, może coś innego. Sam dokładnie nie wiedział. Lecz po tych kilku słowach stare pióro poplamilo kartkę atramentem. Wtedy Murray sięgnął ręką do szufladek sekretarzyka, by poszukać innego pióra, i zupełnie przypadkiem włożył palce w ukrytą szczelinę, której nigdy wcześniej nie zauważył, a w której idealnie mieściła się jego dłoń. Wsunął ją do samego końca i nacisnął. Usłyszał delikatne pstryknięcie jakiegoś starego mechanizmu. Tyk. I w rękę Murraya wylądowała szufladka. Szeroko otworzył oczy. Czyżby to była tajemnicza szuflada, o której mówił pan Fanny? - Naprawdę istniała... - szepnął Murray w świetle księżycy. - Miałaś rację, tato. Nie nabierałaś mnie. Coś ciepłego i przyjemnego rozlało się po całym jego ciele. Najpierw mamę, a teraz również tatę poczuł tak blisko jak nigdy w tych ostatnich miesiącach. W szufladzie znajdował się błyszczący przedmiot. Murray wziął go i zaczął obracać w palcach, jakby był we śnie. Trzymał mały złoty kompas, nie większy niż gałka od drzwi. „Jestem tu. I czekam na ciebie”, zdawała się mówić ostra igła instrumentu. „Chodź. Tędy prowadzi droga”.

ROZDZIAŁ 22

SOBOTA

W KTÓRYM UCZYMY SIĘ ZASAD OBOWIĄZUJĄCYCH PRZED WAŻNĄ PODRÓŻĄ, WSZYSCY ZOSTAJĄ POŻEGNANI, A KOMUŚ, Z WŁASNEJ I INY POZOSTAJE NIESMAK W USTACH

PrintingMachine, Press, Type. Materiał, and Rotter Manufacturers.

Cześć, synku - przywitał go mężczyzna w więziennym ubraniu, siadając po drugiej stronie stolika w sali widzeń. Był wychudzony, miał króciutko obcięte włosy i wyraźne cienie pod oczami. - To dopiero niespodzianka. Sam przyszedłeś? Mamy nie ma? - Cześć, tato - przywitał się Murray. Trzymał ręce na stoliku, dobrze widoczne, tak jak mu kazali. - Nie. Jestem sam.

Paddy zapytał strażnika, czy może zostawić ich samych na pięć minut.

- Pięć minut - zgodził się mężczyzna.

Gdy tylko wyszedł, Paddy złapał Murraya, przycisnął do siebie i ucałował w obydwie policzki. Po czym zmitygował się, wziął go za ręce i powiedział:

- Nie możesz robić takich rzeczy, wiesz? A szkoła? Jaki dziś dzień? Nie powinieneś być w szkole? Czy to już wakacje?

- Chciałem cię zobaczyć - odparł Murray ze łzami w oczach. Jego ojcu również zbierało się na płacz.

- I dobrze zrobiłeś - powiedział cicho tata. Z trudem przełknął ślinę. - No to co mi powiesz? Trochę się nie widzieliśmy. Myślałem... - znów przełknął ślinę - że już nie przyjdiesz.

- Byłem zły - przyznał Murray. - Ale teraz już nie jestem.

- Na mnie byłeś zły?

- Nie - odpowiedział chłopiec. - Byłem zły na siebie.

Paddy próbował się trochę uspokoić, a potem stwierdził:

- Zawsze jest ciężko przestać się złościć na siebie.

- Znalazłem tajemniczą szufladę... - powiedział Murray.

Jego ojciec nie od razu zrozumiał, o czym mówi.

- Słucham?

- W naszym sekretarzyku. Tak jak mówił pan Fanny. Pamiętasz?

- A, tak, oczywiście! - odpowiedział ojciec, przygnębiony tym wspomnieniem normalności. - Znalazłeś szufladę! No i? - Zaśmiał się nerwowo. - Co było w środku?

- Kompas.

- Kompas? A kto tam włożył kompas? Odkrywca?

- Też tak pomyślałem - odrzekł Murray.

Pokazał mu go. Paddy obrócił go w palcach.

- Jest bardzo ładny. I chyba dość cenny.

Murray chciał coś powiedzieć, ale ojciec go uprzedził.

- Weź go. Weź i dbaj o niego... w tym miejscu źle by skończył.

Murray szybko schował kompas do kieszeni.

- Jak się czujesz? - spytał ojca.

- Liczę dni - odparł on. - Prędzej czy później to się skończy. I wtedy zobaczysz, że... wszystko się ułoży. A ty? Ty, synku? Opowiedz coś o sobie, proszę. Mama mówiła, że

miałeś

bardzo dobre stopnie w zeszłym roku. I że jesteś jednym z najlepszych uczniów w klasie.

- Piszę opowiadania - powiedział Murray. A potem wyjaśnił: - Podczas lekcji, zamiast słuchać, wolę pisać wymyślone przez siebie historie.

- A! Och... - odezwał się ojciec. - Ale... czy to nie...

- Profesor mówi, że jestem w tym dobry. Choć ich nie czytał. Mówi, że mam pewien talent do pisania, mimo że jestem młody.

Twarz Paddy'ego się rozpuodziła.

- Już się zaczynałem martwić. A... jakiego rodzaju opowiadania piszesz?

- W większości zmyślone historie. Czasami z jakimś potworem. I... skarbami. Bardzo lubię skarby i wszystkie przygody, które do nich prowadzą.

Jego ojciec się uśmiechnął.

- Przygody są najfajniejsze.

- Jutro zamierzam jedną taką przeżyć - powiedział Murray, trochę skrepowany.

- Naprawdę? A co to za przygoda?
- Chcemy wyruszyć na krótki rejs po morzu.
- Pontonem.
- Nie całkiem... - odpowiedział Murray. - To jest... no... jest trochę większe, coś jak holownik.
- Czyli prawdziwa przygoda... - skomentował tata. - I może opisziesz ją potem w jednym ze swoich opowiadań?
- Przyniosłem ci je - powiedział wtedy Murray szeptem. I zrobił się cały czerwony. Wyciągnął ze szkolnego plecaka stertę kartek i położył na stole. - Tylko uprzedzam. Nie

mam

ładnego charakteru pisma... i... cóż, nie są to oczywiście arcydzieła. Ale... pomyślałem, że może chciałbyś... je przeczytać... jeśli masz czas. Wiesz... jest też dużo... o nas i...
Głos mu się załamał.

Ale uśmiechnął się, gdy zauważył, że także jego ojciec wzruszył się do łez.

I w tym momencie wrócił strażnik.

Paddy wziął opowiadania i przycisnął do piersi.

Powiedział chłopcu coś bezgłośnie.

- Ja ciebie też, tato - odpowiedział Murray.

Paddy został w pokoju i siedział tak, drżąc, aż nie stracił z oczu swego syna.

Tego ranka profesor Clark zauważył, że w skrzynce na listy leży żółta koperta.

Nie czekał na żadną żółtą kopertę.

Zmierzył ją wzrokiem, zobaczył swoje nazwisko po stronie adresata, a po stronie

nadawcy nazwisko Tony'ego Galippiego. Zaciekawiony, otworzył. W kopercie były

książka i

list na papierze z makulatury.

Drogi Jeffie!

Dziękuję za to, co zrobiłeś. Zdaje się, że to Twoja zasługa, iż mam znowu cel w życiu.

Zawsze myślałem, że jesteś tylko starym wodolejem, ale najwyraźniej się myliłem.

Dlatego

przepraszam. Wysłałem Ci książkę, którą napisałem parę lat temu. Jeśli Ci się spodoba, możesz z nią zrobić, co zechcesz. Mówi o tym, jak udało mi się spokojnie przeżyć te wszystkie lata, nie wydając ani funta. A w tym momencie również bez domu.

Wiesz co? Pieniądze naprawdę nie dają szczęścia.

Twój stary kolega, Tony

Profesor Clark spojrzał na książkę. Była w całości napisana ręcznie, na białych kartkach, i nosiła tytuł: Gospodarny przyrodnik. Co naprawdę należy robić.

- Stary wodolej... - mruknął profesor, zaśmiewając się.

Potem usiadł przy biurku, rozpiął ostatni guzik koszuli

(nie nosił już krawata, więc nie musiał być zapięty) i zaczął czytać.

- Brat! Brat! - zawołał jeden z bliźniaków. - Chodź zobaczyć!

Drugi nawet go nie usłyszał. Kiwał się miarowo przed monitorem komputera, z głową zanurzoną w ogromnych słuchawkach do gier.

Brat zerwał mu je z głowy.

- Ej! Odbiło ci? - zaprotestował drugi. - Mało brakowało, żebym pobił rekord!

- Mówię ci, chodź zobaczyć!

- Co zobaczyć?

- W garażu!

- Co w garażu?
- Idziesz czy mam cię zabić, a potem tam zaciągnąć?
- Jak zabić?

Zeszli po schodach, mocując się ze sobą, po czym ten, który był tam już wcześniej, szeroko otworzył drzwi garażu i zawołał:

- Patrz!
- Wow! A więc to prawda! Święty Mikołaj istnieje! - Za drzwiami garażu wznosiła się góra gier komputerowych. - Kto je przyniósł? - zapytał, osłupiały.

- A jak myślisz?

- To ja się pytam.

- Nie poznajesz ich?

Brat, który przedtem grał na komputerze, podszedł do góry gier i obejrzał parę z nich.

- Wyglądają na... nasze - powiedział. - To znaczy te, które mieliśmy u Connora.

- Wszystkie gry z Itaki.

- Wow! - Potem, coraz bardziej zdezorientowany, podrapał się w głowę. - Ale przepraszam, dlaczego je tu przynieśli? Przecież jak teraz pójdziemy na Itakę... nie

będziemy

już mogli w nie grać.

- A jak myślisz?

- TO JA SIĘ PYTAM!

- Naprawdę nie łapiesz?

- Czego nie łapię?

- Dlaczego je tu przynieśli?

Bracia spojrzeli po sobie.

- Nie - przyznał ten drugi. - Nie łapię.

- Jest sobota. A jutro niedziela.

- Szmata czasu.

- Ale jutro jest ta niedziela - powiedział z naciskiem brat. I pokazał na gry leżące na ziemi. - A oni w ten sposób chcą się z nami pożegnać.

- Chcesz powiedzieć, że...?

- Tak. Właśnie to chcę powiedzieć.

- Ale skąd wiesz, że to chciałem powiedzieć, skoro jeszcze tego nie powiedziałem?

- Więc to powiedz.

Powiedział.

To było to.

ROZDZIAŁ 23

ZŁODZIEJE ROWERÓW

EDALUS PRESS

PrintingMachine, Press, Type, Material, and Roller Manufacturers.

W noc przed wyprawą, kiedy był już pewien, że mama śpi, Murray wymknął się cicho ze swojego pokoju. Zszedł po schodach, stopień po stopniu, zatrzymał się pod drzwiami wejściowymi, nadstawił ucha, po czym delikatnie zdjął łańcuszek, otworzył je i ostrożnie zamknął za sobą. Gdy był już na zewnątrz, wsunął klucz do zamka i powoli przekręcił.

Następnie założył trampki i zaczął biec chodnikiem. Drzewa w ogrodach sąsiadów cicho szumiały pośród nocy. Przebiegł całą drogę prowadzącą od domu do skrzyżowania i skręcił w stronę morza.

Daleko od stożków światła rzucanego przez latarnie panowała noc ciemna jak smoła. Nad morzem unosiło się długie pasmo mgły. Murray biegł, aż dostał zadyszki, potem zwolnił.

Miał jeszcze czas. Zszedł po schodkach, odbił w stronę portu, dotarł do ulubionej ławki i popatrzył na morskie olbrzymy stojące bez ruchu na swoich miejscach. Dzwony boi kołysały się na falach.

Podążył ulicą prowadzącą w dół, a potem kolejną, zgodnie ze wskazówkami Shane'a. Minął

koszary policji i znalazł się pod wysoką na dwa metry żelazną siatką otaczającą niski budynek. Magazyn rowerów.

Chwilę później pojawił się Shane. Wyglądał jak cień opatulony w wielką kurtkę.

- Już myślałem, że nie przyjdiesz - powiedział, choć Murray miał tylko niecałe pięć minut spóźnienia.

- Musiałem poczekać, aż mama zaśnie. A ty?

- Moi rodzice zawsze śpią - odpowiedział jego przyjaciel.

- Nie narzekajcie - dorzucił Connor, który wyrósł nagle za plecami Shane'a. Murray był zaskoczony jego obecnością. - Na statku nie mogłem spać - przyznał chłopak. -

Galippi

chrapie jak drwal.

Nie wspomniał o tym, że pomysł Murraya na ten wieczór był, skromnie mówiąc, rewelacyjny.

W milczeniu ruszyli wzdłuż ogrodzenia, aż dotarli do bramy zamkniętej na kłódkę. Shane otworzył ją jednym ze swoich tajemniczych kluczy.

- Wchodźcie śmiało. - Murray spojrzał na niego, więc dodał jeszcze: - Spokojnie.

Żadnych strażników ani psów. Rowery powinny być w środku. I nie są zamknięte.

Poprowadził ich do niskiego budynku z paroma wybitymi szybami i uchylonymi drzwiami. W środku było co najmniej sto skonfiskowanych przez policję rowerów.

- Zabraliście narzędzia? - zwrócił się do przyjaciół Murray.

Shane i Connor wyciągnęli spod kurtki trzy pary żelaznych obcęgow. Podali mu jedno z nich.

Murray chwycił je i podszedł do pierwszego z rowerów.

- No, to do roboty.

Zaczęli jedna po drugiej przecinać kłódki, a gdy już uwolnili wszystkie rowery,

wyprowadzili je z magaMgła osłaniająca złodziei zgęstniała nad ich głowami i zamieniła nagle światła latarni w przyćmioną, jednostajną poświatę.

I tak minęła noc.

O siódmej rano następnego dnia, w niedzielę, Mina zeskoczyła z roweru zaraz za torami. W ostrym powietrzu czuć było napięcie.

Niebo przecinały długie, cienkie smugi chmur, a morze laguny mieniło się kolorami tęczy, upstrzonymi spienionymi grzebieniami fal.

Zabrała ze sobą rower, gdyż postanowili na wszelki wypadek załadować rowery na pokład. Czują, jak przechodzą ją ciarki radosnego podekscytowania. Prawdziwa wyprawa

na

morze! Z przyjaciółmi!

Gdyby tylko udało jej się nie myśleć o tym, co czeka ją po powrocie, byłaby zupełnie szczęśliwa. Lecz już od wielu dni pomagała mamie w pakowaniu wszystkich rzeczy z

domu

w szereg odpowiednio uporządkowanych kartonów: tych samych, z którymi przyjechali

do

miasta, gdy po raz pierwszy przenieśli jej ojca. Ciągłe na pudłach w ślad za kolejnymi pudłami, komputerowymi. Nie tego Mina oczekiwała od życia.

Ale trudno, powiedziała sobie. Nie chciała, żeby myśl o tym zepsuła jej cały dzień. To był wielki dzień. Poranek, w którym mieli wreszcie wypłynąć w morze.

Gdy tak szła ścieżkami laguny, prowadząc rower, pogrążyła się w marzeniach.

Wydawało jej się, że już czuje zapach wybrzeży dalekiego Orientu, że widzi wonne

palmy

kołyszące się na wietrze, złote szczyty minaretów w miastach Arabii i to wszystko, czym

było

dla niej morze. Profesor Galippi przypomniał im, żeby przynieśli księgę prawdziwej wyobraźni, i Mina nie miała wątpliwości, co wybrać: wygrzebała swój wysłużony

egzemplarz

Księgi tysiąca i jednej nocy ze skrytki pod podłogą i włożyła do plecaka, razem z

ubraniami

na zmianę, kostiumem kąpielowym, okularami przeciwsłonecznymi, szalikiem i wełnianą czapką. Nie był to może idealny ekwipunek na rejs pod żaglami, ale nic lepszego nie przychodziło jej do głowy.

Kiedy zbliżała się do statku, zauważyła, że ktoś odsunął gałęzie maskujące ścieżkę, i domyśliła się, że któryś z chłopców już przyszedł.

Okazało się, że była ostatnia.

Connor stał na Itace, której silniki już warkotały. Shane pomagał profesorowi Galippiemu złożyć namiot z ich obozowiska.

- To co robimy? - zapytała Mina, zaskoczona. - Ruszamy?

Chłopcy przywitani ją, rozpromienieni, i wyjaśnili, że trzeba załadować na pokład jak najwięcej rzeczy, żeby nie musieli ich potem sami przenosić, jak już wrócą do domu i postanowią, co zrobić z Metis.

Connor jak zwykle przygotował listę rzeczy do zabrania, a profesor Galippi sprawdzał na głos poszczególne pozycje:

- Róg mgłowy, notes do pisania w deszczu Rite in the Rain, pięć wełnianych koców, długi kij z hakiem, miotła, barometr, wiatrowskaz, podręczny writing box...*

- Mina, załaduj rower! - rozkazał Murray. - Postaw go koło naszych i wciągniemy je na górę!

O kil statku oparte były trzy rowery. Mina poznała rowery Shane'a i profesora Galippiego, ale nie ten trzeci.

- To nie jest twój rower... - powiedziała do Murraya stojącego na pokładzie.

- Nie - odparł, odgarniając włosy z oczu. - Faktycznie nie mój. - I uśmiechnął się do niej zagadkowo.

Lecz zanim zdążyła zadać kolejne pytanie, Connor zawołał ich z pokładu Itaki.

- No, to jedziemy! Do dzieła! Wszyscy gotowi?

I zwiększył obroty silnika.

Lina łącząca Metis z Itaką napięła się i przez długą chwilę obydwie statki tkwiły w bezruchu pośród brudnych wód laguny. Kadłub Metis zaskrzypiał i zatrzeszczał. Silniki Itaki prychnęły i sapnęły, i w końcu, bardzo powoli, rufa łodzi wikingów zaczęła ślizgać się po błocie.

- Ruszył! Ruszył! - krzyknęły z radością dzieci, przytulone do dulek wiosł.

* Przypis tłumacza rękopisu. To na razie jedyna wzmianka poczyniona przez autora na temat sekretarzyka, który otrzymałem wraz z materiałem do tej opowieści.

Trzciny zaszeleściły i Metis lekko zsunęła się do płytkiej wody laguny. Connor z pokładu Itaki sprawdził głębokość dna i ręką pokazał znak OK. Odrobinę przyspieszył.

Murray i Shane stanęli za sterami, jeden za lewym, drugi za prawym, i za każdym razem gdy Itaka lekko skręcała między lustrami wodnymi laguny, starali się manewrować

raz

jednym, raz drugim. Mina obserwowała ruchy Connora i powtarzała im rozkazy. Profesor Galippi rozkoszował się rejssem jak myśliwy zdobyczą po długiej i udanej obławie.

Laguna powoli otwierała się przed ich oczami. Oburzone stado czapli wzniosło się do lotu i pofrunęło w stronę słońca. Od czasu do czasu słyszeli, jak kil Metis trze o piaszczyste

dno, i obawiali się, że ugrzęzną. Ale Connor dodał gazu i stary holownik wzorowo wywiązał

się ze swojego zadania.

Wypłynęli na otwarte morze po mniej więcej godzinie żeglowania po lagunie i gdy wydostali się wreszcie z mielizn i szuwarów, Mina poczuła, jak jej serce napełnia się światłem.

Connor przesiadł się na drugi statek: wyłączył silniki Itaki, zbliżył się do Metis na tyle, na ile to było konieczne, żeby złapać drabinę, i dwoma susami znalazł się na pokładzie

z całą resztą. Od tej chwili to Metis miała ciągnąć za sobą Itakę, która pozostawała ich łodzią

rezervową, na wypadek gdyby znów ugrzęzli lub nie zdołali sterować statkiem wikingów.

Murray i Shane przekazali mu stery i Connor chwycił je, stojąc wyprostowany pośrodku pokładu.

- Rozwińcie żagiel, marynarze! - wrzasnął.

Shane dopadł do grubych lin przytrzymujących żagiel u szczytu grotmasztu i rozwiązał je zdecydowanym ruchem.

Patchwork kolorowych materiałów rozpostarł się z łoskotem podobnym do upadającego tobołka i od razu naprężył się i wzdął na wietrze. Rozległ się brzęk żelastwa wydawany przez krążki linowe i z trzaskiem, który Minie zdał się grzmotem, żagiel

wypiął

swój ogromny kolorowy brzuch. Oczom wszystkich ukazał się namalowany pośrodku

przez

Shane'a wielki napis „Odważa”.

- Hurra! - krzyknęli.

Connor pokierował prawym sterem i Metis obróciła się wokół własnej osi, podążając

za wiatrem, który pchał ją w stronę morza.

Morze. Błękitne i nieskończone, przed nimi.

Ruszyli, powoli, lecz z gracją.

- Bando rozbójników! Zabraliście ze sobą książki? - krzyknął w tym momencie Murray, wyciągając z plecaka tę, którą wybrał: Kapitanowie zuchy Rudyarda Kiplinga. Mina podniosła ku niebu Księgę tysiąca i jednej nocy i to samo zrobili pozostali ze swoimi książkami. Connor wybrał Tajfun Josepha Conrada, Shane zbiór opowiadań

Edgara

Allana Poego, a profesor Galippi utwór Stary człowiek i morze z wyczerpanego nakładu.

- I są to księgi prawdziwej wyobraźni? - spytał jeszcze Murray.

- TAK - odpowiedzieli wszyscy łącznie z profesorem.

- Czy jest z nami odważny kapitan? - ciągnął Murray.

Wszyscy obejrżeli się na Connora.

- TAK! - stwierdzili jednogłośnie. - JEST!

- No to na co czekamy? - Murray odwrócił się w stronę morza, podniósł złoty kompas, który znalazł w tajemniczej szufladzie sekretarzyka, i zawołał: - Ku Błękitowi!

- Ku Błękitowi! - powtórzyła za nim reszta.

Potężny poryw wiatru zatrzęsął grotmasztem i kolorowy żagiel Metis jeszcze bardziej się wydał. Elegancki kil statku uniósł się na falach, a potem opadł, przecinając na

pół

wody oceanu.

Mina poczuła, jak ściska ją w żołądku, lecz zaraz podbiegł do niej Murray i objął ją mocno, trzymając w ramionach. Wszelkie strachy i obawy uleciały daleko, pozostając za

ich

plecami jak portowe boje.

Sunęli po falach, wolni od wszystkiego i od wszystkich.

Była niedziela rano, godzina ósma dwadzieścia osiem.

Są! Patrz, to oni! - zawołał jeden z braci Bradych, pochylony nad lunetą teleskopu, jednym z wielu prezentów, które kiedyś dostali, a których nigdy do tej pory nie używali.

- Pokaż! Przesuń się! - krzyknął drugi. Przyłożył oko do okularu, zamknął je i znowu krzyknął: - Ale tu nic nie widać!

- Musisz zamknąć drugie oko!

- A! Teraz widzę! Tak, to oni! To Metis!

- Wow!

- Wow!

Skorygowali ustawienie lunety, by móc śledzić statek sunący po falach, i po kilku minutach ogólnej ekscytacji jeden zapytał drugiego:

- A dlaczego my też nie popłynęliśmy?

- Nie wiem - odparł drugi.

- Myślałem, że ty nie masz ochoty.

- To ja myślałem, że to ty nie masz ochoty!

Pomachali nogami zwisającymi z łóżka.

- Chcesz zagrać?

- W co?

- Nie wiem. Ale chcesz?

Spojrzeli na konsolę przykrytą stertą gier. Olbrzymi ekran telewizora był jak drżąca szyba.

- Chyba nie - odpowiedział pierwszy z braci. - A ty?

- Ja też chyba nie.

Powłócząc nogami, poszli do kuchni. Potem na dwór. Czuli się dziwnie.

Widzowie

- Wiesz co, bracie? Może mamy gripę?

Drugi nic nie odpowiedział. Patrzył na morze, które lśniło wśród zieleni, pod ich domem. Szukał czegoś, czego nie mógł już dostrzec. I nie wiedział dlaczego.

ROZDZIAŁ 24

WIDZOWIE

Mama Murraya ściszyła telewizor. Obiecała sobie, że nie będzie się martwić przez cały ten dzień, a jej syn okazał się prawdziwym skarbem: pożegnał się z nią praktycznie o świcie, o szóstej, pojawiając się z plecaczkiem zarzuconym na ramię i całując ją w czoło. Gotów na przygodę, niczym bohater jakiejś kreskówki. A potem wyszedł.

Robiła to co każdego ranka, dopóki nie usłyszała pukania do drzwi. Automatycznie się zdenerwowała.

Pobiegła otworzyć, nawet nie sprawdzając kto to, i zobaczyła przed sobą policjanta.

- Pani Ciarkę? - zapytał funkcjonariusz, zdejmując czapkę.

- Czy coś się stało Murrayowi?

- Słucham? Och, nie, nie. Niezupełnie, nie. Ale... no właśnie, czy pani syn jest w domu?

- Co zbroił? - nie ustępowała mama, próbując równocześnie spiąć włosy klamerką.

- Nic nie zbroił, proszę pani... - odparł z uśmiechem policjant. - Ale może coś wie w sprawie... w sprawie rowerów, krótko mówiąc.

- Jakich rowerów?

- Chodzi o to, że ktoś wczoraj w nocy... powiedzmy... dostał się do magazynu policji w porcie i ukradł wszystkie rowery, które tam były... a następnie zaprowadził je na plac.

Tu,

widzi pani?

Policjant pokazał jej zdjęcie stojącego pod ratuszem rzędu rowerów z informacją:

WYZWOLONE ROWERY: WYBIERZ KTÓRYŚ I JEDŹ! Z POZDROWIENIAMI OD POLICJI MIEJSKIEJ.

Pani Ciarkę mimo woli się roześmiała i dostrzegła, że i policjant nie wydaje się szczególnie nachmurzony.

- A dlaczego myśli pan, że mój syn mógłby coś o tym wiedzieć? - spytała.

- Dlatego że w magazynie został tylko jeden rower... - ciągnął swój wywód policjant, podając jej kwit. - Pani syna.

Mama Murraya rzuciła na niego okiem.

- Tu jest napisane, że może go odebrać jutro... - przeczytała.

- Dokładnie tak - odparł.

- Zatem sam pan będzie mógł go jutro o to zapytać - odpowiedziała z uśmiechem. -

Przekona się pan, że stawi się... idealnie na czas.

Kiedy w ten niedzielny poranek zawołano więźniów na spacer, tata Murraya nie chciał wychodzić. Nie mógł się oderwać od opowiadań syna. Jednak nie zamierzał też wdawać

się w

dyskusję ze strażnikami. Wraz z innymi opuścił celę i pomaszerował na dziedziniec.

Choćby

dlatego że po drodze szło się kawałek wzdłuż muru zewnętrznego, skąd co prawda przez

druk

kolczasty, ale widać było morze. Dla osadzonych tych parę sekund wody było na wagę

złota.

Gdy docierał do drzwi, wciąż nie mógł się uwolnić od obrazów z opowiadań: lwów, piratów i świątyni w dżungli wymyślonych przez Murraya. Rozpoznawał go w każdym słowie. A czasami rozpoznawał też swoją żonę. Odnosił wrażenie, że z opowieści o

skarbach,

rozbójnikach i smokach daje się wyczytać historię ich rodziny. I że potrafi odróżnić,

kiedy

Murray był szczęśliwy, a kiedy nie. To było jak poszukiwanie skarbnicy tego, co go

ominęło.

Potem pojawiło się morze. Błękitne i błyszczące.

Kiedy szedł wzdłuż tego krótkiego odcinka muru, aż do schodów prowadzących w dół na dziedziniec, Paddy nie odrywał oczu od najodleglejszych fal. I może to było złudzenie, może nie, lecz wydało mu się, że widzi mknący w oddali dziwny statek z kolorowym

żaglem.

Uśmiechnął się, pokiwał głową, aż w końcu, gdy przechodził koło sierżanta, wybuchł śmiechem.

- Co cię tak śmieszy, Paddy? - upomniał go strażnik.

- Nic, panie sierżancie... - odpowiedział, puszczając do niego oko. Znali się szmat czasu: razem dorastali i później tamten postanowił zostać policjantem. Potem jeszcze

dodał

cicho, autentycznie zadowolony: - Pomyślnych wiatrów, synku.

ROZDZIAŁ 25

BŁĘKIT

O TYM, ŻE MORZE JEST DOMEM WIELU TAJEMNIC I ŻE DOBRY STATEK PRĘDZEJ CZY PÓŹNIEJ MUSI SIĘ NAUCZYĆ ŻYĆ Z NIMI W ZGODZIE

PrintingMachine, Press, Type, Material, and Roller Manufacturers.

Panująca poprzedniego wieczoru mgła rozproszyła się, a poranek był rześki i wietrzny.

Murray wpatrywał się w dziobnicę, która pruć fale, rozdzielając je na dwa wachlarze piany. Bryzgająca woda przyskała mu do oczu. Trochę z tyłu Mina liczyła odległe żagle.

Statki

towarowe wyglądały jak skamieniałe na horyzoncie olbrzymi.

Metis sunęła po falach, unosząc najpierw dziób, a później rufę. Connor stał za sterem i kierował. Nigdy by nie pomyślał, że to może być takie łatwe: Metis mknęła po morzu bez najmniejszych trudności, niczym młody, dopiero co zwodowany okręt.

Shane nie mógł oderwać oczu od żagla, przepełnionego dumą tak jak on. Każdy podmuch wiatru pchał do przodu również jego, poza statek.

Profesor Galippi spoglądał raz to na morze, raz na strużki wody, które przez otworki szpigatów spływały z pokładu za nadburcie. Rozmyślał nad którąś ze swoich teorii filozoficznych: to, co w środku, i to, co na zewnątrz. To, co małe, i to, co duże. I uśmiechał

się, bo czuł się wolny.

Nikt się nie odzywał.

Pozwolili, by wiatr ich prowadził. I po tym, jak statek nabrał rozpędu, to właśnie wiatr od rufy popchnął ich zdecydowanie w stronę otwartego morza. Ciemna linia miasta wkrótce

przeszła w niewyraźną kreskę pozostawioną za ich plecami.

Fale stawały się coraz dłuższe i okazałszy się statek uderzył gwałtownie w jedną z nich, spryskując wodą cały pokład. Dla Connora był to znak, że płyną zbyt szybko.

- Zwińmy trochę żagiel! - rozkazał. - Niech poniesie nas prąd!

Shane posłuchał go jako pierwszy. Wskoczył na drewnianą klapę luku i chwycił liny żagla. Zaczął je zwijać, z trudem, bo były bardzo napięte, ale gdy doszedł do połowy, statek

raptownie skręcił i nastąpił gwałtowny wstrząs. Shane wylądował z nogami w powietrzu,

a

żagiel z trzaskiem znów się rozpostarł.

- Shane!

- Nic się nie stało! - odpowiedział szybko, podnosząc się.

Srogo popatrzył zarówno na prześcieradła, jak i na maszt i odniósł wrażenie, jakby miał do czynienia z żywym stworzeniem, któremu ani w głowie się zatrzymywać.

Connor wychylił się, by sprawdzić sytuację z tyłu. Itaka podążała za nimi spokojnie, przymocowana do rufy.

- Patrzcie! - krzyknął w tym momencie Murray, pokazując na morze.

Wydawało się, że kipi.

Wtem pod powierzchnią wody ukazała się ogromna szara zjawa, która podnosiła się do góry.

- To wieloryb! - zawołał profesor Galippi, łapiąc się nadburcia.

- A z tej strony jest drugi! - powiedziała Mina z przestraszeniem.

- Tu też! - wykrzyknął Shane.

Zaniepokojony Connor zacisnął dłonie na sterze. Po prawej stronie pojawił się oleisty grzbiet pierwszego wieloryba, który zaczął płynąć obok Metis. A po przeciwnej nagle wynurzył się drugi i spryskał ich gęstą, cuchnącą cieczą, po czym znów pogrążył się w morzu. Fale rzucały nimi od jednej strony pokładu do drugiej*.

- Trzymajcie się! - rozkazał Connor.

- Yeaah! - krzyknął Murray, przywierając do dziobu.

Metis nie zwolniła, wręcz przeciwnie: uderzyła w kolejną falę, jeszcze większą od pierwszej, i pokonała ją w strumieniu słonej wody, która zmoczyła ich od stóp do głów. Mina, Shane i Murray krzyknęli, podekscytowani.

Gdy mglisty obłok wody opadł, zobaczyli, że wciąż suną po falach w otoczeniu wielorybów. Connor naliczył ich pięć, czyli całą rodzinę. Wydawały z siebie dziwne świszczące westchnienia i płynęły równolegle do statku, tak jak czasem słyszał, że robią delfiny. Były jednak dużo większe od delfinów i gdy poczuł, jak uderzają o szkielet statku,

przeszedł go dreszcz strachu. Zadowolone, wyłaniały się z wody, ale zmuszały go

również do

nieustannego korygowania kursu, za każdym razem gdy wyprzedzały statek i przecinały mu

drogę.

* Przypis tłumacza rękopisu. W opisie tych zwierząt rozpoznaję chyba niektóre fragmenty Kapitanów zuchów Rudyarda Kiplinga. t

- SKAAACZE! - krzyknęła Mina, kiedy zobaczyła, że jeden z tych morskich olbrzymów zamierza poszybować ponad falami.

Connor zdążył skrócić i częściowo uchylić się przed bryzgającą wodą, ale już nie przed falą, która po niej nastąpiła.

- Trzymajcie się lin! - rozkazał w obawie, że któreś z nich może wypaść za burtę. Wieloryby nawoływały się przenikliwym i radosnym głosem, skakały na falach i wypuszczały z nozdrzy fontanny wody.

Connor nakazał Murrayowi i Minie, aby pomogli Shane'owi opuścić żagiel i w ten sposób zatrzymać statek, lecz po raz kolejny okazało się to niewykonalne. Na pokładzie

nie

dało się utrzymać równowagi. Metis zachowywała się niczym spłoszony koń,

podskakiwała i

gwałtownie skręcała wśród fal, jakby naśladowała igraszki morskich stworzeń.

Po jednym takim wyjątkowo bliskim wielorybim skoku Mina ześliznęła się i

wylądowała na dziobie statku. Murray złapał ją za rękę i razem chwycili się brzegu

galionu.

Chłopak miał kompletnie mokre włosy, które lepiły mu się do twarzy, a jego dzikie oczy przepełniał entuzjazm.

- To jest cudowne! - wrzasnął.

- Taaak! - odpowiedziała Mina, przestraszona i jednocześnie szczęśliwa.

Nagle wiatr się uspokoił, a potem z hukiem wydał żagiel. Statek wyrwał się do przodu, jak lew morski.

- To pierwsza próba! - krzyknęła wtedy Mina. - Bariera humbaków!

Próba równowagi.

Murray pomyślał o tym samym i dlatego czuł się tak nieopisanie szczęśliwy. To była pierwsza próba na drodze do Kilmore Cove, a ich rejs nie był zwyczajną morską

wycieczką.

Było tak, jak to sobie wymarzył: podróż na pokładzie magicznego statku, który przybył,

by

zabrać ich ze sobą.

- Murray! - zawołała znowu Mina, pokazując na wieloryba podpływającego pod kil statku. Natychmiast zmienił się wyraz jej twarzy: - Zobacz! Płynie do nas!

Murray patrzył, jak szara sylwetka zbliża się coraz bardziej, coraz bardziej, aż w końcu...

- UWAAAGA! - krzyknął.

Ale nie czuł strachu.

Obejmował przecież dziób statku swoich marzeń.

Wieloryb u dziobu mocno odbił się ogonem i skoczył, unosząc się w powietrze.

Lśniące, ogromne, zwinne i tajemnicze morskie stworzenie zakreśliło długi błyszczący luk nad głową Murray'a i wpadło do morza po przeciwnej stronie, niż się wynurzyło.

Connor śledził jego lot z otwartymi ustami i z niedowierzaniem. Shane zamknął oczy,

Galippi czekając na moment, w którym poczuje uderzenie tego olbrzymiego ciała. A profesor

po raz pierwszy od wielu lat pomyślał, że może nie jest powiedziane, że nie istnieją nadprzyrodzone zjawiska między niebem a ziemią.

Fala, która nastąpiła po skoku wieloryba, rzuciła statkiem w bok, lecz zaraz potem Metis poczęła z gracją sunąć po falach kolejnego prądu.

A gdy dziób się znowu podniósł, taniec wielorybów zakończył się tak samo niespodziewanie, jak się zaczął. Ich lśniące ciała zniknęły wśród fal, wiatr złagodniał, a

żagiel

się rozpostarł. Metis przestała się tak potwornie kołysać i na morzu zapanowała dziwna

cisza,

przerywana tylko ich krzykami.

- Hej, wszystko dobrze? Wszyscy są?

- Na dziobie wszystko dobrze! Przemoczeni i zadowoleni! A wy?

- Shane?

- Jeszcze żyję.

- Profesorze?

- Jeszcze nie umarłem!

Roześmieli się.

Potem padli na pokład, przemoczeni i bladzi od objawów choroby morskiej. Ze strachu tak im się ścisnęły żołądki, że nawet nie zdawali sobie sprawy, jak źle się czują. Shane opuścił ręce za burtę i trwał tak bezładnie niczym szmaciana lalka.

Mina zorientowała się, że ma trudności z chodzeniem: czuła lekkie jak piórko ciało, a serce podeszło jej do gardła. Connor był biały jak ściana i ledwo trzymał ster.

- Na tysiąc kominów! - huknął w tym momencie profesor Galippi. - To się dopiero nazywa morska wycieczka! Nie to co te głupie rejsy dla zblazowanych burżujów, co to

tylko

czekają na śmierć! - Po czym dodał zniżonym głosem: - Choć jeszcze jedna taka akcja, a padnę tu trupem!

- Widzieliście, jak skoczył? - wrzasnął Murray, który nie posiadał się z radości. -

Widzieliście?

Wszyscy widzieli, może z wyjątkiem Shane'a, który zamknął oczy.

W tym szalonym pędzie pośród wielorybów zwierzęta, statek i pasażerowie złali się w jedno. Doskonała równowaga siły, prędkości i wiatru.

- Baliście się? - zapytał Connor pozostałych, bo sam nie miał odwagi zadać sobie tego pytania.

- Czy ktoś wie, gdzie się znajdujemy? - spytała za to Mina, rozglądając się dokoła.

Ocean połyskiwał, a chmury wyglądały jak wyszywane przebijającymi przez nie promieniami słońca. Nie było już śladu łądu. Z jednej strony na horyzoncie widać było

białe

pierzaste obłoki, z drugiej niebo przysłańały długie granatowe cienie.

- Musimy wziąć mapę i określić dokładne położenie! - stwierdził Connor. -

Profesorze? Może pan to zrobić?

Mężczyzna wyjął z kajuty kapitana skrzynkę z narzędziami, wrócił na pokład i zajął się wyznaczaniem pozycji.

Błękit

W tym czasie reszta zabrała się do porządkowania swoich rzeczy i zmiatania za burtę

wody, która zalała pokład.

- Murray! - zawołał Connor. - Przejmiesz ster? Chciałbym sprawdzić, czy z Itaką wszystko w porządku.

Wiatr wokół nich całkiem ucichł i żagiel opadł na maszt. Metis dryfowała, niesiona przez rwący prąd, który pchał ją od rufy.

Connor pociągnął za linę Itaki, żeby ją do siebie zbliżyć, po czym wskoczył na dach swojej starej łodzi. Fontanny wody wypuszczanej przez wieloryby zniszczyły znaczną

część

ogródka, ale poza tym nie wyglądało na to, żeby były jakieś większe straty.

- A zatem, marynarze! - wykrzyknął po paru minutach profesor Galippi, spoglądając uważnie na kompas i inne urządzenia. - Posługując się moimi elementarnymi technikami

z

zakresu orientacji i nawigacji, doszedłem do wniosku, że... - Wstał i wziął się pod boki. -

Nie

mamy zielonego pojęcia, gdzie się znajdujemy! - I dopowiedział po cichu: - Czyli

właściwie

historia mojego życia. ALE! Nie traćmy nadziei! - kontynuował, już głośniej. - Skoro

słońce

jest po naszej lewej, a mój zegarek wskazuje godzinę... - Popatrzył na zegarek,

zmarszczył

brwi i potrząsnął nim. - A dokładniej mówiąc, wskazywał... bo wychodzi na to, że

właśnie

stanął... Stara cebula! Brunhilda zawsze mi powtarzała, żeby nie kupować tych rupieci!

Z Itaki odezwał się Connor:

- Mój zegarek też stoi!

W tym czasie reszta zabrała się do porządkowania swoich rzeczy i zmiatania za burtę wody, która zalała pokład.

- Murray! - zawołał Connor. - Przejmiesz ster? Chciałbym sprawdzić, czy z Itaką wszystko w porządku.

Wiatr wokół nich całkiem ucichł i żagiel opadł na maszt. Metis dryfowała, niesiona przez rwący prąd, który pchał ją od rufy.

Connor pociągnął za linę Itaki, żeby ją do siebie zbliżyć, po czym wskoczył na dach swojej starej łodzi. Fontanny wody wypuszczanej przez wieloryby zniszczyły znaczną

część

ogródka, ale poza tym nie wyglądało na to, żeby były jakieś większe straty.

- A zatem, marynarze! - wykrzyknął po paru minutach profesor Galippi, spoglądając uważnie na kompas i inne urządzenia. - Posługując się moimi elementarnymi technikami

z

zakresu orientacji i nawigacji, doszedłem do wniosku, że... - Wstał i wziął się pod boki. -

Nie

mamy zielonego pojęcia, gdzie się znajdujemy! - I dopowiedział po cichu: - Czyli

właściwie

historia mojego życia. ALE! Nie traćmy nadziei! - kontynuował, już głośniej. - Skoro

słońce

jest po naszej lewej, a mój zegarek wskazuje godzinę... - Popatrzył na zegarek,

zmarszczył

brwi i potrząsnął nim. - A dokładniej mówiąc, wskazywał... bo wychodzi na to, że

właśnie

stanął... Stara cebula! Brunhilda zawsze mi powtarzała, żeby nie kupować tych rupieci!

Z Itaki odezwał się Connor:

- Mój zegarek też stoi!

Shane zerknął na nadgarstek.

- Mój również. Na moim jest dziewiąta zero dziewięć.

- Dziewiąta jedenaście - powiedział profesor Galippi.

- Dziewiąta! - wrzasnął Connor ze swojego starego statku.

- Jak to możliwe, że zegarki stanęły? - zastanawiała się Mina. I odruchowo spojrzała na Murraya za sterem.

Jako jedyny wydawał się zupełnie spokojny. Nigdy w życiu nie miał zegarka i nie rozumiał, w czym problem.

- Stanęły - odparł.

- Wszystkie? - drążyła. - A dlaczego?

„Bo podążamy za Błękitem”, miał ochotę odpowiedzieć. Ale nie był tego taki pewien. I dlatego stwierdził:

- Bo dzięki temu możemy wrócić na kolaaAAAcję!

To ostatnie słowo zabrzmiało jak alarm. Murray właśnie zauważył coś dużego przed samym dziobem statku. Tak jakby pośrodku morza nagle znikąd pojawiła się wyspa.

- UWAAAGAAA! - krzyknął. I pociągnął do siebie prawy rumpel.

Metis skręciła, wykonała zwrot o siedemdziesiąt pięć stopni, lecz pchający ich prąd był zbyt silny, by statek mógł zmienić kierunek. I znajdowali się już o krok od brzegu.

Byli za

blisko!

- WSZYSCY NA ZIEMIĘ! TRZYMAAJCIE SIĘĘĘ! - zawołał Murray, napierając na ster całym ciężarem ciała.

Dziobnica Metis uderzyła o wyspę. Lecz nie było to uderzenie, jakiego się spodziewał Murray: kil nie zarył w dno, a szkielet statku się nie roztrzaskał. Dziób jedynie lekko się unióśł, natomiast bimsy podtrzymujące pokład odrobinę zaskrzypiały.

Wyspa się otworzyła.

Wpuściła kadłub Metis i spowolniła jego bieg. Murray poczuł, że coś trze o nadburcie, ale nie o podwodzie, część statku zanurzoną w falach. Tak jakby wyspa nie miała dna.

Metis jeszcze raz się zakołysała i w końcu całkowicie stanęła.

Murray puścił ster, osłupiały. Wirujący wiatr potargał mu włosy.

- Czy wy też widzicie to co ja? - zapytał Shane, wychylając się za nadburcie.

Murray zamrugał, kompletnie zdezorientowany.

Właśnie utknęli w gigantycznej wyspie pływających odpadów.

EDALUS PRESS

PrintingMachine, Press,

ROZDZIAŁ 26

PŁYWAJĄCA WYSPA
W KTÓRYM WYCHODZI NA TO, ŻE TROCHĘ ZA DUŻO RZECZY SIĘ
WYRZUCA DO MORZA I ŻE TRZEBA ZDECYDOWAĆ, CO Z NIMI ZROBIĆ
EDALUS PRESS

Printing Machine, Press, Type, Material, and Roller Manufacturers.

Wyspa odpadów ciągnęła się daleko jak okiem sięgnąć i powoli obracała wokół własnej osi. Śmieci tworzyły gąbczastą i zwartą masę, wysoką na nie więcej niż metr:

butelki,

słoiki, krzesła ogrodowe, stare telefony, szklanki, sztucce, torebki foliowe, buty, szmaty, zużyte telewizory, puszki, kartoteki, pończochy, żyrandole, ekspresy do kawy... tysiące przedmiotów, najróżniejszych kształtów i kolorów, zebrały się w tym miejscu, niesione

przez

prądy morskie, i zbiły w jedną całość.

Metis zanurzyła się w nie połową kadłuba i tak utknęła.

- Rany! Gdzie myśmy trafili? - zapytał Shane, na którym najwyraźniej ta kraina martwych rzeczy zrobiła największe wrażenie.

- Do tego, co pozostanie ze współczesnego świata... - mruknął z tłumioną złością profesor Galippi, przygnębiony widokiem tych wszystkich niepotrzebnych rzeczy. -

Podziękujcie panu Baekelandowi i firmie DuPont za przerażające wynalazki... - I dodał

po

cichu: - Czym byłby dziś świat bez bakelitu i nylonowych pończoch?

Connor wychylił się z pokładu Itaki i postawił stopę na odpadach. Te trochę się przesunęły, wbijając w niższe warstwy.

- Wciągnijcie mnie! - zawołał.

Murray rzucił mu linę przymocowaną do poleru - jednego z drewnianych słupków na pokładzie, do których przywiązuje się statek, gdy przybija się do brzegu - a Connor

wspiął się

po nadburciu i wskoczył na pokład.

Pływająca Wyspa

- Nie wiem, jak to się stało, że tu wylądowaliśmy... - warknął. - Ale nie mam najmniejszego zamiaru tutaj tkwić!

- Zablockowani przez pływające wysypisko! - wymamrotał profesor Galippi. - To byłby dobry tytuł na śmieciowy bestseller. HA, HA! - I dodał: - Wybaczcie mój cynizm.

- Wygląda na to, że się rusza, po troszeczkę... - zauważyła Mina, przyglądając się zbiorowisku puszek, butelek i pończoch. Przedmioty lekko ocierały się o poszycie, nieznacznie się przesuując i dopasowując do boków statku.

- Przypuszczam, że coś podobnego spotkało polarników - stwierdził profesor Galippi - gdy próbowali rozkruszyć pokrywę lodową żelaznymi taranami lodołamaczy, aby dostać

się

na biegun.

- I dotarli tam? - zapytał Shane.

- Statkiem oczywiście nie - odparł profesor. - Jedyne, co mogli zrobić, to siedzieć tam i czekać, aż lód stopnieje, starając się nie umrzeć z głodu, z zimna, a może i się nie

pożądać...

- Niezależnie od tego, jaki prąd morski utworzył to miejsce... - przerwał mu Connor - my się z niego wydostaniemy!

- Co chcesz zrobić? - zapytał go Murray.

Z pokładu Metis Connor rzucił na Itakę drugą linę, mówiąc:

- Mamy holownik z napędem silnikowym. Stary, ale solidny. Po prostu nas stąd wyciągnie.

- Larry Huxley napisał, że druga próba przed przybyciem do Kilmore Cove to Pływająca Wyspa... - odezwała się wtedy Mina.

- No i? - spytał Connor.

- Chyba właśnie do niej dotarliśmy - wymamrotał Shane.

Wyjął z plecaka piłkę tenisową i rzucił ją na wyspę.

Piłka odbiła się parę razy, a potem utknęła, pięknie wyeksponowana między butelkami i słoikami, pięćdziesiąt kroków od nich.

- W wiadomości nazywa ją próbą wyobraźni - dokończyła Mina.

- Naprawdę nie rozumiem, jakiej wyobraźni potrzeba w miejscu takim jak to - uciął krótko Connor.

Z pomocą innych przywiązał żagiel, potem uwiesił się na cumie rufowej i zjechał po niej na Itakę. Zszedł pod pokład i odpalił silniki.

Reszta wciąż patrzyła ze zdumieniem na tę wyspę mieniającą się tysiącem barw.

- Ciekawe, ile lat było trzeba, żeby powstała... - zastanawiał się Murray.

- Trzy miesiące i ten nowy supermarket, który tak lubicie? - zażartował profesor Galippi.

- Tu muszą być miliony butelek - powiedział Shane. - Miliony butelek, butów i...

- Nie ma zabawek - zauważyła w tym momencie Mina.

Spojrzeli na nią.

Z Itaki odezwał się Connor:

Pływająca Wyspa

- Jeszcze minutka i was stąd wyciągnę!

Mina pokazała na bezkształtne skupisko rozrzuconych na morzu odpadów i powtórzyła:

- Nie ma zabawek: piłek, lalek, żołnierzyków... nawet żadnej gumowej kacuszki. To dziwne, nie sądzicie?

- Wiele lat temu - odezwał się Murray - pewien statek towarowy stracił podczas burzy dwadzieścia osiem tysięcy gumowych kacuszek, które od tej pory krążą po świecie...

- Jeśli to jedna z tych twoich opowieści grozy, Murray, to od razu powiedz, żebym mógł się przygotować - skomentował Shane.

- To nie jest zmyślona historia - powiedział cicho chłopak. - To wydarzyło się naprawdę. Czytałem o tym w jednej książce*.

- Nie wierz książkom - powiedział z uśmiechem profesor Galippi.

- W każdym razie tak, to dziwne, Mina. Masz rację - ciągnął Murray. - Na tej wyspie nie ma zabawek.

Itaka ryknęła i wypluła do wody oleistą plamę paliwa. Zaczęła pracować na pełnych obrotach i cofać; liny napięły się, a polery, do których były przywiązane, zatrzeszczały.

Cały

kadłub Metis się napreżył, a wodnica podniosła się

* Przypis tłumacza rękopisu. Przypuszczam, że chodzi o książkę Donovana Hohna MobyDuck: The True Story of 28,800 Bath Toys Lost at Sea [MobyDuck: Prawdziwa

historia

28 tysięcy kacuszek zaginionych na morzu]. ze zbitej masy odpadów. Lecz statek nie przesunął się do tyłu ani o milimetr.

Connor dodał jeszcze gazu, naciągnął liny do granic możliwości, aż rufa holownika usiłującego wydostać Metis z wyspy opadła niemal do poziomu wody. Statek jęknął

niczym

zranione zwierzę, przeciągnął się, stęknął, lecz dalej zawzięcie tkwił w otaczającym go plastikowym bagnie.

- Przestań już! Dostyc, Connor, bo inaczej wszystko się rozleci! - wrzasnął stojący za sterem Shane.

Oszołomiony Connor wyłączył silniki. Jak to możliwe, żeby te odpady były tak zbite? Moc, z jaką pracowały silniki, wystarczyłaby do holowania tankowca!

- Może powinniśmy się zanurzyć i sprawdzić, co jest pod spodem! - krzyknął do pozostałych.

- Nic nie ma pod spodem - mruknął pod nosem profesor.

Murray spojrział na niego. Od kiedy ugrzęźli na wyspie, wyraz twarzy mężczyzny nie zmienił się ani o jotę. Tony Galippi pozostał spokojny, sarkastyczny, jakby od razu zrozumiał,

o co w tym wszystkim chodzi.

Connor natomiast był coraz bardziej wściekły. Wskoczył na dach Itaki, pogrzebał w narzędziach i wyciągnął dwa długie harpuny.

- Uważajcie! - ostrzegł, zanim cisnął je na pokład.

Harpuny odbiły się, brzęcząc groźnie.

- Nie wydaje się pan przekonany, profesorze - zauważył Murray.

- Naprawdę? O! Faktycznie nie jestem - odparł. - Po co tak się upierać, żeby zawracać, skoro dotarliśmy aż tu? Nie sądzę, żeby ta wyspa miała nas wypuścić.

- Nie?

- Nie - odpowiedział spokojnie profesor. - To wieloryby nas poprowadziły. To przez nie zoczyliśmy z kursu, aż trafiliśmy na prąd, który nas tu przygnał. I moim zdaniem dotarliśmy dokładnie tam, dokąd chciały, żebyśmy dotarli.

Murray też tak myślał.

- Ale dlaczego, według pana?

- Jak to dlaczego? - zaśmiał się profesor Galippi. - To Pływająca Wyspa stworzona z odpadów. A my jesteśmy tym samym. To znaczy ty, ja i cała reszta. Niepożądanymi, bezużytecznymi, pstrokatymi stworzeniami... które gdy tylko spotkają kogoś podobnego

do

siebie, zaraz do niego przylegają, żeby trzymać się w kupie. Tę tutaj możemy nazwać

wyspą

kolorowych kubeczków. Na lądzie nazwalibyśmy ją miastem. - A potem wymamrotał: - I

jak

już się tam dostaniesz, to nie ma odwrotu. ALE! Jest jedna rzecz, która odróżnia nas od teflonowych pudeł - powiedział głośniej.

- Jaka?

- To, o czym mówiła twoja przyjaciółka: wyobraźnia. Trzeba więcej wyobraźni.

- Więcej wyobraźni?

- Ależ tak! - odparł. - Jeśli nie możemy ruszyć do tyłu... dlaczego nie spróbujemy iść do przodu?

ROZDZIAŁ 27

TELEFON NA ŚRODKU MORZA
W KTÓRYM DOWIADUJEMY SIĘ,
ŻE KULTURA OSOBISTA WYMACA, ABY ZAWSZE ODBIERAĆ TELEFON.
NAWET GDY JEST NA KOSZT ODBIORCY

PrintingMachine. Press, Ty*«, Material, ana Roller Manufacturers.

Connor nawet nie chciał o tym słyszeć.

Próbował na wszelkie sposoby wyciągnąć Metis z tej brei zużytego plastiku, ale jego wysiłki były daremne. Kiedy się w końcu poddał, Murray i profesor Galippi wyjęli z

dulek

dwa wiosła, wychylili się za dziób i użyli ich do uwalniania dziobnicy z odpadów.

Odepchnęli jakąś puszkę i duży telewizor, po czym nastąpił gwałtowny wstrząs i Metis przesunęła się o parę metrów do przodu.

- Widzieliście? - zauważyła Mina. - Rusza się!

- Chcę to zobaczyć! - wykrzyknął Connor z niedowierzaniem.

- Tak, tak! Profesor ma rację! - ucieszył się Murray. - Weźcie wiosła i pomóżcie nam!

Posługując się wiosłami jak tyczkami i harpunami, przesunęli Metis o jakieś dwadzieścia metrów w głąb Pływającej Wyspy. Odpady leniwie rozstępowały się przed dziobnicą i równie powoli zamykały na rufie.

Później statek znów się zatrzymał.

- Mówiłem, że to nie zadziała - bąknął Connor. - I teraz jeszcze bardziej ugrzęźliśmy.

- Chwilę pokrzyczał, uderzając harpunem sterty butelek. Zrzucił drabinkę i zszedł aż do poziomu morza. Wyciągnął nogę, sprawdził powierzchnię wyspy, a potem, nie puszcżając drabinki, zaczął po niej iść. - Niech to szlag, wytrzymuje ciężar mojego ciała! Jest zbita:

zbita

masa świństwa. To oznacza, że aby zawrócić, będziemy musieli kopać!

- Obawiam się, Connor, że to nie to należy zrobić - powiedział profesor Galippi z bardzo smutnym wyrazem twarzy.

Chłopak spojrział na niego, starając się utrzymać równowagę na odpadach.

- A, nie? A to dlaczego?

- Bo sędzę, że tak jak teraz nie ruszymy ani do przodu... ani do tyłu.

- A co powinniśmy zrobić?

- Nielatwo mi to mówić - odpowiedział profesor Galippi. - Ale sędzę, że problemem jest... twoja łódź.

Pokazał na Itakę, przycumowaną do rufy Metis. Kadłub holownika napierał na plastikowy brzeg Pływającej Wyspy, w której nie zdołał utworować sobie drogi tak jak

Metis.

- Wyspa nie chce... - dokończył słabym głosem profesor.

Connor poczerwieniał na twarzy.

- Co to za bzdury? - krzyknął. - Co znaczy, że wyspa nie chce? Niby dlaczego Itaka miałaby się nie przedostać? Czy wyście wszyscy poszaleli? - A że nikt z pozostałych nie odpowiadał, Connor ciągnął: - Nie posuwamy się do przodu, bo się po prostu nie da! -

Słowa

uwięzły mu w gardle. Pokazał na Itakę. - To... bez sensu! - załkał.

Murray przypuszczał, że profesor ma rację. Ale serce mu się krajało. Itaka to dom

Connora. Była dla niego wszystkim. Każda rzecz, która do niego należała, znajdowała się

na

tej łodzi.

- Nie mogę jej tam zostawić - wyszeptał chłopak.

- Nie musisz płynąć dalej - powiedział profesor. - I może rzeczywiście mój pomysł to zwykła niedorzeczność. Może powinniście wszyscy zejść ze statku i zostawić mnie

samego

na tej wyspie niepotrzebnych rzeczy. Dlaczego nie? Wróćcie na Itakę i zobaczymy, co się stanie. Możecie uruchomić silniki i zawrócić, a ja...

W tym momencie zadzwonił telefon i Galippi zamilkł.

„Czy nam już kompletnie odbiło?” pomyślała cała reszta.

W powietrzu nie było czuć najmniejszego podmuchu wiatru. Po jednej stronie horyzontu obłoki postrzępiły się na długie, płaskie chmury, natomiast obłoki po drugiej stronie zrobiły się szare i gęste. Morze drżało między odpadami. I bez cienia wątpliwości wyraźnie było słychać odgłos dzwoniącego telefonu. Donośny, powtarzający się dźwięk podobny do tego, jaki wydają dzwony przy bojach.

- Tam! - zawołała Mina.

Wskazała miejsce położone pośród odpadów, sto kroków dalej: między różnymi puszkami i kawałkiem stolika stał stary telefon z czarnego bakelitu. Dzwonił.

Na jego widok Murray uśmiechnął się szeroko.

Profesor Galippi szepnął:

- Wyobraźnia, wyobraźnia, dzieci.

Za to Connor jeszcze bardziej się wściekł.

- To po prostu niemożliwe... - mruknął.

Po czym zaczął iść po odpadach, najpierw ze złością, a później coraz zuchwalej.

- Connor, nie! - krzyknęli na niego.

- Uważaj!

- Weź linkę!

Lecz on się nie zatrzymał. Nie spoglądając ani na Metis, ani na Itakę, długimi krokami dotarł do telefonu z czarnego bakelitu. Był to jeden z tych naściennych modeli, z tarczą numeryczną i dzwonkiem zaraz pod słuchawką.

Dzwonił.

I dzwonił.

Jakby dzwonił od zawsze.

- Już idę! - krzyknął odruchowo Connor. Gdy tylko zdał sobie sprawę z tego, co powiedział, uśmiechnął się na myśl o absurdzie całej sytuacji. Telefon miał czarny kabel biegnący pod Pływającą Wyspą.

Connor podniósł słuchawkę i głęboko odetchnął.

- Witaj, przyjacielu podróżniku - odezwał się łagodny kobiecy głos. - Słuchasz właśnie automatycznej wiadomości nagranej przez Zgromadzenie Miejsc z Wyobraźni. Znajdujesz się na linii granicznej. Jeśli zdecydujesz się kontynuować podróż, czekają cię przygody, wyprawy, zagadki i tajemnice, lecz również nieszczęścia, rozstania, boje i śmiertelne pułapki. Każdy krok poza tą linią robisz na własne ryzyko i na własną odpowiedzialność. Zgromadzenie Miejsc z Wyobraźni nie ponosi żadnej

odpowiedzialności

za twoje bezpieczeństwo ani tym bardziej nie może zagwarantować, że jeśli pewnego dnia wrócisz do domu, ktoś jeszcze będzie o tobie pamiętał.

Chwila ciszy, a potem:

- Witaj, przyjacielu podróżniku. Słuchasz właśnie... - zaczęła znowu nagrana taśma. Kto zarejestrował te słowa? I kiedy? I jak mogły dotrzeć aż tam? - zastanawiał się Connor. Serce biło mu jak oszalałe. Zgromadzenie Miejsc z Wyobraźni? Przygody? Wyprawy? To było to, co zawsze chciał robić, najlepiej w swojej własnej grze komputerowej.

Ale na pewno nie... w rzeczywistości.

Powoli, lekko drżącą ręką, odłożył słuchawkę.

Teraz telefon milczał.

- NO I CO? - krzyknęli do niego z Metis.

Connor popatrzył na swoich przyjaciół. Murray, intuicja. Mina, inteligencja. Shane, siła. Profesor Galippi, nieprzewidywalność. Wydawało się, że mają wszystkie cechy potrzebne, by wyruszyć w kolejną ze swoich przygód.

Takich jak te, które tyle razy wspólnie przeżywali na Itace.

Stary holownik lekko się kołysał, nawet nie podejrzewając, co się wokół niego dzieje.

„Rzeczy nie myślą. Ale my zawsze myślimy o rzeczach”, powiedział sobie w myślach Connor.

„Przywiązujemy się do tych, które zdobyliśmy. Do tych, które do nas należą.

Bronimy ich i chronimy je. I to wszystko nas wyczerpuje i obciąża”.

Nieznośna ciężkość dobrobytu.

Stojąc na lekkiej warstwie porzuconych odpadów, Connor poczuł, jak łyzy szczypią go w oczy.

Itaka. Dom, który przywędrował za nim aż tutaj. Na linię graniczną.

Z jednej strony codzienny świat, tak jak powiedział profesor Galippi. A z drugiej...

Connor się odwrócił.

Co z drugiej strony? Pływające odpady aż po sam horyzont?

- CONNOR! - krzyknęli ze statku.

Potem coś przyciągnęło jego uwagę.

W kałużę morskiej wody, zaraz koło telewizora, między butelkami i opakowaniami po jajkach, pływała żółta gumowa kacuszka.

Connor uśmiechnął się do niej. I zdawało mu się, że ona odwzajemniła uśmiech.

Miała duże białoczarne oczy i wypłowiałe od słońca czerwone policzki.

Chłopak schylił się po nią i spojrzał jej prosto w oczy.

- A ty co na to, kacuszko? Jakikolwiek mój kolejny krok poza tę linię będzie słuszny czy niesłuszny? A dla nich? Będzie słuszny czy tak samo niesłuszny?

Kacuszka nie odpowiedziała.

- Dom czy nie dom?

- COOONNOOOR!

Connor delikatnie nacisnął boki kacuszki, a ona odpowiedziała:

- Kwak!

Connor uśmiechnął się smutno.

- Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

Podniósł rękę, aby dać znać tym na statku, że wraca.

- Kto dzwonił? - pytali wszyscy, wciągając go na pokład.

On spojrzał na profesora i odparł:

- Nikt. Ale myślę, że ma pan rację, profesorze. Musimy odciąć cumy rufowe i...

- A Itaka? - zapytał Murray.

Connor go zignorował. Zdecydowanym ruchem pokazał na rozciągający się przed nimi horyzont i powiedział:

- I spróbować przedostać się przez wyspę.
Później podał Minie kaczuszkę.
- Myliłaś się. - Uśmiechnął się do niej. - Strefa zabaw jest przed nami.
Zanim opuścił Itakę, Connor przeniósł na Metis wszystko, co się dało. Drzewko cytrynowe ze swojego ogródka umieścił między okuciami na rufie, obok jednego ze sterów, a twarde dyski włożył do cynkowej skrzynki, w której leżały wcześniej dzienniki Ulyssesa Moore'a.
Gdy zostawiał swoją łódź, miał w oczach typową dla sierot bezlitosną determinację. Gdy tylko Itaka się odzepiła, Metis znów zaczęła przeć do przodu. Starali się trzymać kurs, używając kompasu Murraya, lecz sposób, w jaki statek torował sobie drogę wśród odpadów, zdawał się rządzić regułami, które nie miały nic wspólnego z orientacją. Spędzili parę godzin, zmieniając się przy wiosłach i harpunach, tak aby ci, którzy nie byli akurat zajęci przebijaniem się przez odpady, mogli coś szybko przekąsić.
- Czy myślicie, że uda nam się kiedyś wrócić do domu? - zapytała w pewnym momencie Mina.
W pamięci Connora odżył głos usłyszany w telefonie z czarnego bakelitu, lecz nic nie powiedział.
W miarę jak postępowała ich powolna eksploracja Pływającej Wyspy, odpady się zmieniały, aż w końcu Metis musiała się przekopywać przez lalki, traktory, dinozaury i modele pociągów. Gdy tylko dotarło to do profesora Galippiego, westchnął przeciągle i poszedł wyjąć ze swoich bagaży czerwony i niebieski samochodzik. Spojrzał na nie po raz ostatni, pocałował czule w przednią szybę i powściągliwym ruchem cisnął do innych wyrzuconych zabawek.
- Dlaczego pan to zrobił? - zapytał go Connor, poruszony siłą tego gestu.
- Bo tak jest lepiej... - odparł profesor. Oczy mu zwilgotniały.
- Były bardzo... ważne?
- O, nie. To tylko dwa stare samochodziki - skłamał Tony Galippi. - I skomplikowane wspomnienia starego człowieka.
- Czym skomplikowane?
- Tym wszystkim, co wciąż pamiętasz, nawet gdy już nie chcesz, chłopcze... - Staruszek zagadkowo się uśmiechnął.
- Morze! - krzyknęła Mina, która dostrzegła je jako pierwsza.
- Thalatta! Thalatta! - powtórzył za nią profesor. Był to grecki odpowiednik tego słowa. I na dźwięk tego języka Metis wyrwała się do przodu.
Otwarte morze znajdowało się paręset metrów od nich, a zaginione zabawki, które ciasno oplatały kil, zaczęły się przeredzać, by wypuścić statek w dalszą podróż. Murray i Shane uderzyli jeszcze kilka razy harpunem, odsuwając armię szarych żołnierzyków i w końcu wypłynęli na pełne morze. Gdy tylko poczuli, że statek znów kołysze się na falach, Connor polecił odwiązać linki żagla.
- Wracamy do domu! - krzyknął, stając za sterem.
Ale wcale nie miał zamiaru wracać.
Tym razem pozwolił, żeby to statek wybrał kierunek. Metis ustawiła się z wiatrem, wsadziła w niego nos, przepłynęła parę fal w bajdewindzie, a potem nagle ją zniosło, tak

że

obróciła się rufą do wiatru, nabierając prędkości.

- W drogę! - zawołał z entuzjazmem Murray. - Patrzcie na żagiel!

- Żadnych wielorybów czy innych strasznych zwierząt pod nami? - spytał Connor.

- Żadnych, kapitanie! - odpowiedział odruchowo Murray.

Connor dumnie wypiął pierś i dostroił się do ruchu statku, krzyżąc:

- Pod pełnymi żaglami! Ku nieznanym łądom!

Cały szkielet Metis drżał ze szczęścia, a dziobnica pruća fale jak brzytwa władcy mórz.

- Do Kilmore Cove! - dodał Murray.

Connor spojrzał w jego stronę. Obiecał sobie, że przy pierwszej nadarzącej się okazji opowie mu, co tak naprawdę usłyszał, gdy odebrał ten telefon, lecz później wiatr niespodziewanie zmienił kierunek, niebo opadło na nich niczym całun i zanim zdążyli się nacieszyć prędkością otwartego morza, pochłonęła ich gęsta warstwa mgły.

Nie rozumiem... - szepnęła Mina. - Nie powinno być już żadnych prób do przejścia...

ROZDZIAŁ 28

STATEK WIDMO

Otuliła ich ciepła i wilgotna kołdra rozcieńczonego mleka. Wiatr nagle ucichł i Metis płynęła ze zwiotczalym żaglem, dryfując z prądem. Jej prędkość spadła do paru węzłów, mimo to była wciąż dość wysoka i niebezpieczna ze względu na słabą widoczność. Od

czasu

do czasu mgła się rozpraszała, odsłaniając ulotne prześwity otwartego morza.

W jednej z takich chwil Murrayowi wydało się, że na prawo od ich linii kursu dostrzega w oddali archipelag zielonych wysp. Lecz zaraz potem Metis pochłonęły

mleczne

opary, które nieruchomo unosiły się w powietrzu.

Gdy tylko zauważył to, co wyglądało na odległe wybrzeże, Murray wyjął z kieszeni znaleziony w sekretarzyku złoty kompas, aby sprawdzić, w jakim kierunku leżał ten domniemany ląd, a chwilę później także kierunek, w którym płynęli. Igła kompasu

wskazała,

że znosi ich na południowy południowy wschód i że w związku z tym wybrzeże znajduje

się

po przeciwnej stronie.

- Na południowym wschodzie jest wolny od mgły odcinek wybrzeża! - krzyknął przez pokład, kręcąc się we mgle i ściskając w rękach kompas. - Connor! Cała w lewo!

- Jesteś pewien?

- Tak!

Connorowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Opuścił ster i pociągnął go do siebie, robiąc zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Metis zakołysała się i przechyliła

na

falach. Zwolniła tak, że niemal się zatrzymała, i popłynęła pod wiatr.

- Stoimy! - krzyknął Connor. I była to prawda: tylko słaby prąd niósł ich teraz w kierunku przeciwnym do wybrzeża, które dostrzegł Murray. A wiatr był za słaby, żeby sterować statkiem. - Chwyćcie za wiosła! - polecił.

Murray i Galippi z jednej strony oraz Shane i Mina z drugiej opuścili wiosła do wody.

- Oo! RAZ - krzyknął Murray, nadając tempo.

Wcale nie było łatwo pchać te ogromne wiosła, które wyglądały niczym pajęczce odnóża. A jeszcze trudniej było zanurzać je w tym samym momencie z obydwu burt. Metis ruszyła do przodu, płynąc zygzakiem wśród fal, spowita coraz gęstsza mgłą.

- Profesorze, ja wezmę wiosło, a pan niech przyjdzie za ster! - krzyknął Connor, zachłystując się ciepłą i wilgotną mgłą.

- A niby dlaczego? - wybuchnął profesor gdzieś z przodu pokładu. - Za kogo ty mnie masz, za staruszkę bez ikry i krzepy? Skup się na kursie, kapitanie Connor, i wyprowadź

nas

stąd!

Connor usłyszał dreptanie po pokładzie, po czym wyrósł przed nim Murray.

- Południowy wschód - przypomniał, podając mu kompas. I zniknął.

- Oo!

- Oo!

W pewnym momencie, między jednym a drugim uderzeniem wiosła, usłyszeli dochodzące z oddali wycie. Jakiś nadzwyczajny, posępny dźwięk.

Przestali wiosłować.

- Też to słyszeliście?

- Tak. Ale co to było?

- Brzmiało jak róg mgłowy! - odezwały się ich uwięzione we mgle głosy.

- Odpowiedzmy na sygnał!

- Może lepiej nie. Poczekajmy!

Zaczęli nasłuchiwać. Morska woda skapywała z piór podniesionych wiosła. Metis powoli dryfowała.

Dobiegł ich kolejny dźwięk, tak samo głośny, lecz bardziej przenikliwy i piskliwy.

- Znowu róg!

- Ale inny!

- I z przeciwnej strony.

- Płyniemy dalej! - rozkazał Connor.

- Oo!

- Oo!

Przez następne parę minut nie rozlegał się dźwięk żadnego z rogów, a uczucie oczekiwania tak się spotęgowało, że stało się nie do zniesienia. Słysząc tylko

oddechy

załogi i plusk wiosła.

Aż w pewnym momencie Mina usłyszała głos. Zatrzymała się.

- Słyszałeś? - zapytała siedzącego obok Shane'a.

- Nie. A co miałem usłyszeć?

- To było jak... - Nie dokończyła zdania, myśląc, że się pomyliła. - Nic - powiedziała.

Znów uderzyli wiosłami.

- Głosy! - wykrzyknął we mgle profesor Galippi po drugiej stronie pokładu. - Wy też je słyszycie?

- To mężczyzna! - zawołał Connor z za steru.

Uderzenie wiosła.

- Mylisz się! - odparł Murray. - To kobiety!

- Oo!

Shane nic nie słyszał. Czuł tylko gęstniejącą mgłę, która stawała się coraz bardziej dusząca i wilgotna i wiła się między jego stopami.

- Ja ich nie słyszę! - krzyknął, a jego głos przepadł we mgle.

- To mój ojciec! - powiedział niespodziewanie Murray. Wstał z ławki i mówił dalej: - Wy go nie słyszycie? To głos mojego ojca. I... woła mnie po imieniu!

- Murray! - krzyknął do niego Connor. - Wróć na miejsce! Nie mogłeś słyszeć głosu ojca!

- Mówię wam, że słyszałem! - upierał się Murray.

- Brunhilda? - zapytał chwilę potem profesor Galippi. - Brunhildo, to ty? Co mówisz, moja droga?

- Profesorze!

Shane usłyszał rozlegające się obok niego kroki na pokładzie.

- Szlochają! - szepnęła Mina.

- Kto szlocha? - zapytał ją Shane. - Ja nic nie słyszę.

- Dzieci, Shane! Tu, obok statku, są szlochające dzieci.

Shane złapał ją za nadgarstek.

- Mina! Nie ma żadnych szlochających...

Przyciągnął ją do siebie. Mina miała zamknięte oczy, tak jakby spała, lecz nie przestawała mówić.

- Mówię ci, że szlochają, Shane. To dzieci...

Chłopak próbował nią potrząsnąć, lecz nie reagowała.

Kolejne kroki na pokładzie.

- Brunhildo! - zawołał znowu profesor Galippi, tym razem bliżej.

- Nie znam was... - odezwał się głos Connora. - Kim jesteście?

Metis nieznacznie skręciła i Shane domyślił się, że jego przyjaciel odszedł od steru. Bez chwili namysłu przystąpił do działania. Musiał coś zrobić, nie czekając na polecenia.

Podniósł ciało oziępszej Miny i skierował się do kajuty kapitana.

- Puść mnie, Shane... - bredziła Mina, bezwładnie poruszając się w jego ramionach. - Tam są dzieci, które mnie potrzebują. Shane...

Próbując się nie zastanawiać, czy to, co robi, ma sens czy nie, Shane położył Minę w kajucie i zamknął drzwi. Po omacku wrócił na pokład, gdzie trafił na profesora

Galippiego

pokazującego mgłę za burtą.

Statek widmo

- Już idę, Brunhildo... wytrzymaj! - mamrotał.

Shane szarpnął go, a profesor prawie nie stawiał oporu. On też miał zamknięte oczy. Zaprowadził go tam gdzie Minę, a gdy otworzył drzwi, żeby zamknąć go w środku, musiał odepchnąć dziewczynkę, która w tym czasie wstała i chciała wyjść.

- Puść nas, Shane!

- Tak, puść nas!

Shane usłyszał plusk wody. Zmroziło go. Zamknął drzwi kajuty i pobiegł na pokład, aż do dziobu. Murray stał na nadburciu z ręką wyciągniętą przed siebie i właśnie wrzucił

do

morza swoje wiosło. Mamrotał coś w odpowiedzi na głos swojego taty.

- Wiem, że jesteś niewinny. Wiem, wierzę ci, nie mów tak!

Shane objął go od tyłu i delikatnie wyprowadził z dziobu. Kiedy wrócił do kajuty

kapitana, Mina i profesor Galippi walili pięściami w drzwi.

Później poszedł po Connora. Znalazł go przyciśniętego do jednego ze sterów, jak bredził z zamkniętymi oczami:

- Nigdy wcześniej was nie spotkałem... nie wiem, kim jesteście... Jak mam wam uwierzyć?

Shane'owi dużo trudniej było go stamtąd zabrać. A kiedy wreszcie udało mu się oderwać go od steru, spod opuszczonych powiek Connora poleciały łzy.

- Przykro mi, Connor... Przykro mi... - powtórzył Shane.

Connor był ich odważnym kapitanem, Shane bardzo dobrze o tym wiedział. Lecz najwyraźniej mgła potrafiła znaleźć i jego słaby punkt. Wszystkim im mąciła w głowach. Kiedy Shane krążył po pokładzie, mgła zaczęła się zagęszczać także wokół niego. I spokojnemu chłopcu zdało się przez chwilę, że tym razem to on słyszy jakieś syczące

głosy.

- Sio! Precz! - krzyknął, machając jedyną wolną ręką. - Uciekajcie stąd! Wiem, czym jesteście! Wcale się was nie boję!

W rzeczywistości Shane nie wiedział i był przestraszony. Pomyślał, że ta mgła jest po to, by strwożyć nieustraszonych i zniweczyć stanowczość odważnych. I może właśnie z

tego

powodu on na początku nic nie słyszał: bo wiedział, że okropny z niego cykor.

Ale mgła sprawiła, że nabrał odwagi, a gdy tylko wykazał się męstwem, jego też zaczęła dręczyć. Shane'owi przyszły do głowy syreny, stworzenia wyobrażane jako

kobiety z

ogonem ryby, które swoim śpiewem wabiły marynarzy, po czym zatapiały statki, a załogę pożerały.

Nie puszczać ręki Connora, w gorączkowym pośpiechu poszukał jakichś lin, a w tym czasie pomyślał, że być może wybrzeże, które widział we mgle Murray, to skały zamieszkane przez syreny. A rogi mgło we?

I w tym momencie, jakby go przywołał, rozległ się jeden z rogów, o niskim i smętnym dźwięku, który wzbudził w Shanie takie przerażenie, że chłopak zdwoił wysiłki.

- Przepraszam... bardzo was przepraszam... - powiedział do swoich przyjaciół, gdy okręcał im liną nogi w kostkach.

Oni lekko protestowali, poruszając się jak lunatycy.

Lecz Shane nie tracił animuszu i kontynuował.

- Wypuść nas, Shane!

- Chcemy iść im pomóc!

- To moi rodzice!

Shane ich zignorował, związał do końca, zamknął w kajucie i dla większej pewności przywiązał również klamkę.

- Przekłete opowiadania! - wykrzyknął, biegnąc potem do sterów. Mgła zaczynała szczypać go w uszy, a on nie mógł przestać myśleć o opowiadaniu Edgara Allana Poe'go, o statku wpadającym w wir bez dna. Gdy chwycił za stery, serce waliło mu jak młot. „A teraz?”, powiedział do siebie w myślach. „Jeden człowiek za sterami”.

Jego przyjaciele nie przestawali dobijać się do drzwi

I błagać, żeby ich wypuścił.

Drugi róg, ten przenikliwy i piskliwy, odezwał się po jego lewej stronie. Brzmiał jak wołanie konającego zwierzęcia.

Shane uderzył nogą o złoty kompas Murraya, który Connor zostawił przy sterach.

Wziął go, popatrzył i potrząsnął głową.

Musieli się stamtąd wydostać. Nieważne w jakim kierunku.

- Shaaane - wyszeptała wtedy wyraźnie otaczająca go mgła. - Shaaane!

Lecz i tym razem chłopak postanowił nie dać się zastraszyć. I wiedział, co powinien zrobić. Aby się nie bać, wystarczyło przestać myśleć.

I słuchać rozkazów.

A skoro nie było żadnych rozkazów, wymyślić je sobie.

Pociągnął prawy ster, ustawiając Metis pod prąd.

- Shaaane!

Roześmiał się, przerażony.

- Stać cię na więcej, mgło nieudaczników! - podpuścił ją Shane.

Wydawało mu się, że słyszy głos swojego ojca. A ojciec zawsze budził w nim

nabożny strach. Ale nie jego głos. Zawsze bał się jego milczenia i tego, że nigdy z nim

nie

rozmawia.

Wciąż mocno ściskając prawy ster, wolną ręką odwinął linę przytrzymującą żagiel.

Jego żagiel.

Żagiel, który nazywał się...

- Odwagi! - krzyknął. - Chwytaj wiatr i zabierz nas stąd!

Wiatr zawiał i żagiel trzasnął.

- ODWAGI! - wrzasnął Shane.

Metis wyrwała się do przodu, wpadając na fale. Piana prysnęła na pokład.

- DALEJ, NAPRZÓD! - krzyknął znowu Shane.

A potem usłyszał dobiegające sprzed dziobu posępne nawoływanie rogu. Zaśmiał się,

bez wahania, a Metis się go posłuchała. Niesiony siłą jej woli, żagiel, zbierając wiatr

dochodzący nie wiadomo skąd, zaczął się nadymać i sunąć we mgle. Coraz szybciej.

Shane poczuł, jak cały szkielet statku ożywa pod jego palcami, i było to oszałamiające

doznanie. Puścił ster i spojrzał na mgłę, która rwała się na kawałki. Jej obłoczki

stopniowo się

rozpadały, a wraz z nimi uwięzione wewnątrz szepty.

- Cały czas prosto - powiedział wtedy cicho chłopiec. - I zaraz się stąd wydostaniemy!

Metis stanęła dęba na falach, prując je w pióropuszech piany. Runął w dół i znowu się uniósł.

Ostatnia smuga mgły nagle się rozproszyła.

- Taaak!

I dokładnie w tym momencie oczom Shane'a ukazała się ogromna bryła żaglowca.

Ledwo zdążył zauważyć trzy maszty, wanty i szare żagle i usłyszeć głęboki, ponury

dźwięk

nawołującego rogu. Metis z całą prędkością pędziła prosto na niego. Nie było pola do manewru.

Shane pomyślał, że to koniec.

Strach zdobył nad nim przewagę.

Lecz również tym razem, aby go przewyciężyć, Shane postanowił nie myśleć.

Wiedział, że dziób jest najbardziej wytrzymałym elementem statku, dlatego trzymał ster całkiem prosto.

Choć oznaczało to, że trafi w sam środek żaglowca, który właśnie się przed nim pojawił.

Trzymał ster prosto... z szalonym zamiarem uderzenia w okręt.
- Cały czas prosto! - syknął przez zęby. A gdy na następnej fali Metis uniosła się tak, że niemal poszybowała w powietrze, krzyknął: - UWAGAAA! UDERZYMY
WWAAAS!

ROZDZIAŁ 29

WILK MORSKI w KTÓRY M DOWIADUJEMY SIE, ŻE ME WSZYSCY
MARYNARZE OPOWIADAJĄ O SWOICH W YCZYNACH I ŻE AWET W IEL.KI
ŻAGLOWIEC MOŻE SIĘ ZAMIENIĆ W ŁUPINKĘ
PRESS *_*

PrintingMachiii?. Press, Type, Materiał, and Roller Manufacturers.

Kapitan Upiora, bo tak nazywał się żaglowiec, za późno zdał sobie sprawę z natarcia
wylaniającego się z mgły statku. Mimo to próbował wykonać jakiś rozpaczliwy manewr,

by

uniknąć zderzenia. Dowodził żaglowcem o pojemności osiemdziesięciu ton, długim na
dwadzieścia siedem metrów i szerokim na siedem, z ołowianym kilem i trzydziestoma
metrami ogromnych rozwiniętych żagli**

Zarządził zwrot na wiatr, choć nie zdążył nawet zmienić żagli. Okręt przechylił się na
bok, tak że w pewnym momencie nadburcie zanurzyło się w morzu, a pokład po tej

stronie

został dosłownie zmyty przez falę.

Wtedy Metis runęła na maszty i żagle. Przeszyła je na wylot, przecinając ostrą
krawędzią kilu i rozszarpując osprzęt, liny, cumy, bloczki, wielokrążki, halsy, odciągi,

osłony,

liki i refy. Grotmaszt roztrzaskał się i rozpadł na dwie części, a żagle nasiąkły wodą i

zrobiły

się bardzo ciężkie. Upiór nie zdołał się już podnieść z pozycji bocznej.

Liny i żagle zmiotły pokład Metis, niszcząc wiosła i zrywając dach kajuty kapitana.

Shane padł na deski i leżał na brzuchu, a nad jego głową wirowały cumy i linki. Wszystko
zdawało się rozrywać i świszczeć. Kolorowy żagiel był w strzępach, a grotmaszt,

skrepowany

dziesiątkami różnej wielkości lin i want, zgiął się tak, że o mało

* Przypis tłumacza rękopisu. Na nazwę i opis tego żaglowca trafiłem również podczas
lektury powieści Wilk morski Jacka Londona.

Wilk morski się nie złamał. Przez chwilę zanosilo się na to, że Metis już tam zostanie,
zaplątana w tę pajęczynę bramseli, lecz uratowała ją siła uderzenia: wylądowała po

drugiej

stronie okrętu, ciągnąc za sobą w morze długi tren zerwanych lin i żagli. A gdy już się
zatrzymała, zaczęła się powoli kręcić wokół własnej osi.

Shane jako pierwszy wyzwolił się z resztek ożaglowania pokrywających pokład.

Pobiegł sprawdzić, czy jego przyjaciołom nic się nie stało, i znalazł ich wciąż

przywiązanych

do siebie i zawiniętych w ogromny szary żagiel. Uwolnił ich czym prędzej.

- Murray! Mina!

- Co się stało?
Shane nie odpowiedział. Słyszał kasłanie profesora Galippiego. Przecinał liny i rozrywał żagle, aż ich wszystkich oswobodził. Czuli się dobrze, ale byli, delikatnie mówiąc, zszokowani.

- Uderzyliśmy w żaglowiec! - krzyknął Shane, pomagając im stanąć na nogi. Zaczęli oczyszczać pokład z żagli i dopiero wtedy zorientowali się, że wraz z nimi na statku wylądował jeden z marynarzy Upiora. Był zaplątany w liny, ale żył. Shane rzucił mu się na pomoc, ale ten, gdy tylko udało mu się ruszyć, uwolnił się z lin i skoczył z nadburcia Metis, znikając w wodzie.

Shane'owi odebrało mowę. Marynarz miał szarą cerę i nie odezwał się ani słowem. Mina krzyknęła. Patrzyła na olbrzymi okręt przechylony na bok, z żaglami nasiąkniętymi wodą, które marynarze rozpaczliwie próbowali odciąć, żeby nie pociągnęły ich na dno.

- Trzeba im pomóc, szybko! - zawołał Connor. - Musimy uprzątnąć pokład, żeby móc manewrować!

Mina i Murray wciąż wpatrywali się otępiąłym wzrokiem w czarny kil Upiora, podobnego do konającego wieloryba.

- Myślę, że nie możemy już za wiele zrobić dla tego statku... - powiedział profesor Galippi.

- Ale dla marynarzy tak! - odparła Mina.

- Dlaczego nie krzyczą? - zastanawiał się za to Murray. - To niemowy?

Miał rację: marynarze szkunera ruszali się, nie wydając żadnych dźwięków, przez co wyglądali, jakby ktoś rzucił na nich urok. Dokładnie w chwili gdy okręt zaczął nabierać wody, oni poczęli rzucać się w morze, bez żadnych krzyków czy wrzasków. Było coś straszliwie dziwnego w sposobie, w jaki skakali. Szttywno wpadali między fale i już wracali na powierzchnię, jakby nie chcieli pływać. Po prostu znikali. Jak pokonane żołnierzyki w dziecięcej grze: schodzili ze sceny. Nagle przestawali się bawić.

Murray i jego przyjaciele patrzyli na nich z przerażeniem, zastanawiając się, dlaczego nijak nie reagują. Wołali ich, na próżno. Tamci opuszczali statek i rzucali się do morza.

- To jak przyglądać się samobójstwu lemingów... - szepnął profesor Galippi, gdy już pogodzili się z myślą, że załoga tego okrętu składa się z szaleńców, duchów czy automatów, które działają bez własnej woli. A potem dodał: - To małe gryzonie, które podobno rzucają się z urwisk do morza... kiedy jest ich za dużo.

- Ale ci tam to nie szczury! - krzyknęła przejęta Mina.

- Ale i nie ludzie... - powiedział Murray. - Żaden człowiek nie skoczyłby w ten sposób, nie próbując utrzymać się na powierzchni. Patrzcie! Okręt idzie na dno, jakby to była zabawka!

I miał rację. Upiora przeszył ogłuszający huk, po czym dziób uniósł się w desperackim geście, natomiast reszta żaglowca zaczęła znikać z zaskakującą prędkością, a morze się nad nim zamykało.

- To straszne! - jęknął Connor. - Musimy coś zrobić... Musimy...

- To przeze mnie - powiedział cicho Shane, przytłoczony poczuciem winy za spowodowanie tej tragedii.

TYK! - usłyszeli nagle za plecami.

Na pokładzie Metis, gdzie wciąż panowały porwane liny i żagle, pojawił się bosak. Ciągnął się po drewnie, aż trafił na nadburcie, o które się zaczepił.

- Co się dzieje? - zapytała Mina.

- Wchodzą na pokład! - krzyknął Murray.

- Atakują! - wrzasnął Connor.

Na statek wspiął się półnagi chłopak, zwinny niczym krab. Wskoczył na pokład, ociekając wodą i przykucnął parę kroków od nich. Oszacował zniszczenia wokół siebie, a potem spojrzał na grotmaszt. Lekko dotknął palcami drewnianego pokładu, jakby chciał

się

przekonać, że jest prawdziwy.

- A ty kim jesteś?! - krzyknął Murray, szukając w kieszeni swojego nieodłącznego scyzoryka.

Chłopak miał długie potargane rude włosy. Był chudy, lecz umięśniony, a jego ciało pokrywały blizny.

- Jak wam się udało ją znaleźć? - zapytał. Miał ciężki oddech i głos łamiący się ze wzruszenia. I nie odrywał palców od nadburcia. - Jak wam się udało przedostać przez

Krąg

Mgły Kompanii?

- Nie zrozumiałem ani słowa z tego, co powiedziałeś - odpowiedział z kpiącym uśmiechem Murray.

Rudowłosy chłopak rozejrzał się dookoła, jakby to wszystko rozpoznawał. Wyglądał jak ktoś, kto odnajduje coś bliskiego sercu.

- Znasz ten statek? - spytał go Connor.

Tamten nadal lustrował pokład centymetr po centymetrze. Popatrzył na luk małej ładowni pod pokładem i stwierdził:

- Zmieniła się.

- Dopiero co uderzyliśmy w żaglowiec... - zwrócił mu uwagę Murray.

- Znasz ten statek? - zapytał znowu Connor.

- Tak. Znam - odpowiedział chłopak. Mogli być mniej więcej w tym samym wieku. - Kiedyś, wiele lat temu, to był nasz statek.

- I ciebie też zabrał? - spytała zaniepokojona Mina.

Chłopak odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Nie - odparł. - Ja jestem jednym z niewielu, którzy zostali.

Obrzucił zagadkowym spojrzeniem Murraya, Shane'a, Connora i profesora Galippiego.

- Nie wiem, jak to zrobiliście, ale dziękuję, że zatrzymaliście Upiora chwilę przed tym, jak miał nas dopaść... - powiedział cicho. - I nie zawracajcie sobie głowy

ratowaniem

marynarzy. I tak wam na to nie pozwolą. Nic nie możecie zrobić. Ale nie płaczcie, nie rozpaczajcie. Oni by dla was tego nie zrobili.

Potem pokazał na mały żaglowiec z czerwonym kadłubem i lekkimi żaglami, stojący na morzu parę sążni od Metis.

- To mój statek, Nemesis - powiedział. - A ja nazywam się Rick Banner. Rick Banner, z Kilmore Cove.

ROZDZIAŁ 30

POWROT DO KILMORE COVE

Z TYM, ŻE GDY KTOŚ SIĘ TRZYMA SWOJEGO KURSU, TO ZAWSZE ZNAJDZIE
PORT DO NAPRAW, WYLUDNIONE MASTEGZKO I WINDĘ NA HERBATKĘ
- EDALUS PRESS

PrintingMachine. Press, Type, Material and Roller Manufacturers.

Według zegarów pokładowych Nemesis w południe tej samej niedzieli, w którą wyruszyli, obydwie statki dotarły do długiego cypla. Dziób Metis pruł wodę błyszczącą niczym satyna. Horyzont rozpływał się w bladym różu, upstrzonym śnieżnobiałymi

obłokami,

podobnymi do piór.

- Poddaję się... - mruknął profesor Galippi, wzdychając i składając różne mapy, na których sprawdzał ich położenie. - Nijak nie mogę się zorientować, gdzie jesteśmy.

Zgodnie z

moimi obliczeniami tu nie powinno być żadnego wybrzeża.

A jednak było, i to niedaleko. Widać było fale rozbijające się o skały i zielony zarys opadających ku morzu łąk.

Connor płynął za Nemesis i powtarzał manewry tego statku. Kapitanowi Bannerowi udało się ich przekonać, żeby zostawili zatopionego Upiora i pozwolili się zaholować do najbliższego portu. Ale nikt z nich nie potrafił wymazać z pamięci obrazu kolosalnego żaglowca, który w ciągu paru minut pogrążył się w morzu, w kompletnej ciszy, i znikł

wraz z

całą załogą, tak jakby nigdy nie istniał. Tak prędko, że nasuwało się pytanie, czy to wydarzyło

się naprawdę, czy to był tylko sen.

Jedynie porwany żagiel i szczątki na pokładzie Metis świadczyły o tym, że zderzenie faktycznie miało miejsce. I że oni jakimś cudem wyszli z niego cało.

Bandera Nemesis łopotała na wietrze: przedstawiała drzwi nad wodą, a wokół cztery klucze.

Powrót do Kilmore Cove

W krótkim czasie wszystko zaczęło przypominać sen. Murray, z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach, w jednej ścisnął rękojeść scyzoryka, w drugiej złoty kompas.

Mina

nie puszczała gumowej kaczuszki. Shane zawiązał sobie na głowie piracką chustę,

zrobioną z

kawałka starego kolorowego żagla. Connor wciąż słyszał tłukącą o rufę linę odciętą od

Itaki.

Nemesis zbliżył się do wybrzeża i opłynął latarnię morską znajdującą się na końcu cypla. Gdy tylko ją minęli, poczuli silne porywy wiatru wiejącego od morza. Metis przechyliła się na falach, niemal ich dotykając, i pokład pokryła bryzgająca woda.

- Yeaaaahhh! - krzyknął Connor. - Trzymajcie się mocno!

Za cyplem otwierała się mała zatoka. Ta sama, którą widzieli na czarnobiałych zdjęciach z dziennika Ulyssesa Moore'a.

Murrayowi zaparło dech w piersiach.

Po jednej stronie zatoczki leżał niewielki port rybacki, po drugiej wznosiło się wysokie białe urwisko opadające stromo do morza. U podnóża rozciągało się miasteczko: skupisko otynkowanych na biało domów z czarnymi dachami, kościółek z dzwonnica i kazamaty zbudowane tuż za plażą. Za miasteczkiem widać było łagodnie schodzące w dół zbocza porośnięte fioletowymi kwiatami i krzewami lawendy. Na szczycie urwiska, naprzeciw cypla, stała willa z wysoką wieżyczką, otoczona ogrodem z wiekowymi drzewami.

- Kilmore Cove... - szepnął Murray, który wypatrzył je jako pierwszy. Mocno ścisnął dziób Metis i spojrzął na statek sunący przed nimi po falach.

Jego młody kapitan, Rick Banner, odwrócił się, żeby dać im znak do manewru. Za statkami unosiła się chmura szybujących z przenikliwym piskiem mew.

Bardzo wolno podpłynęli do małego portu osłoniętego wysokim murem oporowym i w końcu z Nemesis padł sygnał do odwiązania liny holowniczej i rzucenia kotwicy.

Wzrok Murraya i reszty stopniowo przyzwyczajał się do widoku miasteczka, o dotarciu do którego marzyli od tyłu tygodni. I zauważyli pewne różnice między tym, co

sobie

wyobrazili na podstawie zdjęć i lektury dziennika Ulyssesa Moore'a, a tym, co ukazało

się ich

oczom.

Po pierwsze, kazamaty na plaży miały groźny wygląd wojskowej budowli i górowały nad morzem. Poza tym miasteczko było pogrążone w jakiejś nienaturalnej ciszy,

przerywanej

tylko nawoływaniem mew i podmuchami wiatru.

Na plaży i na ulicach nie było żywej duszy. Łodzie rybackie zostały wciągnięte na brzeg, a w osłoniętym od wiatrów i fal porcie, poza Nemesis, był zacumowany tylko

jeden

statek. Był to statek rybacki *We're Here**.

* Przypis tłumacza rękopisu. Również ta nazwa pojawia się w powieści Kiplinga

Kapitanowie zuchy, tak samo jak nazwisko kapitana statku, który występuje w dalszym

ciągu

tej opowieści.

Powrót do Kilmore Cove

Connor wykonał odpowiednie manewry sterem, zgodnie z zaleceniami Bannera, po czym rozkazał rzucić kotwicę. Shane i Murray odblokowali stopery i łańcuch szybko prześliznął się przez kluzę. Z pluskiem wylądował na dnie i Metis się zatrzymała.

- Wygląda na to, że dotarliśmy na miejsce... - powiedziała cicho przejęta Mina.

- Ładnie tu - wymamrotał Shane.

Naturalna zatoka miasteczka to była prawdziwa perełka, która ciągnęła się od latarni morskiej aż do przylądka z urwiskiem, gdzie stała Willa Argo. Lecz było coś, co nie

dawało

im spokoju.

- Która może być godzina? - zapytał Murray. - Mam wrażenie, jakbyśmy byli na morzu od wielu dni.

- Wczesne popołudnie - odpowiedział mu profesor Galippi, patrząc na słońce. A potem dodał: - Oczywiście, pod warunkiem że nadal jesteśmy na tej samej planecie.

Murray przyglądał się domom z zamkniętymi oknami, cichym ulicom, skrzypiącym

szyldom sklepów i wreszcie oślepiająco białemu urwisku, w którym otwierała się imponująca

szczelina jaskini morskiej.

Od portu oderwał się mały ślizgacz, który skierował się w ich stronę. Na pokładzie był Rick Banner i jeszcze jeden mężczyzna, ubrany w wiśniową kurtkę, czerwone podkolanówki,

buty kolarskie i długą wełnianą czapkę. Dali im znać, żeby zeszli z pokładu Metis i wsiedli do

ich motorówki.

Connor się zawahał: z jakiegoś powodu pozostawienie Metis bez załogi nie wydawało mu się dobrym pomysłem. Murray natomiast nie miał wątpliwości: spuścił drabinę i wsiadł

do ślizgacza.

Towarzysz Bannera przedstawił się jako Disko Troop i pogratulował im tego, czego wcześniej dokonali.

- Upiór zatopiony! Niesamowite! - zagrzmiął, jednocześnie prowadząc łódź ku podnózu urwiska. - W końcu jakaś dobra wiadomość! - Mówił bardzo głośno i przeżuwał między jednym a drugim słowem. - Siedział nam na karku tak, że to było nie do zniesienia. I

naprawdę potrzebowaliśmy się go pozbyć. To będzie niezły cios dla Kompanii!

Dzieciaki nie zadawały żadnych pytań, choć miały ich tysiące. Ślizgacz ominął wystającą z wody skałę i zaraz za nią przybił do małej kamienistej plaży.

- Już od miesięcy nie widzieliśmy żadnego statku... - kontynuował Disko Troop. Rick wszedł do wody i wyciągnął łódkę na brzeg. - Ani jednej osoby, kontaktu, nic. Tu, w miasteczku, zaczynaliśmy już tracić nadzieję.

- Bardzo nas to cieszy... - odparł wtedy Murray. - Ale wydaje mi się, że zaszło nieporozumienie. My... nie zamierzaliśmy zatopić Upiora. My... nie wiedzieliśmy, co się dzieje.

- Ale ja tak - powiedział Shane. - I kiedy zobaczyłem go przed nami, pomyślałem: „Zaraz w niego uderzę”. To... to straszne, wiem. Ale tak pomyślałem. I tak zrobiłem! Powrót do Kilmore Cove

- I całe szczęście, chłopcze! - wykrzyknął Disko. - Pomnik ci powinniśmy postawić!

- Mówi pan poważnie? - spytał Shane. - A wszyscy ci marynarze... ci marynarze, którzy... ZGINĘLI?

- O jakich marynarzach mówisz? O tych niemowach? - parsknął stary poławiacz dorszy. - To nie są żadni marynarze! To nie są nawet psy morskie! - Popatrzył na Ricka Bannera, jakby pytał, czy może mówić dalej, i dodał: - A więc wy nic nie wiecie o

embargu

Kompanii? Ani o mgle?

Murray i Mina spojrzeli po sobie niepewnie. Morze huczało między skałami.

Rick dał znak mężczyźnie, żeby zaczekał.

- Na razie wystarczy, Disko. Zaprowadzę ich na górę, żeby porozmawiali z panią domu. - Popatrzył na swoich gości i zapytał: - Ktoś cierpi na zawroty głowy?

Na białej ścianie urwiska kołysały się bardzo długie liny, które sięgały od szczytu aż do plaży. Do niektórych przymocowano prymitywne drewniane stopnie, do innych obciążniki.

- Kiedyś były tu schodki... Ale później urwisko się zawaliło - wyjaśnił Rick. - W

każdym razie i tak lepiej wejść tędy niż od drogi. - Podał im parę zwisających lin. - Kto umie

się wspinać, może wziąć te, pozostali mogą skorzystać ze stopni.

- A ty? - zapytała go Mina.

- Ja idę na górę was zapowiedzieć - odparł.

Wszedł na jeden ze stopni i z haka wbitego w urwisko zdjął linę. Ta błyskawicznie się napięła, tak że ledwo ją utrzymał.

- Uważajcie, żeby się nie poobijać o skały!

Po tych słowach przykucnął na stopniu i puścił linę. Wyskoczył w górę jak pocisk, wypchnięty przez obciążnik, który chwilę później znowu bujał się u podnóża urwiska.

- Wow - powiedział Murray, patrząc z podziwem na system krążków linowych, które dopiero teraz dostrzegł na szczycie.

- A żebyś wiedział - zgodziła się Mina.

I zanim pozostali zdążyli ją powstrzymać, weszła na ostatni wolny stopień, odwiązała linę z haka i katapultowała się do góry z taką samą szaloną prędkością.

Murrayowi, Shane'owi, Connorowi i profesorowi Galippiemu zabrakło słów.

- A my co robimy? - spytał Murray.

- Chyba się wspinamy - odpowiedział Shane.

- Ja natomiast, chłopcy, jestem absolutnie zdecydowany skorzystać z przynależnych mi praw osoby starszej... a jako że nie został już żaden wyciąg raketowy, poczekam, aż któryś z was łaskawie wciągnie mnie na górę...

Mniej więcej w połowie drogi Murray zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie cierpi na zawroty głowy.

Urwisko w Kilmore Cove opadało pionowo do morza i fale odbijały się ponurym echem od jaskini, obok której się wspinali.

To było jak wspinanie się na szczyt tajemnicy.

Zacisnął zęby i skupił się na tym, żeby stawiać jedną nogę za drugą i podciągać się do góry siłą rąk. Gdy dotarł na szczyt, miał zadyszkę i obolałe dłonie.

Nie było nikogo. Mina i ich gospodarz zniknęli w gęstym ogrodzie prowadzącym do tajemniczego domu na urwisku.

Potem pojawili się Shane i Connor, którzy za pomocą jednego z krążków linowych powoli wciągnęli także profesora Galippiego.

Dom Ulyssesa Moore'a pokrywał dywan bluszczu, który zasłaniał jego ściany. Okna dostojnej i eleganckiej wieżyczki były otwarte na oścież.

Ogród wokół domu wyglądał na zaniedbany: trawa rosła wysoko, a gałęzie drzew były ciężkie od liści. Wąska ścieżka prowadziła na werandę, gdzie wiele szyb było

potłuczonych.

Głośniejszy od huku morskich fal był tylko wzmożony trajkot owadów.

- Jesteście pewni, że ktoś tu jeszcze mieszka? - zapytał profesor Galippi, gdy tylko zszedł ze stopnia i zatoczył się na trawie.

Murray mu nie odpowiedział. Ruszył w stronę werandy i zobaczył, że drzwi są otwarte, jakby zapraszano ich do środka.

Po wejściu zauważył, że wszystkie meble przystawiono do drzwi wychodzących na zewnątrz. Pośrodku stał duży stół z blatem opartym na dwóch koziółkach do cięcia

drewna, a

na nim leżały mapy i rysunki przedstawiające morze. Na ścianach wisiały listy nazwisk, statków i załóg, i kolejne mapy z wyspami oraz maleńkimi archipelagami.

Książka pośrodku stołu sprawiała wrażenie, jakby dopiero co ktoś do niej zaglądał: Atlas najodleglejszych Wysp z Wyobraźni...*

Z werandy wchodziło się do domu przez duże czarne drzwi i Murrayowi przemknęło przez głowę, że to może Wrota Czasu, o których czytał w dzienniku. Lecz te drzwi nie były zamknięte i zdawały się nie kryć w sobie innych tajemnic niż ich sędziwy wiek. Ciągnął się za nimi długi korytarz prowadzący do szeregu salonów, gdzie meble zostały częściowo zasłonięte białymi prześcieradłami. Daleko w głębi można było dostrzec kuchnię i Murray zobaczył, jak wychodzą z niej Mina i Rick z dwiema srebrnymi tacami. W progu domu stanęła kobieta z długimi siwymi włosami, egipskim nosem i jasnymi oczami. Miała melancholijne zmarszczki na twarzy i niski głos kogoś, kto zazwyczaj nie mówi zbyt wiele.

- Przykro mi, że nie mogę was lepiej ugościć, zwłaszcza po tym, jak się dowiedziałam, czym tu przyplłynęliście... - powiedziała. - Ale jesteśmy w naprawdę ciężkiej sytuacji, jeśli chodzi o podejmowanie gości, jak sami zapewne zdążyliście zauważyć.

* Przypis tłumacza rękopisu. Także w tym wypadku nie mogę się oprzeć skojarzeniu z książką, która naprawdę istnieje: Atlasem wysp odległych Judith Schallansky.

- Prowadźcie wojnę... - powiedział cicho Connor, wodząc oczami od jednej do drugiej mapy na werandzie i obserwując listy nazwisk i statków.

- Wojnę niewypowiedzianą, ale wcale przez to nie mniej straszną, panie... - Connor.

Kobieta skinęła głową.

- Tak właśnie jest. Od wielu miesięcy jesteśmy objęci ścisłym embargiem: najwyraźniej żaden statek nie jest w stanie do nas dotrzeć i nikomu z naszych nie udaje się skontaktować z innymi. Do czasu waszego przybycia, oczywiście.

- A kto wam w tym przeszkadza? - spytał Murray.

- Statki takie jak ten, na który trafiliście na morzu - odparła.

Przesunęła się, żeby przepuścić Minę i Ricka, którzy wyszli na werandę i postawili tace na stoliku.

- Kompania Indii z Wyobraźni - powiedział rudzielec, który słyszał pytanie Murraya. - Zwana w skrócie Kompanią.

- Musicie zobaczyć, jak ten dom wygląda... w środku! - wykrzyknęła tymczasem Mina z błyskiem w oczach.

- Ja się nazywam Penelopa Moore... - przedstawiła się w tym momencie kobieta. - I jestem żoną Ulyssesa Moore'a.

- Ja jestem Shane - odezwał się Shane.

Connor już wcześniej się przedstawił.

- Tony Galippi... - powiedział profesor. - Tłumacz i miłośnik języków obcych. Zdaje się, że mam coś, co należy do pani...

I mówiąc to, podał jej dziennik Ulyssesa Moore'a.

- A ty? - zapytała Murraya.

- MMurray - wyjąkał chłopiec, pociągając nosem. Odgarnął włosy z twarzy i wbił w nią swe bystre zielone oczy. - Murray Ciarkę.

Dłoń Penelopy była szczupła, a jej uścisk zdecydowany.
- Witaj w Willi Argo, Murrayu Clarke'u.

ROZDZIAŁ 31

SALON BUNTOWNIKÓW
W KTÓRYM DOWIADUJEMY SIĘ WRESZCIE,
DLACZEGO DROGI SĄ TAK NIEPRZYSTĘPNE, A MGLA TAK GĘSTA, ORAZ
ŻE NIEGRZECZNIE JEST OPUSZCZAĆ TOWARZYSTWO U TRAKCIE

ROZMOWY,

ŻEBY OTWORZYĆ DRZWI

/EDALUS PRESS - PrintingMachine, Press, Type, Material. and Rolter
Manufactnrers.

Usiedli w dużym salonie, który wyglądał jak wyjęty z opowieści o duchach. Pod
prześcieradłami przykrywającymi meble dało się odgadnąć archaiczne kształty

afrykańskich

masek, polinezyjskich bożków, glinianych naczyń wypalonych w ciepłe spływającej

lawy,

egipskich sarkofagów, tablic wyrytych pismem klinowym, kościanych abakusów

pachnących

jeszcze pustynią i skafandrów nurkowych. Na ścianach wisiały płótna z widokami
zniszczonych wież i tajemniczych otwartych przestrzeni, a pośrodku sali kołysał się lekko
niepocieszony kryształowy żyrandol.

- Kiedy na was czekaliśmy, wasza przyjaciółka, Mina - zaczęła pani Moore - trochę
mi opowiedziała o tym, co się wydarzyło. Zatem chciałabym, żebyście dokończyli waszą
opowieść, a... - spojrzała na Murraya - mówiono mi, że ty jesteś w tym bardzo dobry.
Murray zrobił się rubinowy jak jedna z kanap, ale się nie wycofał.

Ze wzrokiem uparcie utkwionym w ziemi, śledząc wzory na wielkim dywanie
pokrywającym całą podłogę, opowiedział, jak trafili na Metis i jak postanowili ją

naprawić,

by wyruszyć w morze. Pominął kwestię znalezionej na pokładzie kostki, obiecując sobie,

że

wyberze bardziej odpowiedni moment, by o tym porozmawiać.

- Nie trafiliście na Metis przypadkiem, moi drodzy... - przerwała mu Penelopa. - Znam
ten statek od ponad pięćdziesięciu lat. A mój mąż nawet trochę dłużej. I nigdy nie

widziałam,

żeby cokolwiek zrobił przypadkiem. To statek, który wybiera sobie kapitana i wyznacza
drogę.

- Zdążyliśmy zauważyć... - mruknął Connor, wiercąc się na brzegu klubowego fotela,
w którym czuł się trochę nieswojo.

- Jeśli Metis postanowiła was tu zabrać... na pewno miała swoje powody. - Penelopa
popatrzyła na Ricka, którego spojrzenie było nieodgadnione. - Straciliśmy już nadzieję, że

ją

jeszcze zobaczymy, od kiedy wiele lat temu sama wypłynęła w morze...

- Choć nadal nie rozumiem, jak jej się udało dotrzeć tak daleko... - odezwał się Rick. -

I dlaczego była w takim strasznym stanie...

- Może ma to coś wspólnego z kostką... - próbowała wtrącić Mina, ale Murray dał jej znak, żeby poczekała, pozwalając za to pani Moore opowiedzieć ich część tej historii.

- Niezależnie od tego, jak do tego doszło, wasze pojawienie się tutaj to dla nas prawdziwy cud. Zatrzymaliście jeden ze statków, które od wielu miesięcy patrolują każdy sążeń morza za zatoką Kilmore Cove, nie dopuszczając do jakichkolwiek kontaktów z innymi... - powiedziała cicho. - Zostało nas niewiele i brakuje nam sojuszników, sił i

środków

do życia. Ale nie wolno nam tracić ducha. I wasze przybycie to najlepsza nagroda, jakiej mogliśmy sobie życzyć.

- Proszę wybaczyć, że pani przerwę, pani Moore... - odezwał się wtedy Connor - ale my naprawdę nie mamy pojęcia, o czym mówicie. Gdy ruszaliśmy dziś rano, naszym jedynym celem było po prostu popływać po morzu... kierując się myślą, że Metis jest w jakimś sensie wyjątkowym statkiem. Ale... i sądzę, że mogę tu mówić za nas wszystkich...

nie

aż tak wyjątkowym.

Opowiedział pokrótce o barierze humbaków i o Pływającej Wyspie, przemilczał jednak treść nagranej wiadomości telefonicznej i to, jak potem pogrążyli się we mgle.

- My nazywamy to Kręgiem Mgły - powiedziała Penelopa. - Przypuszczamy, że sprowadziła ją Kompania... żeby móc jeszcze skuteczniej kontrolować kursy śladem

Błękitu.

- Błękit! - wykrzyknął profesor Galippi. - Czytaliśmy o tym Błękitcie w dzienniku pani męża... Ale, a propos, czy on...?

Penelopa wykonała ręką bliżej nieokreślony gest i odpowiedziała:

- Myślę, że aby to wszystko zrozumieć, brakuje wam kilku istotnych informacji na temat miejsca, w którym się znajdujemy.

Rick wyprostował się na krześle, jakby się bał, że Penelopa zamierza niepotrzebnie wyjawiać jakieś sekrety, lecz pani domu mówiła dalej, nie zmieniając tonu:

- Kilmore Cove nie jest zwyczajnym miejscem. Ma pewne cechy, które nadają temu miasteczku wyjątkowy charakter. I choć przed pojawieniem się Kompanii dość łatwo

było

tutaj dotrzeć, jadąc uliczką odchodzącą od głównej drogi i prowadzącą do zatoki, to

jednak

nie wszystkim było dane dostać się w miejsce takie jak to przez czysty przypadek. Mój

mąż

miał swoje określenie na miejsca takie jak Kilmore Cove. Jeśli przeczytał pan jego dziennik,

panie Galippi, to pewnie część z rzeczy, o których mówię, jest już panu znana.

- Tak naprawdę to muszę pani wyznać, że charakter pisma pani męża należy do tych, które jako nauczyciel nazywałem „udręką czytania”, że już nie wspomnę o wszystkich językach, w których postanowił prowadzić notatki...

- Języki zaginione, jak również te wymyślone od zawsze go fascynowały... -

potwierdziła z uśmiechem Penelopa. - W każdym razie w bibliotece powinien jeszcze być egzemplarz Słownika języków zapomnianych, który może się okazać pomocny w

rozumieniu niejasnych dla pana fragmentów... o ile go nie wyniesiono, wraz z wieloma innymi rzeczami, gdy zaczęła się ta wojna. - Penelopa wzięła głęboki oddech. - Ale nie odbiegajmy, proszę, od tematu, bo i tak pamięć w ostatnich latach płątała mi paskudne

figle.

Mówiłam wam, jak Ulysses lubił nazywać krainy takie jak Kilmore Cove: Miejsca z Wyobraźni, co oznacza zupełnie co innego niż miejsca wymyślone czy nieistniejące. - Penelopa Moore pozwoliła, by jej słowa zawisły w powietrzu, dołączyła sobie herbaty,

wypiła

łyk i kontynuowała: - Miejsca z Wyobraźni są całkowicie realne, coś w nich jednak

sprawia,

że są inne. I co, przy całym ich zróżnicowaniu, łączy je ze sobą. Wyobraźcie sobie, że

wokół

Kilmore Cove, od strony lądu, biegnie głęboka szczelina... podobna do przepaści.

Prawdziwa

szczelina, w którą można wpaść i zginąć. Lecz jednocześnie symboliczna. Jak linia

graniczna

między światem czasu i tym, gdzie czas się już nie liczy. Miejsca z Wyobraźni to miejsca ponadczasowe, lub też żyjące w czasie, który jeden z naszych przyjaciół określał mianem „obojętnego”. Może być niezmienny, szybszy lub spowolniony. Lub nawet płynąć w przeciwną stronę niż w pozostałych częściach naszej planety.

- To wyjaśnia, dlaczego wszystkie zegarki, jakie mieliśmy na pokładzie, w pewnym momencie stanęły... - powiedział Connor.

Penelopa Moore przytaknęła i mówiła dalej:

- Miejsca z Wyobraźni zawsze związane są z wodą, są nią przesiąknięte do głębi swojej istoty. Często są to wyspy, miasta, przez które płynie rzeka, ogromna czy

niewielka.

Jeziora, kanały, wodospady czy wielkie fontanny. Poza szczeliną czasu to woda jest zasadniczym elementem wszystkich Miejsc z Wyobraźni. Poza tym każde z nich różni się

od

pozostałych: jedne są wspaniałe i sielskie, tak jak kiedyś Kilmore Cove, drugie tłoczne i tętniące życiem, jak miasto Lankhmar. Naturalnie są i miejsca przerażające, te, które my nazywamy Mrocznymi Portami.

- Czy to stamtąd pochodzi Kompania? - spytał Shane, który nie mógł się doczekać zakończenia historii.

Rick potrząsnął głową, a Penelopa ciągnęła:

- Wszystkie Miejsca z Wyobraźni łączy woda. A na wodzie łączą je prądy Błękitu. Te same, którymi bez wiedzy i woli kapitana potrafi podążać Metis. A że woda płynie

również

przez miejsca, które nie są Miejscami z Wyobraźni, to właśnie wodą można się

przemieszczać

z jednych do drugich, czasami nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

- To znaczy, że do Miejsc z Wyobraźni można dotrzeć jedynie morzem? - zapytała Mina. - Albo rzekami i... jeziorami, nad którymi leżą?

- Nie - odpowiedziała spokojnie Penelopa. - Zanim pojawiła się Kompania Indii z Wyobraźni, było wiele innych sposobów, by poruszać się między różnymi Miejscami z Wyobraźni. Pierwszym z nich było spuszczenie się na dno przepastnej rozpadliny, ale był

to

wyczyn bardzo ryzykowny, którego mało kto potrafił dokonać, a który wielu opisywało

jako

podróż do środka Ziemi... * Jeśli by komuś się to udało, na dnie znalazłby...Iw tym

momencie

Penelopa przerwała, natomiast Rick Banner jakby się ocknął.

- Ogromny Labirynt - powiedział beznamiętnym głosem. - Niekończący się układ korytarzy i sal, z niezliczoną ilością drzwi wyjściowych.

- Właśnie: drzwi - podjęła Penelopa. - Które zresztą były wielką tajemnicą naszego małego miasteczka. Bardzo

* Przypis tłumacza rękopisu. Jest to oczywiście nawiązanie do powieści Juliusza Verne'a, lecz również, w kilku następnych zdaniach, do Podróży do krajów podziemnych Nielsa Klima Ludviga Holberga (dostępnej w angielskim tłumaczeniu pod tytułem The Journey of Niels Klim to the World Underground). wiele lat temu kilku rzemieślników o niezrównanej zręczności zaproponowało Zgromadzeniu Miejs z Wyobraźni, które zbiera

się

w nieprzewidywalnych datach pośrodku wspomnianego przez Ricka Labiryntu, ten wynalazek, który miał wywołać wielki skandal. Nazwali je Wrotami Czasu i zbudowali

ich

osiem.

- Dziewięć - poprawił ją Rick.

- Dziewiąte zrobiliście wy - odparła Penelopa. - Ale to nie jest właściwy moment, żeby opowiadać i tę historię... - Popatrzyła na dzieci i starego profesora, którzy siedzieli

w

milczeniu. - Wrota Czasu to były z pozoru zwyczajne drzwi, jak te, które macie w domu... tyle że po ich otwarciu i przekroczeniu... można było się dostać z jednego Miejsca z Wyobraźni do drugiego. Tak po prostu, bez żadnego wysiłku.

- To zdecydowanie wygodniejsze od wypływania w morze... - zauważył Connor.

- Albo schodzenia do środka Ziemi... - mruknęła pod nosem Mina, pełna podziwu.

- Były to obiekty o dużej mocy, a więc bardzo niebezpieczne - ciągnęła swą opowieść Penelopa. - Które my chcieliśmy trzymać jak najdalej od wścibskich spojrzeń...

- Ale potem pojawiła się Kompania? - podjął wątek Shane.

- Dokładnie. Przybiła do portu na pokładzie zwyczajnego statku - wspominała Penelopa. - Jej bandera była nam jeszcze wówczas nieznana: srebrna salamandra na Salon buntowników tle morza, na wpół błękitnego, na wpół rozpalonego. Nie przypuszczaliśmy, że naprawdę sprowadzą na nas ogień. Ani że ten statek może stanowić zagrożenie. Tak jak nie stanowiła go załoga, która zeszła na ląd, żeby porozmawiać ze Zgromadzeniem Miejs z Wyobraźni. Niektórych już znaleźmy: słyszeliśmy o nich

wcześniej.

Były to osoby z innych Miejs z Wyobraźni. Wydali nam się przekonujący. Proponowali

nam

umowy.

- Jakie umowy? - spytał profesor Galippi.

- Handlowe. Sojusze między Miejskami z Wyobraźni. Ochronę przed piratami w zamian za część ładunku. I wielu z nas dało się nabrać: zgodzili się wejść w skład

Kompanii i

tak, stopniowo...

Głos Penelopy przycichł.

- Co się stało? - zapytał Murray.

- Ci, którzy się zgodzili, zniknęli - odpowiedział Rick. - I przybyły statki z niemowami. Sami ich widzieliście. To marynarze bez słów, bez duszy, bez historii.

- Statki Kompanii zaczęły kontrolować każdy port i patrolować główne trasy Błękitu...
- dodała Penelopa. - A tam, gdzie nie było tych bezgłosych marynarzy, byli ludzie z krwi i kości, którzy zostali jednak urzędnikami Kompanii i ściśle kontrolowali każdy nasz ruch.

Bez

ich pozwolenia i pieczętki żadne z nas nie mogło już swobodnie się przemieszczać

między

różnymi Miejskami z Wyobraźni. Coś strasznego, coś strasznego! A z czasem sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła: przejęli kontrolę nad Zgromadzeniem, zamknęli Labirynt

i

rozpadlinę... I w ten sposób wolna wyobraźnia zaczęła umierać...

- A Wrota Czasu? - spytał Murray.

Penelopa lekko pokiwała głową.

- Nie działają. Są zamknięte, a mechanizm się nie obraca.

Penelopa wstała z kanapy i zaprowadziła ich do niewielkiego salonu, do którego wchodziło się po trzech schodkach. Był bardziej zaciszny niż poprzedni, miał sklepienie z cegły. W kamiennej ścianie były stare czarne drzwi, podrapane i osmolone, jakby ktoś próbował je wyważyć i podpalić. Miały skomplikowany zamek w kształcie rombu, z

czterema

kluczami włożonymi w dziurki.

- To są Wrota Czasu... - wyjaśniła Penelopa, przekręcając klucze. Mechanizm zamka wydał dźwięk.

TYK

TYK.

TYK.

TYK.

- Ale jak widzicie, nie otwierają się...

Wszyscy próbowali pchać je i ciągnąć, ale to było tak, jakby starali się przesunąć sekwoję.

Murray poczuł przejmujący ból, niczym dziecko, któremu zepsuto ulubioną zabawkę chwilę przed tym, zanim zaczął się nią bawić. Pozostali opuścili salon z Wrotami Czasu,

lecz

on nie był w stanie się ruszyć.

Wrota Czasu już nie istniały.

Były zamknięte.

Patrzył na nie, słuchając tymczasem głosu Penelopy, która ciągnęła swoją opowieść.

- I tak oto wiele z Miejsk z Wyobraźni stało się dzisiaj trudno dostępnych, chyba że przyjmie się zasady Kompanii.

- Ale przecież... my nawet nie wiedzieliśmy o ich zasadach i kontroli! - sprzeciwiła się Mina.

- I właśnie dlatego bardzo się cieszymy, że tu z nami jesteście. Przełamaliście blokadę, która nas oddziela... i pokonaliście jakby nigdy nic Krąg Mgły, przez który nasze statki

nie

potrafiły się przedostać.

- A my jesteśmy buntownikami - powiedział wtedy Rick. - Przemysłnikami z Miejsk z Wyobraźni. Jesteśmy tymi złymi.

W pokoju zapadła cisza.

- Kompania nie może znieść naszego małego buntu... - kontynuowała Penelopa. -

Chciałaby zapewnić sobie pełną kontrolę nad wszystkimi Miejscami z Wyobraźni. I w tym

celu odcina od świata tych, którzy nie stają po jej stronie...

- Embargo... - mruknął Connor.

- Dokładnie. Niektórzy na to przystają, inni nie. I, tak jak my, się buntują.

- I słusznie - powiedział Connor.

- Jesteśmy z wami! - wykrzyknęła Mina.

Penelopa mówiła dalej zmęczonym głosem.

- Prawda jest taka, moi drodzy, że to przegrana sprawa. Zbyt mało nas zostało. Ciężko się zorganizować i utrzymać ze sobą kontakt. Nie wiemy, co robią inni, ani czy jeszcze

żyją...

- Ale może teraz sprawy przybiorą inny obrót! - powiedziała Mina.

- Jest Metis - dodał cicho Connor.

- Metis to rzeczywiście niespodziewany prezent... - zgodziła się Penelopa. - Nawet gdyby nie miało się wydarzyć nic szczególnego, to jej widok w zatoce znowu rozpała w

mym

sercu nadzieję.

- Mogę panią o coś zapytać, pani Moore? - odezwał się Connor. - Przyłynęliśmy aż tutaj kierowani dwoma faktami: serią wiadomości zostawionych w kostce przez chłopca, który twierdził, że dotarł do Kilmore Cove przed nami...

- A to, z tego, co wiem, nie miało miejsca... - odparła Penelopa.

A Rick dodał:

- Jak już mówił Disko, od kiedy jest Kompania, żaden statek nie dostał się do Kilmore Cove.

Connor ciągnął:

- Lecz przede wszystkim informacjami z książek napisanych przez pani męża... i jego dziennika, który profesor

Galippi nam przetłumaczył.

- Częściowo - sprecyzował starszy mężczyzna.

Connor nie dodał nic więcej i czekał na odpowiedź

Penelopy.

- Mój mąż nie napisał żadnej książki... - zaczęła kobieta. - Lecz wiem, że w przeszłości dał się przekonać pewnej zaufanej osobie i powierzył jej znaczną część

swoich

materiałów.

- A gdzie teraz przebywa pani mąż? - zapytał profesor Galippi.

- Nikt dokładnie nie wie - przyznała kobieta. - Ale kiedy zaczęła się wojna, wraz z wieloma naszymi przyjaciółmi opuścił Kilmore Cove, żeby zorganizować ruch oporu w innych Miejscach z Wyobraźni. Ostatnie, co wiem o Ulyssesie, to to, że zamierzał

odnaleźć

założyciela Kompanii Indii z Wyobraźni.

- Człowieka, o którym bardzo mało wiemy - wyjaśnił Rick. - I który ukrywa się gdzieś pośród Miejsc z Wyobraźni, w niedostępnym zamku...

- Ale którego mój mąż miał nadzieję znaleźć - powiedziała Penelopa - i pokonać. Jak widać, było to bezcelowe. W oczekiwaniu na jego powrót Rick, pan Disko, ja i jeszcze

parę

osób staraliśmy się jak najlepiej zorganizować opór,

- A... przepraszam panią - spytała Mina. - Czy ten pan z Kompanii jakoś się nazywa?
- A i owszem, nazywa się... - odparła Penelopa. Tymczasem w pokoju z Wrotami Czasu Murray przyłożył dłoń do drewna. Poczul jakąś daleką wibrację, podobną do drgań kamertonu. Drugą ręką wyjął z zamka cztery klucze. Jeden.

Dwa.

Trzy.

Cztery.

Położył je na ziemi. Potem wziął głęboki oddech. ale...

- Nazywa się Larry Huxley - odpowiedział kapitan Rick Banner w drugim salonie.

Murray lekko pociągnął drzwi do siebie.

I drzwi się uchyliły.

- MURRAY! - krzyknęła Mina z salonu. - SŁYSZALEŚ? Ręka Murraya mimowolnie podskoczyła i zamknęła drzwi. Chłopiec gwałtownie zamrugął, nagle powracając do rzeczywistości.

Naprawdę je otworzył czy tylko mu się przywidziało?

- Już idę! - krzyknął.

Lecz zwlekał jeszcze parę sekund, zanim do nich dołączył. Spojrzał na podrapane drewno Wrót Czasu.

A Wrota Czasu spojrzały na niego.

ROZDZIAŁ 32

MISJA WSPARCIA

AT LAN'

VEDALUS PRESS

PrintingMachine, Press, Type, Material, and Roller Manufacturers.

Światło zaczęło wpadać na werandę pod coraz mniejszym kątem i barwić się na złoto.

Słońce z godziny czwartej ustępowało miejsca temu z godziny piątej.

Rick Banner wraz Connorem pochylał się nad mapą archipelagów zajmującą wielki stół na koziołkach.

- Pierwsze, co trzeba zrobić, to ostrzec pozostałych buntowników... - mówił rudowłosy chłopak. - Płynąc we mgle tutaj, aż do zatopionej latarni, i stamtąd docierając

na

zaginione wyspy Lyonesse...*

Mina patrzyła na morze.

Penelopa Moore zbliżyła się do niej.

- Podoba ci się? - zapytała.

- Jest wspaniałe - odpowiedziała dziewczynka.

- Ale coś cię martwi... - domyśliła się kobieta.

Mina zawahała się i w końcu przytaknęła.

- No tak. Jest parę rzeczy.

Penelopa stanęła obok i zatopiła wzrok w falach. Wiatr zuchwale wiał wśród gałęzi drzew, a słońce schowało się za pasmem gęstych chmur. Szare morze połyskiwało

niczym

drżąca srebrna płyta.

- Chodzi o to, że... - powiedziała niepewnie Mina - słyszę, jak rozmawiają o miejscach, buntownikach, statkach, Kompanii... a...

* Przypis tłumacza rękopisu. Archipelag Lyonesse miałby się rozciągać za najdalej wysuniętym punktem Konwalii, w Zatoce Biskajskiej. Obszernie opisuje go Jack Vance

w

swojej powieści Lyonesse.

Penelopa czekała cierpliwie.

- A obiecaliśmy rodzicom, że wrócimy do domu na kolację. Natomiast... to wszystko... wydaje się, że to sen. Przygoda, oczywiście. Najbardziej niesamowita

przygoda,

jaką kiedykolwiek mogłam sobie wyobrazić, ale...

- Ale martwisz się o swoich rodziców.

Mina powoli pokiwała głową.

- I myślisz, że jesteś w tym osamotniona?

- Nie wiem - przyznała dziewczynka. - Murray dziwnie na mnie patrzy, a jak do niego podchodzę, to mnie ignoruje, jakby chciał uniknąć tematu. - Mina odwróciła się do

Penelopy.

- Uważam, że to niesprawiedliwe.

- Rzeczywiście, niesprawiedliwe.

- To nam się nie śni, prawda, pani Moore? Nie obudzimy się za chwilę? I nie okaże się, że wciąż jesteśmy w łóżku albo że dopiero co wypłynęliśmy na Metis i jedyne, co

nam się

przydarzyło, to krótka drzemka?

- Obawiam się, że nie, moja droga - odparła Penelopa. - W każdym razie uważam, że masz rację. Jeśli obiecaliście rodzicom, że wrócicie na kolację, to moim zdaniem

pierwsze, co

należy zrobić, to postarać się wrócić na kolację.

Mina szeroko otworzyła oczy.

- Ale... jak?

- Gdyby dało się skorzystać z naszego starego telefonu z czarnego bakelitu i zadzwonić do domu... to już bym cię o to poprosiła, Mino. Sama bym zadzwoniła do

twoich

rodziców, aby ich uspokoić i powiedzieć, że nie muszą się o was martwić. W końcu zatopiliście jeden z najstraszniejszych okrętów Kompanii Indii z Wyobraźni i dotarliście

aż

tutaj na pokładzie statku, który - jak myślałam - przypadł... a który najwyraźniej skrywa istotną, nieznaną nam jeszcze, część całej tej historii.

- Ma pani na myśli wiadomości od Larry'ego Huxleya, pani Moore?

- Jego. I mojego męża... - powiedziała Penelopa.

- Sądzi pani, że to możliwe, aby szefem Kompanii było dziecko?

- Ja już dawno przestałam wierzyć w to, co powinno być możliwe, i to, co nie powinno. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie... nie. Nie sądzę, aby na czele Kompanii stało dziecko. Według mnie to jakieś straszliwe nieporozumienie... albo kolejna tajemnica.

I po cichych przemyśleniach dodała:

- Mój mąż zawsze mówił, że prawdziwymi królami Miejsz z Wyobraźni są dzieci.

Dzieci... - westchnęła, rzucając okiem na profesora Galippiego, który wraz z innymi był zajęty studiowaniem mapy niczym uczeń w pierwszym dniu szkoły - i ci, którzy nie

przestali

nimi być.

- To jednak nie rozwiązuje problemu kolacji - zauważyła Mina.

- Nie, jeśli będziesz tu siedzieć i czekać na zachód słońca, to na pewno nie - uśmiechnęła się Penelopa.

- A co pani zdaniem powinnam zrobić?

- To jest wasza fantastyczna historia. To wy decydujecie. Metis was wybrała. Była ranna, a wy ją wyleczyliście. Teraz jesteście jej jedynymi kapitanami. Ten statek potrafi rozpoznawać prądy Błękitu i pływać z wielorybami... myślisz, że nie jest w stanie zabrać

cię

w krótkim czasie z powrotem do domu?

- Naprawdę może to zrobić?

- Jeśli tylko będziesz chciała.

Mina aż zamarła z wrażenia po tej niespodziewanej nowinie.

- A... ale... - Zawahała się. - Jeśli... popłyniemy do domu...?

- Czy będziecie tu mogli wrócić? - Penelopa uśmiechnęła się. - W końcu znacie drogę. I może następnym razem nie będziecie już musieli pokonywać... przeszkód takich jak

dziś.

- A co z wami? Jak będziecie dalej walczyć, bez nas? - ciągnęła Mina.

Pozostali, stojący przy stole pośrodku werandy, usłyszeli ich rozmowę i nagle zamilkli.

Penelopa przykucnęła przed Miną i popatrzyła jej prosto w oczy.

- Mino, Mino... zawsze jesteś taka szlachetna i o wszystkich się martwisz?

Dziewczynka oblała się rumieńcem.

- Może... - wyjąkała.

- Naprawdę tyle wam to zajmie, zanim będziecie mogli wrócić? - zapytała jeszcze

Penelopa. Rick chciał wykonać jakiś ruch, ale kobieta powstrzymała go jednym gestem. -

Musicie już się zbierać, jeśli chcecie dotrzeć do domu na kolację... Przez ten czas pan

Ezio z

portu na pewno już zdążył wymienić wam żagiel.

- Ej! - zaprotestował Shane. - Ale ja nie chcę nowego...

- Na tym też będziesz mógł napisać słowo „Odwaga”, odważny chłopcze -

powiedziała do niego Penelopa. - I będziecie mogli znowu założyć swój, jak już go naprawimy. Ale teraz czas na was, jeśli chcecie wracać. Wybór należy do was!

Wtedy z kolei sprzeciwił się Connor:

- Ja wcale nie chcę wracać! Mam zamiar zostać tutaj i walczyć razem z wami! Pragnę

się dowiedzieć, co Huxley ma wspólnego z Kompanią i... mówię w imieniu wszystkich:

nikt z

nas nie ma ochoty wracać! Przyplłynęliśmy tu z zamiarem pozostania... Nieprawdaż?

Mina wbiła wzrok w ziemię. Shane nie odpowiedział. Murray się wahał.

- Murray? - naciskał Connor. - Sam powiedz. Przyplłynęliśmy, żeby zostać czy... nie?

Jaki był nasz plan?

Murray pomyślał o mamie i o tym, co jej obiecał. Potem spojrzął na Minę i Shane'a.

Przypomniał sobie o braciach Bradych.

- Spytałem, czy mogę wyruszyć na wyprawę, która potrwa cały dzień... - odpowiedział

powoli. - I ten dzień się właśnie kończy. - Connor wciąż stał z rozłożonymi rękami.

Murray

przełknął ślinę. - Jeśli to możliwe, wróciłbym do domu.

- Błękit jest szybszy, niż jesteście to sobie w stanie wyobrazić... - odparła Penelopa. A wojna z Kompanią nie zakończy się w ciągu tygodnia. Rick!

- Pani Moore?

- Daj temu młodemu kapitanowi nasz \$ Błękitną locję...

- Ale...

Penelopa odwróciła się w jego stronę i spojrzała wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu.

Potem popatrzyła na Connora i wyjaśniła:

- Znajdziesz w niej mapy znanych nam prądów Błękitu. Nie może w żadnym wypadku dostać się w ręce Kompanii.

Connor próbował odmówić przyjęcia tej książki oprawionej w naturalną skórę, lecz w końcu przycisnął ją do piersi, zakłopotany.

- Jeślibyśmy was potrzebowali, zanim będziecie gotowi do powrotu - ciągnęła

Penelopa - wyślemy wam pocztówkę.

- Pocztówkę? - zaśmiał się Shane.

- Dokładnie. Z Kilmore Cove - wyjaśniła kobieta. - I gdy tylko ją zobaczycie, będziecie wiedzieć, że was potrzebujemy i że powinniście jak najszybciej przyплыnąć.

- Ale pocztówka! - parsknął Shane. - Jak możecie nam wysłać pocztówkę... skoro Kompania zablokowała wszystkie połączenia?

- Nie wszystkie połączenia - podkreśliła Penelopa. - Nasz urząd pocztowy wciąż doskonale funkcjonuje, bo... kto w dzisiejszych czasach posługuje się jeszcze

pocztówkami?

Ciężko pomyśleć, że mogłyby zawierać coś tak ważnego.

Chłopcy uśmiechnęli się, skonsternowani.

- Niech będzie i pocztówka... - mruknął Shane bez przekonania.

- No, idźcie już! Na dzień dzisiejszy zatopiliście Upiora, a to chyba nie było co.

Connor, zachmurzony, przytaknął.

- Śmiało! - powtórzyła Penelopa, widząc, że nikt się nie rusza. - Idźcie! Wiemy, że możemy na was liczyć, i wiemy też, jak was wezwać na pomoc w razie potrzeby.

Dzieciaki powoli pokiwały głowami.

Mina pchnęła drzwi werandy. Trawa w ogrodzie zaszeleściła na wietrze.

- Ale jest coś, co moglibyście zrobić... kiedy już będziecie w domu - powiedziała jeszcze kobieta.

- Co tylko pani chce! - wykrzyknął Murray, próbując zaoferować od siebie coś bardziej honorowego niż to, co wyglądało mu na ucieczkę.

- Moglibyście postarać się dowiedzieć, jak to możliwe, żeby to zaginione dziecko... stanowiło największe zagrożenie dla Miejsc z Wyobraźni. I może przy okazji znaleźć

jakiś

ślad mojego męża...

Po ostatnim zdaniu Penelopy Moore nastąpiła długa cisza. Potem profesor Galippi odchrząknął i powiedział:

- Dobrze, pani Moore... a... mówiła pani wcześniej, że w bibliotece pani męża jest pewien słownik, który może się przydać przy... tłumaczeniu jego dziennika... - Stary

profesor

wstał powoli i chcąc oszczędzić wszystkim zakłopotania, wymamrotał: - Pomyślałem, że podczas gdy dzieciaki popłyną do domu na kolację, na drugą stronę Błękitu, ja mógłbym trochę podgonić z robotą... zostając tutaj. O ile, jakby to powiedzieć, nie będę

przeszkadzał...

I o ile znajdzie się dla mnie jakieś miejsce do spania.

EPILOG

W KTÓRYM ODKRYWAMY, ŻE NIE WSZYSTKO JEST TAKIE, JAKIM SIĘ WYDAJE, LECZ MOŻE SIĘ ZMIENIĆ. A W TYM CELU NALEŻY OTWORZYĆ DRZWI

TEMU WSZYSTKIEMU, CO MA NADEJŚĆ

- ALL'S PRESS - Printing Machine, Press, Type, Material, and Roller Manufacturers.

Kiedy Connor przycumował Metis pod starym dębem, słońce właśnie zachodziło i nurt rzeki błyszczał niczym łuski złotego węża. Zszedł na ląd i popatrzył na

majestatyczną

łódź wikingów, która lekko się kołysała. Ogarnęła go melancholia.

Przeżywając ponownie to wszystko, co za sobą zostawił w czasie tego długiego dnia, starał się nie myśleć o Itace. Nie mógł się pogodzić z tym, że na zawsze ją utracił. W

głębi

serca żywił skrytą nadzieję, że pewnego dnia, prędzej czy później, odnajdzie ją gdzieś na rozległym morzu. I wtedy zabierze ją z powrotem do domu. W to zakole rzeki pod starym dębem, gdzie nic i nikt nie będzie w stanie ich skrzywdzić. W końcu wydawało mu się to bardziej prawdopodobne niż to, że pośrodku wyspy z pływających odpadów zadzwoni

telefon

z nagraniem wiadomością.

Ich podróż powrotna trwała trochę ponad godzinę. Przepłynęli przez Krąg Mgły z wiatrem od rufy i woskowymi zatyczkami w uszach, tak że mgła się rozproszyła, zanim kogokolwiek z nich zdążył opanować strach. Po pokonaniu Kręgu Metis ominęła

szerokim

łukiem Pływającą Wyspę i nie trafiła na wieloryby. Teraz już znał drogę.

Connor wprowadził statek do ujścia rzeki, zręcznie przemykając między olbrzymimi kontenerowcami, skąd marynarze ledwie raczyli na nich spojrzeć.

Ostatecznie: co było takiego dziwnego w statku wikingów płynącym w górę rzeki i przybijającym do brzegu zaraz za parkiem uniwersyteckim?

Świat stał się obojętny na takie niezwykłości.

Ale nie Connor. Ani jego przyjaciele.

I może właśnie dlatego Metis ich wybrała.

Connor wskoczył na pokład swojego nowego pływającego domu, a że kajuta kapitana uległa zniszczeniu podczas uderzenia w Upiora, zwinął się kłębek w łuku, między

grodziami,

które on i profesor Galippi zbudowali na podobną okoliczność.

Materac był wygodny.

Ale brakowało komputerów czy prądu.

Przeglądał Błękitną locję, dopóki światło dzienne na to pozwalało, a gdy zaszło słońce, w końcu zasnął.

Już z ulicy Mina słyszała odgłosy talerzy i szklanek uderzających o stół oraz tatę, który głośno na coś narzekał.

Położyła rower w ogródku przed domem i pospieszyła do wejścia. Według zegarka,

który znów zaczął chodzić, miała przynajmniej pół godziny spóźnienia. Ojciec wrzasnął coś niezrozumiałego i Mina zatrzymała się przed samymi drzwiami. „Nie”, powiedziała sobie. Było coś zdecydowanie niewłaściwego w tym, że tak się bała.

W

W tym, że chciała jak najszybciej biec do domu, aby wszystkiemu zaradzić. Niezależnie od tego, co tak zdenerwowało jej ojca, pomyślała dziewczynka, to nie mogła być jej wina. A jeśli był

wściekły, bo spóźniła się pół godziny na kolację, to zamierzała mu się odgryźć. Tej niedzieli przeżyła zderzenie z żaglowcem i katapultowała się na urwisko za pomocą bloczka i obciążnika. Nie mogła przecież dać się zastraszyć ojcu i jego napadom złości. I nawet jeśli tym razem miał rację, że się wściekał, to trudno. Wzięła głęboki

oddech i

zawróciła, żeby poprawić rower: postawiła go i dokładnie zamknęła kłódkę. Robiąc to, przypomniała sobie komentarz Ricka Bannera z tego popołudnia, kiedy to znaleźli się

razem

na szczycie urwiska i młodemu rudowłosemu kapitanowi zabrakło słów po tym, jak Mina

w

ślada za nim użyła obciążnika. Powiedział jej wtedy: „Od razu widać, że świetna z ciebie dziewczyna”. Z dumą przekręciła klucz w zamku. Ścisnęła gumową kaczuszkę, którą trzymała w kieszeni, i weszła do środka.

Jej mama była w kuchni, ubrana w jedno ze swoich długich niedzielnych sari. Tata, w dresie i koszulce do rugby, płatał się po przedpokoju tam i z powrotem. Babcia, w głębi pokoju, machała rękami, jakby się modliła. Jeden z braci wchodził po schodach. Drugi

kręcił

się po piętrze, przetrząsając pudła zapakowane do przeprowadzki. Zdawało się, że nikt nie potrafi ustać spokojnie.

Mina cicho zamknęła drzwi, a mama wyjrzała z kuchni, żeby się z nią przywitać.

- Mino! - wykrzyknęła. - Słyszałaś już?

Dziewczynka się uśmiechnęła.

- O czym?

- Proszę! Wystarczy już! - wrzasnął ojciec, miarowo uderzając głową o ścianę.

- Dzwonili z Pało Alto... - ciągnęła kobieta. - Zmienili zdanie co do ojca!

- A mogą to zrobić? - zapytała Mina. I zaraz potem: - To znaczy, że nie wyjeżdżamy?

- Pewnie, że nie mogą! - zachnął się ojciec. - A dokąd mamy jechać? Dokąd? Dokąd?

Matka i córka wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Przykro mi, tato... - wymamrotała dziewczynka, starając się ukryć radość.

- Ale jeszcze o mnie usłysz! Tak się nie robi! Byliśmy umówieni! To była pewna praca! To...!

Nie zwracając uwagi na córkę, wpadł jak burza na górę i chwilę później zaczął pomstować przy starszych dzieciach.

- Zaraz napiszę emaila, w którym... Jeszcze lepiej: obsmaruję ich na stronie! Ja ich zniszczę! Ja...!

Mina chodziła po domu lekka jak piórko. Zajrzała do mamy do kuchni, ucałowała babcię, podniosła pokrywkę garnka, w którym smażyły się kawałki kurczaka z jabłkami i curry, i zapytała pogodnie:

- Co jest na kolację?

Tata Shane'a siedział w ciemnym salonie.

Na jego twarzy malowały się kolory z telewizji. Oglądał ją z wyłączonym dźwiękiem, tak jak często miał w zwyczaju.

Shane dołączył do niego. Odsunął folię z jednego z foteli i usiadł.

Ojciec spojrział w jego stronę.

- Co jest? - spytał.

- Nic - odparł Shane.

Mężczyzna odwrócił wzrok i znów utkwiał go w telewizorze. Lecz najwyraźniej część jego uwagi pozostała skupiona na synu, bo po chwili zapytał:

- Co cię tak śmieszy?

- Nie śmieję się.

- A to na twarzy to niby co?

- To uśmiech - odpowiedział Shane.

Uśmiechał się, bo głos jego ojca był zupełnie inny niż ten, który słyszał w Kręgu Mgły.

- Nabijasz się ze mnie?

- Nie nabijam się. Po prostu się uśmiecham.

- Bo co?

- Bo nic - odpowiedział Shane.

W telewizji puszczała film dokumentalny. Lasy i jeziora. Góry. Jego ojciec patrzył w ekran tak, jakby za obrazami dostrzegał coś, co tylko on zauważył.

- Nic, nic, nic. Jak się ciebie słyszy, to wychodzi na to, że całe twoje życie to odwieczne nic - burknął.

- Przepraszam. Chyba ci nawciszałem straszne kitu... - odparł spokojnie Shane.

Ojciec oderwał wzrok od filmu.

- Odbiło ci nagle?

Shane oparł ręce na poręczach fotela, jakby chciał się wyciągnąć.

- Ale zaduch w tym pokoju - powiedział.

- Okno jest z tyłu.

Shane je otworzył.

Noc była cicha i spokojna. Gwiazdy jeszcze nie wzeszły.

- Może byśmy jutro poszli na ryby? - zaproponował, patrząc przez okno. - Gdzieś na poddaszu powinny jeszcze być wędk.

Ojciec nie odpowiedział.

- Pójdę poszukać - dodał Shane, wracając na fotel.

Ojciec się nie odezwał. Ale było jasne, że się zastanawia.

- A więc? - ponaglił go Shane.

Mężczyzna wziął do ręki pilota.

- Sam nie znajdziesz. Muszę iść z tobą.

- Teraz? - spytał Shane.

Ojciec wyłączył telewizor i popatrzył na syna.

- Pamiętam, gdzie je położyliśmy - powiedział lekko drżącym głosem.

Figlarny wicherek zmierzył mu włosy na samym progu domu.

Murray przystanął.

Głowę miał pełną wirujących obrazów i wrażeń. I już sobie wyobrażał dzień, w którym znów wypłyną w morze i wrócą do Kilmore Cove. Stojąc pod drzwiami swego

domu,

rozmyslał o tym, co się wydarzyło tej niedzieli. O tym, co odkrył, i o tym, co zdawało mu się,

że zrozumiał. A przede wszystkim o tym, czego nie rozumiał. Pomyślał o zaginionym chłopcu, zastanawiając się, jak to możliwe, że nazywa się tak jak tajemniczy przywódca Kompanii Indii z Wyobraźni. I zachodził w głowę, jaki sekret krył się za tym, że Metis dotarła akurat na lagunę, gdzie oni spędzali popołudnia. Po tym wszystkim, co usłyszał tego

dnia, o wojnie i o Miejscach z Wyobraźni, o żaglowcu i o jego niemej załodze, on nadal myślał o pojawieniu się Metis.

Dlaczego?

W miarę jak zbliżał się do domu, czuł się coraz bardziej przybity i obolały. Na każdym kroku powrotu do normalności odkrywał jakiegoś siniaka, otarcie, mniej lub bardziej

głębokie skaleczenie.

Wrócił pieszo: swój rower miał odebrać dopiero następnego dnia. I to z ogromną satysfakcją.

W kieszeni wciąż trzymał scyzoryk i złoty kompas, a także notes, którego można było używać nawet w deszczu i w którym zapisał różne refleksje, pomysły, wątpliwości i pytania.

Wszystko, co wisiało w powietrzu. Lub co przygnał wiatr.

Popatrzył w górę, na ciemne pukle chmur.

- Co ci się przytrafiło, Larry? - zapytał na tyle głośno, że wiatr poniosł jego słowa.

Kto wie, w jakim kierunku należało się odwrócić, aby spojrzeć w stronę Kilmore Cove. Postanowił patrzeć na morze, i tyle.

Gdziekolwiek leżało to małe miasteczko, Murray wiedział, że to był właściwy kierunek.

I wiedział, że wszyscy tam wrócą.

- Nie zostawimy was samych - powiedział jeszcze na głos. Drzewa potrząsały wierzchołkami, przygotowując się do nocy. - A ja ponownie otworzę Wrota Czasu - wyszeptał, tym razem starając się zatrzymać te słowa dla siebie.

Tajemnicze Wrota Czasu w Willi Argo. Ileż pytań rodziło się w związku z czymś tak zwyczajnym jak drzwi!

Murray tymczasem otworzył drzwi do swojego domu. Na ten dzień miał pod dostatkiem wrażeń.

Poczuł zapach czegoś dobrego.

- Cześć! - krzyknął. - Jest tu kto? Wróciłem!

Document Outline

ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4 ROZDZIAŁ 5 ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8 ROZDZIAŁ 9 ROZDZIAŁ 10 ROZDZIAŁ 11 ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13 ROZDZIAŁ 14 ROZDZIAŁ 15 ROZDZIAŁ 16 ROZDZIAŁ 17 ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19 ROZDZIAŁ 20 ROZDZIAŁ 21 ROZDZIAŁ 22 ROZDZIAŁ 23 ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25 ROZDZIAŁ 26 ROZDZIAŁ 27 ROZDZIAŁ 28 ROZDZIAŁ 29 ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31 ROZDZIAŁ 32 EPILOG

